

Y SŁAWNYCH POLAKÓW
Nr. 16.

STANISŁAW MONIUSZKO.

DZIEDZICTWO, ŻYCIORYS I MUZYKA.

ZARYS BIOGRAFICZNY.

Napisał

No 431

Bolesław Wilczyński.

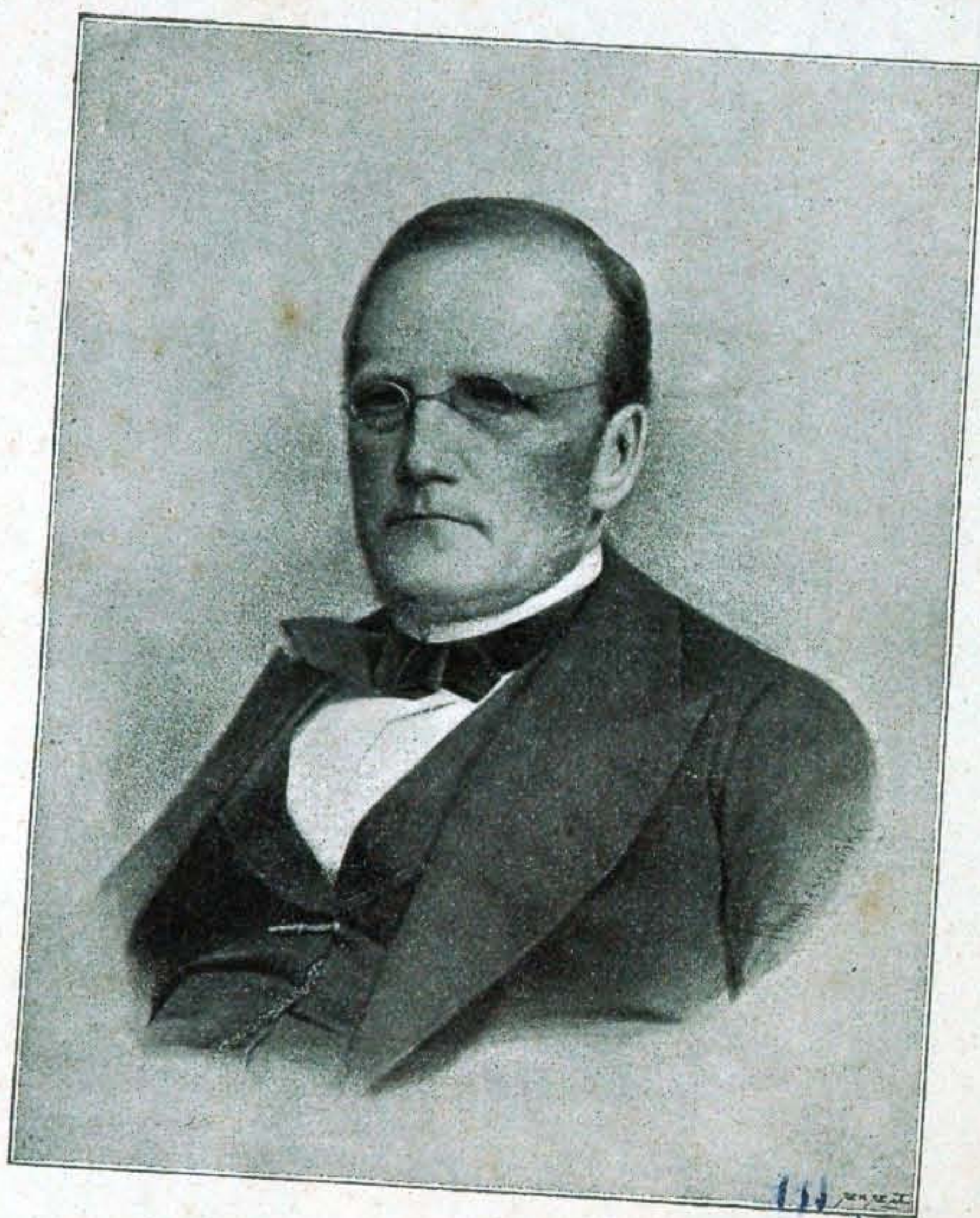
Z PORTRETEM ST. MONIUSZKI.



Cena 30 kop.

PETERSBURG.

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO,
1900.



STANISŁAW MONIUSZKO.

ŻYCIORYSY SŁAWNYCH POLAKÓW.
Nr. 16.

STANISŁAW MONIUSZKO.

DZIEDZICTWO, ŻYCIORYS I MUZYKA.

ZARYS BIOGRAFICZNY.

Napisał

Bolesław Wilczyński.

Z PORTRETEM ST. MONIUSZKI.

BIBLIOTEKA
DOMOWA

kop.

PETERSBURG.

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO.
1900.



KRAKÓW. — DRUKIEM W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

78/D/06

WSTĘP.

Obecnie psychologia jest w stanie pouczyć nas, że moc twórczą, usposobioną romantycznie, odznacza stan chorobliwy. Świadomość mętna i nadezłość nieuleczalna, brak kierownictwa i miary, rozkosz przymusowa w cierpieniu i wieczny krąg złudzeń nie do sprostowania, a nadto, przy ciężeniach zmysłowych, fatalizm wzlotów idealnych — oto znamiona neurastenii, zdolnej natchnąć umysły pogardą rzeczywistości, czynu i pracy systematycznej, lecz nie zdolnej stworzyć świata sztuki, któryby się zalecał budową iście piękną i wyrażał coś innego niż majaczenie oryginalne. Bo czemuże są granice i treść nieba romantycznego? Wszak to przestrzeń nieogarniona, gdzie ideał nie miewa kształtów wyraźnych, jako pozbawion podstawy i ochrony, obszar, gdzie tęsknice i smutki nie ustają nigdy, a źródło zadowoleń pieni się hucznie i zrywa tamę wszelaką. To państwo kosmopolitów, niby rycerzy, których szlachetne pochodzenie trzyma zdala od tłumów i uprawiać zabrania miłość ojczyzny, jako zbyt pospolitą. Zbrakło im pancerzy, bo i posłannictwo religijne, pomimo życzeń, nie wróciło; pozostał obóz, już tylko cygański, wraz ze swobodą życia bez troski. Małoż to dla bractwa, co odgrywa rolę duchów niewidzialnych i bawi się mnóstwem cacek różnobarwnych?

Atoli kult uczuć miękkich i zabiegi arystokratyczne nie przeszkodziły szerzyć się prądom, które wiekowi przemysłu i wiedzy jęły dostarczać materiału na budowę twierdzy za-

niedbanej. Plan obejmował pracę organiczną i obiecywał wiele: równouprawnienie wszech jednostek ludzkich, powołanych na ucztę życia, rozdawnictwo dóbr pomiędzy rzesze wydziedziczone, a nade wszystko powagę sztandarów narodowych. Dość tragedii z powodu słabowania i przemocy, dość państw mechanicznych złożonych i rządów fiziokratycznych. Przyszłość wskazywała na całokształty spójne i z jednorodnych złożone części, mocne prawami historycznymi i zdolne przed rozterką zabezpieczać ludy, którym geniusz doradzał baczność na ideały własne, a miał prowadzić drogą porozumień, zgody i obowiązków bliżej określonych. I oto widmo humanizmu nieziszczonego ustępuje pod wpływem haseł, wieszczących, że człowiek, zanim ludzkość ukochać zdoła, powinien wprzód poznać ziemię rodzinną, umiłować krew własną i stanąć na straży swej włości, ucząc się wciąż obejmować przestrzenie wielkie wzrokiem gospodarza rządowego. Takie hasła musiały oddziaływać koniecznie na sztukę i jej przedstawicieli. Któż bowiem, jeśli nie oni, zaprzoduje w sprawie jedności narodowej? Kto uświetni ołtarze i pokieruje chórem, mającym zagrzewać do braterstwa i pracy wytrwałej? Posłannictwo zaszczytne wypadło przyjąć i spełnić wyzwolencom szkoły romantycznej. Ich nastrój uczuciowy spowodował dużo zawodów w sprawie, wymagającej trzeźwości i równowagi; ich uniesieniom przypisać należy nie jeden grzech pychy, rzekomy objaw potęgi plemiennej, nie jeden strzał chybiony, jako skutek zaślepienia; nie mniej przeto ruch wszczęty jał zapowiadać, że, byle rozum wszedł w prawa swoje i zapanował nad uczuciem, byle rzutom namiętności położył kres altruizm szczery, sprawiedliwy i czynny, już błędów liczba zmaleje, a źródło myśli i czynów pozostanie czystem i płodnym. Reakeye nie powinny trwożyć. One świadczą na korzyść zdobyczy nowej, tej właśnie, jakiej sztuka napróżno szukała w przestworzach bezgranicznych, gdzie duch stęsknionej i rozdartej błakał się bez celu.

Takie połączenie gry fantazyjnej i prądów narodowych wydało sztukę polską, o tyle oryginalną, o ile na rodzimej uprawionej glebie, znamiennej i z najdroższych pocztą pierwiastków życia. Polscy z ostatniej doby mistrze byli bez wyjątku romantykami. Pomimo to wyróżnia ich wygląd pracowników poważnych i bohaterów woli, bacznych na godność

narodu i gotowych nieść mu w ofierze serca najczystsze, natchnienia najwznioślejsze. Wszak nie jeden z nich był wieszczem w stylu mędrców i prawodawców, nie zaś marzycieli. Kto w wyobraźni naszej unieśmiertelnił Unię Lubelską i pędzłem potężnym uwydatnił szereg faktów równie doniosłych, ten ogniem pałał chyba nie dla innej oblubienicy, tylko dla tej, której na imię: Polska. Poeci, muzycy i malarze narodowi, tworząc przez miłość ideału określonego, unikają szczęśliwie zasady zgubnej, głoszącej, że celem sztuki jest sztuka sama, więc przyjemność, jakiej dostarcza nadmiar żywotności. Tu gra zbyt kowna roztańczona być ma na *forum* wyosobnionem, obojętnem, o tyle jakoby właściwem, o ile położonem po za granicą pożytku i zadań społecznych. Jakież zasada ta sprowadzić mogła skutki? Technikę efektów, bezkarne wybijanie fantazyi, brak dźwigni moralnej, wysiłki dziwaczne, porywy i omdlenia, zresztą naturalizm nagi, rzekomo naukowy i zagubę kojarznię pięknotwórczej. Burze, szalejące na widnokręgu cywilizacji łacińsko-germańskiej, nie wymiotły nasion zdrowych, rzuconych w glebę macierzystą przez naród rycerski, któremu wypadło stanąć w obronie światła Chrystusowego, ognisk rodzinnych i wolności. Stąd obojętność, nawet opór względem poduszczeń niesympatycznych; stąd cześć dla mistrzów, istnych świadomości narodowej przewodników, o ile oni, uchylając wpływy szkodliwe, krzewią miłość ojczyzny i zachęcają do pracy na korzyść harmonii społecznej.

Jednym z takich był niewątpliwie Stanisław Moniuszko. Ów wiek minął od czasu, gdy naród, wdzięczny za pobudki wzniosłe, żegnał piewcę swego płaczem w uroczystym na cmentarz pochodzie. To nie była posługa ostatnia, jedna z oddawanych po zwyczaju pracownikom zasłużonym; to był pierwszy objaw tej spójni szeroko zakreślonej i obejmującej ogół, jaką widzieć pragnął twórca „Pana Tadeusza“ a o jakiej muzycznie wieszczył twórca „Halki“. Takie pomniki trwają długo. Pleśń ich się nie ima, a czas daje im moc rozplodową. Muzyka Moniuszki wzrusza coraz bardziej i z każdym rokiem przyciąga coraz większy zastęp wielbicieli. Niechże mi wolno będzie zarysować postać mistrza piórem, kierowaną mocą sympatii ogólnej.

UWAGA. Aleksander Walicki, szkicując w krótkim zarysie postać Moniuszki, uprzedza, że w danej książeczce należy cenić jedynie materiał do użytkowania. Przyjaciół kompozytora, jakkolwiek znawca muzyczny, zrzekł się w swej monografii stanowiska, upoważniającego do wydawania sądów zupełnych. Chodziło mu nie o wykaz działalności i krytyczną ocenę dzieł, lecz głównie o wiązaną szczegółów źródłowych, które mogłyby posłużyć jako wskazówki przy badaniu przedmiotu samego. Czy one starczą dla badacza? Autor życiorysu miał posiadać wielki zbiór dokumentów, korespondencji i notatek odnośnych, a nadto, jako wtajemniczony przez przyjaciół, mógł zgromadzić wiele spostrzeżeń osobistych i utworzyć całość, zasługującą na miano pracy źródłowej, właśnie takiej, gdzie części, zaledwie zbliżone, nadają się jednak, przez wybór i nagromadzenie systematyczne, do całokształtu mniej lub więcej skończonego. Sprawozdawca rzekł słusznie, że do wyświetlenia uczuć i myśli, utajonych w spuściźnie mistrza, wielce pomoże znajomość tradycji rodzinnych, jako też wpływów z otoczenia i wychowania. Jemu też przypisałyby chlubę zapoczątkowania biograf-estetyk, któryby z osobą mistrza genialnego postanowił zaznajomić wszechstronnie świat literacki. Lecz hasło przebrzmiało, a postanowienia nikt dotąd nie powziął. Tkwiłaby w tem obojętność? A może przyczyną milczenia był brak obficie zasilonych źródeł? W pracy Walickiego nie znać „wielkiego zbioru dokumentów, korespondencji i notatek“. Autor wyznaje, że wiele szczegółów pominął dla braku dowodów. Bądź co bądź, jego materiał nie zachęca do syntezy piśmienniczej, albowiem grzeszy brakiem dostatku, wagi i różnic w szczegółach, dość pobieżnie rozpostartych na szerokiej skali rodowodu. Czyż przeto przyjaciel pieśniarza nie zasłużył na wdzięczność naszą? On pierwszy sięgnął po wskazówki, wydobył z ukrycia urywek dziejów znikomy, zaledwie w pamięci rodzinnej kreślony i, żywiąc nadzieję, że czas pozwoli dzieło zapoczątkowane udoładnić, zachęcił zbieraczy do mnożenia budulcu. Nadzieja nie zawiodła. Oto przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym powstała Sekcja Moniuszki, której zadaniem — troska o wiadomości biograficzne i wzorowe dzieł wykonywanie, zabiegi w poszukiwaniu rękopisów i utworów nieznanych, podjęcie wydawnictw, zgoda trud uczestników, dbałość o żywy pomnik

dla mistrza. Nim atoli wzrastająca „biblioteka“, usiłując w pomniku ujawnić wyraz za pośrednictwem oświecenia krytycznego, zdoła dostarczyć pomocy odpowiedniej, dziś bierzmy co ona daje, a mianowicie: monografię Walickiego, zbiór listów, pisanych przez kompozytora do żony, oraz rozprawę estetyczną, napisaną przeze mnie, a wydaną przez Redakcję Biblioteki Warszawskiej.

Objąść czytelnika winienem, że praca, jaką dziś daję, różni się od poprzedniej w założeniu. Zamierzając wykończyć i wydać dzieło, rozpoczęte p. t. „Życie i Sztuka“, postanowiłem wyzyskać chwilę i pogląd szczegółowy wzmocnić zapatrywaniem ze stanowiska psychosociologii. Tu artystę poznamy w człowieku, a więc nie tylko w Muzyce, lecz w Dziedzictwie i w Życiorysie.

CZEŚĆ PIERWSZA.

Dziedzictwo.

I.

Ród Moniuszków pochodzić ma od dwóch braci rycerzy, przybyłych w XV wieku z Rzymu do Polski, ażeby wziąć udział w ruchach orężnych i pozyskać przywileje, jakimi naówczas cieszyć się mógł żołnierz bitny. Każdy z tych awanturników, urodzony Moneo, przyjmując znamie ojczyzny przybranej, zgodził się chętnie, by w indygenacie brzmienie nazwiska krajowe dało odprawę włoskiemu, co nastąpić musiało tem konieczniej, że uszlachcenie ich stwierdzał herb rdzennie polski — krzywda. Położyć zasługę i otrzymać uznanie — wszak to bodziec nie mały dla samopoczucia. Uprzywilejowanym wypada zażegnać w sobie cudzoziemczyzną, wyrzec się rycerskości błędnej i działalność skierować na drogę pracy spokojnej, obywatelskiej. Krzywdzice osiedlili się w ziemi bielskiej, w województwie podlaskiem. Tu miało być usłanem gniazdo nowe, znać dość zasobnie i starannie, skoro starczyło na szereg pokoleń długi i coraz szerzej zasilany, więc na poczet ludzi rządnych i czynnych, zacnych i cnotliwych. W parafii Goniądzkiej wyróżniano siola: Wielkie Moniuszki, Klewiankę i Samogorówkę, gdzie wygodnie siedział pan Piotr, zaś później Mateusz, Tomasz i Wojciech Moniuszkowie, dbali o gospodarkę i dostatek nie mniej, niż o przymioty moralne i spójnię rodzinną, baczni na źródło rozterki — biedę i chciwość, a więc gotowi używać nie samolubnie, lecz przez miłość ludzką, poczucie obowiązku i wspieranie swoja-

ków ubogich. Lecz dni pogodnych, niezamąconych przez fatalizm, czyż dużo znaczą dzieje zabiegów ludzkich? Gdy powodzenie osłabi rozagę i wyda wolę na łup zachcianek bezkarnych, wtedy przybywa postać grozy, której pilno wnieść wątek tragiczny na scenę pożycia domowego. Czemż potomek Piotra w szóstym pokoleniu, Józef Moniuszko, podczas brański, wolał, po śmierci enej żony, obdarzyć dzieci macochą i liczyć na pomoc wątpliwą, niż wytrwać na stanowisku ojca, zmuszonego czuwać podwójnie, byle obojętność lub złość nie wkradły się tam, gdzie żyć powinna pamięć matki troskliwej? Drugą pana Józefa małżonkę odznaczały wady, których znieść nie mógł syn z pierwszej, Stanisław, młodzieniec zażywny, rzutki i do wyzwoleń skory, a ufny w swą samodzielność, bystry umysłem i czuły sercem. Mam cierpieć ucisk bezprawia, rzekł, wyswobodzę się przez oddalenie i co mi brakuje znajdę po za domem, baczac, bym z pomiędzy serc obcych, zasługujących ledwie na życzliwość, wyróżnić i dla siebie pozyskać umiał istotnie dobre a czeł godne. — Co postanowił — wykonał bez zwłoki.

Była wiosna. Kalendarz znaczył rok 1750 i wskazywał na dzień tygodnia 5-ty przed Zielonemi Świątkami. Stanisława wypędzała z domu rozterka, zaś ciągnął na drogę pielgrzymów urok ciepła, promieni słonecznych i miłosnej wieszczby w naturze. Że jednak geniuszki wiosny, igrając, nie dają rady trzeźwej, że raczej uwodzą blaskiem barw i wzywają dusze czule do udziału w rozkosznej wszech jestestw uczcie, o tem młodziana ostrzegły drogi rozstajne. Wybór trudny. Kto mu wskaże właściwą, gdy wszystkie zdają się być jednako prostemi i prowadzą do celów jednako niewidzialnych? W takich wypadkach skutecznym bywa psychiczny do wnętrza zwrot jaźni zaniepokojonej. Wszak prośba o pomoc, zawarta w gorących słowach modlitwy, to tylko forma, osłaniająca potęgę samopoduszczenia i zmianę stanu, ilekroć władza kierownicza, potracona przez czynne w jednym kierunku natężenie uczuć i myśli, zdobywa na chwilę wysoki stopień samorządu. Miałaby modlitwa zaostriżyć wzrok i natchnąć zbiega przedmiotowo w sprawie wyboru? Bynajmniej. Ona wzmocniła jego wiarę dobrą, usuwając chwiejność i otwierając przed nim wejście w świat o tyle piękne, o ile jej twórca powita w sobie, utrwali i wykształci wolę bohatera.

Szesnastoletni Staś, już pełen otuchy, jakby weń wstąpił duch twórczy, rozpoczyna wędrówkę śmiałą, bezzasobną, zbywając drwinami głód i twardą pod mostem pościel. Tak minął wioskę Różanystok, gdzie od dobrodziejów zakonnych otrzymał należny ubóstwu kęs bezpłatny, minął szereg włości gościnnych, wreszcie Sejny i znów siedziby ludzi życzliwych, aż do wielkiej drogi, co rzesze litewskie wiodła bezpiecznie ku Stolicy.

Czem jest miasto, zwłaszcza główne, urządzone tak, ażeby w kraju punkt dośrodkowy stanowić i licznym potrzebom zaludnienia zadość czynić mogło, o tem syn pana Józefa pewnie wiedział, jeśli nie z wrażeń żywych, to z opisów i opowiadań. Dla czegoż podążył do Wilna? Jakiemu instynktowi uległo dziecko natury, chowane na wsi, nawykłe do swobody i nie krępowane powagą sztuki? Ład grodzki — architektura, zwyczaje, policja — nie nęci młodzieży, której zmysły zakosztowały darów wielorakich wśród bujnej i mało uprawnej macierzy. Tam przymus i dyscyplina szkoły, chłód gromady, zbytek wytworny i obowiązki uciążliwe — tu stosunki patriarchalne i wielce miła sielanka uczuć szczerých, zabawy dowolne a troski lekkie i krótkotrwałe. Stasiowi niewątpliwie żał było tłumić w sobie sympatye wieśniaka. Że jednak stłumił, cenić w tem należy siłę samopomocy, okazaną na wstępie przez złamanie przeszkody wewnętrznej. Za stolicą przemawiał w nim instynkt porządku i sztuki; do grodu jęło zagrzewać go tętno junaków szlachetnych, uzdolnionych i pracowitych, żądnych wiedzy i wskazówek rozumnych. Ubogi, pozbawiony tarczy rekomendacyjnej, jako zbieg, czemże zwróci na siebie uwagę ludzi możnych? Chyba powierzchownością. Lecz wrażeniem najpierwszem, chociażby najbardziej dodatniem, nie zdobywa się praw do zaufania, ani wyższych w hierarchii społecznej stopni. Nie dziw, że Staś zaczął od posługi przy paniczach, przyjmując bez wstydu ofiarę niską, którą spodziewał się wyzyskać na korzyść szlachectwa ukrywanego. Chłopcy magnata chodzą do szkoły. Czemżby ten, ujęty poprawnem posługaczem postępowaniem, a przekonany, że natura nie płodzi lokajów, miał chętnemu odmówić chrztu na towarzysza broni — na ucznia tej samej szkoły? Stanisław odzyskał równouprawnienie wstępne. Reszta zależała od niego. Pięć lat nauki pilnej starczyło mu na patent dojrzałości, a nie

tylko formalny, lecz rzeczywisty, żywymi opisujący głoskami pracę wyzwolenca, jako też wzrost i charakter człowieka.

W wieku XVIII byt Rzeczypospolitej nie opierał się wcale na dźwigniach cywilizacji demokratycznej. Polska, wciąż rycerska, możnowładcza i ziemiańska, chowając synów swych we czci dla ideału wolności, unikała, pomimo doświadczeń, tej właśnie ostoji, jaką przedstawia organiczna jedność narodu. Stąd braki w systemie ekonomicznym, który do udziału w pracy publicznej dopuszczał żywioły obce, napływowe, byle godności szlacheckiej nie dotknęło piętno pracownika z zawodu. Ono miało hańbić. Zajęcia płatne, usługi za pieniądze, więc handel, przemysł, nawet samodzielna uprawa roli, zgola zabiegi mechaniczne nie przystoju braci kontuszowej, powołanej do sejmowania i wysokich w Państwie urzędów. Niech kto chce wymierza i zabudowywa ziemię, mnoży choraągwie cechowe i dba o materialne bogactwo kraju; zadaniem obywatela — kształcić w sobie cnoty rycerskie, dawać życie w obronie ojczyzny, dzierżyć ster sprawiedliwości i wspierać koronę, zaś przede wszystkim panować na obszarze zakreślonym. To też o ziemiańską, a więc o szeroką dla swej działalności podstawę starał się osobnik, usiłujący pojąć znaczenie w kraju. Mógł on uprawiać naukę, miłować piękno i pełnić służbę czynną w Rzeczypospolitej, lecz nie inaczej, tylko bezinteresownie i z dobrej woli, jako dostojnik, który gardzi płacą, bo posiada włość i pańszczyznę. Ów system jednak wymagał wtajemniczeń praktycznych i wskazywał na konieczność ogłady encyklopedycznej i obyczajowej. Akademij nie brakło. Bywały niemi dwory najbardziej zamożne, znane z gościnności, rozdawnictwa i światłej władcy powagi. Tam młodzież mniej posażna, przyjmowana kwoli wzajemnych usług, mogła podziwiać sztukę życia, współubiegać się o wytworne piętno charakterystyki narodowej i gromadzić zasób wiadomości, jakich nie udzielały uczelnie klasyczne. Otóż powagę tych akademij, podkopywaną przez rozwój dziejowy, a nie bez fatalnych posłów ze strony upaństwowienia, wiek XVIII zniweczył. Z obyczaju pozostał nałóg, ujawniony w manii włóczęgów i rezydentów, gotowych bezmyślnie rachować na uśmiech fortuny, nawet bezwstydnie spożywać chleb pasorzytów i służalców, byle pracą zawodową nie splamić cennego zawsze klejnotu. Nie dziw, że syn pana Józefa, jak-

kolwiek patentowany, lecz postawiony wobec trudnych co do karyery warunków, uległ nałogowi powszechnemu. Wilno dało mu naukę, lecz nie specjalną ani techniczną, a sympaty tłumione jeły teraz wołać o powietrze i swobodę. Przez parę lat błakał się Stanisław, jak próżniak i niedołęga, przesiadując dłużej u Kazimierza Chodźki, to u krewniaka w Łoźnikach, nim wstąpił, jako aplikant, do trybunału wileńskiego. Tu wypadło mu odbyć próbę ognia. Czy wyjdzie z niej zwycięsko? Wszak otchłań wabi, a młodzież trybunałska, pogrążona w mętach życia miejskiego, umiała nowicyuszów smakiem rozpusty niewolić. Moniuszko spostrzegł w porę niebezpieczeństwo; namietność graczy rozhulanych przejęła go wstrętem; miasto i stosunki koleżeńskie straciły dlań powab. Nadto, zniechęcony do instytucji, tak z powodu służby zatęchłej, jak i pieniactwa, odniósł wrażenie goryczy i w księdze doświadczeń podkreślił pierwsze ze zderzeń smutnych, społeczno-dziejowych. Gdyby pozostał, musiałby zobojętnieć, zaprzeczyć sobie, upaść moralnie. Nie z tego; potomek rycerzy miałaby dumę szlachetną ukołysać!? On ją raczej wzmocnił uświadomieniem i samodzielności swej dał inny, bardziej odpowiedni kierunek. Lecz jaki mianowicie? Rozum praktyczny słabnie, gdy bieda z uczciwością idą w parze, jak bliźnięta nierozdzielne. Podstawy dziedzicznej, a więc gotowej, pewnej i uświęconej w systemie, nasz bohater wyrzekł się przez dumę. Trzeba było stworzyć własną, urobić swój świat z niczego. Zobaczmy jak sobie poradził.

Michał Radziwiłł, hetman w. lit., potrzebował podkomisarza, zaś Kazimierz Chodźko poszukiwał głowy do zarządu majątkiem ziemskim. Obie posady, zaofiarowane jednocześnie, Stanisław objął skwapliwie, żywiąc przekonanie, że zdrowie i silna wola nie zdradzą uzdolnionego. Warunki umowy znać sprzyjały biedzie uczciwej, skoro ów uzdolniony wytrwał na stanowisku przez lat ośm i zdążył, nie nadużywając zaufania, uezbiarać miarę grosza dość pokaźną, ażeby mógł spróbować sił na dzierżawie. Oszczędność wynosi rządę na stopień pracodawców; zabieg godziwy sadowi podkomisarza na starostwie Hubskiem. Więc statek uzbrojony; więc żegluga rozpoczęta. A burze, a mielizny, a skały? Jaki bóg zaklnie żywioły na korzyść zucha, który świat swój od wzrębu zamierzył budować? Początek polegał na ostrożności i traf-

nym rachunku; wynik zależał od charakteru. Pamiętać należy, iż na wielką własność czyhały wtedy, jak nigdy, coraz liczniej wśród zaludnienia powstające i coraz bardziej złożone potrzeby życia. Tę własność czas kruszył pod wpływem żądz mniej lub więcej prawowitych, a magnat ratował, krusząc pozornie. Ziemia, przy taniej robociźnie i skąpstwie co do nakładu, dawała plon obfity, a chociaż rolnik dość pomysłowym nie był wytwórcą, toć przy umowie obowiązywały względy obywatelskie. Pan bezwzględnie chciwy mógłżeby działać podług wymagań polityki zachowawczej? Wysoką stopą tenuty on nie rad był odstręczać brata, wiedząc, jako karmazyn, pełen ambitnych zamiarów, że w ziomku zjednanym pozyska łatwo ramię poplecznika. Stąd ziemian, dorobkiewiczami zwanych, poczet nie mały. Lecz chcieć a umieć — dwie rzeczy różne. W okresie niedołęstwa pod względem ekonomicznym ogół, rozbity grą interesów sprzecznych, zjednostkowany przez fatalizm myśli samolubnie zamkniętej, cierpiał wstręt do działalności zbiorowej. To też potęgę wspólek mogła odgadnąć chyba intuicya twórcza; zaś o związku pracowników, którzy bez kłótni i procesu stanęliby u celu, jeśli wieść krążyła, to chyba jak o pojawie niezwykłym. A jednak dzięki takiemu związkowi miał dobrowolny ze Smogorówki wygnaniec zdobyć mocną i trwałą ostoję.

Gdy dwaj działacze, zgodni w wyborze celu i środków, moralnie zdrowi i równoważnie skłonni do ustępstw wzajemnych, dają, pomimo różnic co do uzdolnienia, rękojmię jedności w zasadzie, to jedność tę znamionuje kojarzenia sił, które w ruchu powszechnym ciągną ku sobie, ażeby tem większą stanowić mogły dźwignię rozwoju. Tacy działacze zbliżają się sami. Ich jaźnie połączy instynkt; ich związkowi da sankcję rozum. Że pomiędzy osobnikami, jak Stanisław Moniuszko i Franciszek Osztorp, istniało powinowactwo nie tylko familijne, lecz psychiczne, o tem świadczy pewne podobieństwo co do pochodzenia i przebytych kolei. Ojciec Franciszka był Szwedem i prostym żołnierzem w armii Karola XII. Wielki wódz odszedł, a jego szeregowiec pozostał w Polsce, osiadł na Podlasiu i, ślubując opiekę małżeńską krewniaczce Moniuszków, pozyskał tytuły ziemianina. Uszlachcenie obywatelskie postępowało szybko. Syn bowiem osiedleńca kończy nauki w Wilnie, aplikuje w trybunale i zdo-

bywa w wojsku rangę pułkownika. Rzutkiem to nie wystarcza. Czemużby nie zajął stanowiska, zabezpieczającego od przygód? Właśnie hetman Ogiński ogłosił za wakującą posadę sekretarza, co znaczyło, że mąż nie mniej wykształcony i czynny, niż wyniosły i ambitny, pragnie zaufaniem i protekcją obdarzyć wykonawcę zleceń ważnych, a jeśli rzecz pójdzie gładko, to i osobę powiernika, doradcy, przyjaciela. Osztorp objął posadę, gdyż nie wątpił, że potrafi zadowolnić możnowładcę; ten zaś, ceniąc sumienną i umiejętną pracę sekretarza, rad był widzieć go wzbogaconym. Gdy tedy i pan Stanisław miał już warsztat własny, nie dziw, że do zawierania wspóلك przyszło bez doświadczeń uprzednich. Dzierżawca dowiódł, że umie być gospodarzem rządym i ciągnąć zysk ładny z roli; sekretarz zaś dawał dźwignię osobliwą — protekcję hetmana i pośrednictwo wojskowe. Układ stanął bez świadków i bez poręki piśmiennej. Moc jego wyryta została dwustronnie na złotych tabliczkach pamięci, ile że tekst nie wymagał słów wielu. Wspólnicy ślubowali sobie wiarę nieledwie sakramentalną, wnosząc do interesu świętość zdań wyrzeczonych, powagę czci rycerskiej. Postanowiono wspierać się wzajemnie w zabiegu o byt niezależny; postanowiono iść zgodnie i aż do końca po drodze raz wytkniętej; postanowiono wreszcie, co już istotnie przypominało treść ślubów moralnie ścisłych, uważać prawa i tytuły własności osobiste za prawo jedno, za tytuł jeden, dopóki skarb nie przedstawi miary przyzwoitej, umożliwiającej działać. Przy znajmy, że forma aktu piękną jest i znamionną; bo jeśli w niej tkwi urok obyczajowości romantycznej, to jakże ten romantyzm technie uczuciem polskim, nie gotyckiem! Odznacza go rytm swobody, która, opierając się na tradycjach dobrej woli i protestując przeciw więzom wszelakim, zaś najgorliwiej przeciw rozgraniczeniom feudalnym, miała wydać, w przeddzień katastrofy dziejowej, kartę porządku zbawczą, organiczną, humanitarną.

Gdy tedy pan Stanisław, przyjmując na się zadanie agronoma, jał rozwijać czynność gospodarską, panu Franciszkowi tymczasem wypadło dbać o ilość dzierżaw, nie bez zabiegów o folwarki najzyskowniejsze. Ten dostarczał przędzy i przenikał jej wartość wzrokiem śledczym; tamten tkał i czuł w domu. Wiedzano nadto, że przedsiębiorstwa, wywołane

przez intendenturę wojskową, procentują dobrze. Więc do dzieła. Zarząd płacił bez zwłoki i przywileju nie cofał, albowiem dostawcy służyli mu sprawnie i uczciwie. To też kapitał rósł widocznie, jako dorobek prawowity, nie duszony w skrytkach i uznany za dobro publiczne. Pieniądz niech posiada moc żywotną, społeczną. Tej, skoro ktoś zapotrzebuje, czemuż nie udzielić? Wszak ona powróci, a nie bez nadwyżki, jeśli przezorni posiadacze potrafią uwzględnić korzyści obustronne — dłużnika na równi ze swojemi. Tak hetman niech pożyczkę zaciągnie raczej u swych dzierżawców, niżliby miał szukać pomocy na uboczu, wpaść w ręce chciwców, lub sprzedawać dobra pod grozą przymusu. Czyniąc za- dość przyjętym zwyczajom, on zgodzi się chętnie, by kawał dzierżawionej ziemi został przez wierzycieli już prawem zastawu utrzymany. Że jednak ruch społeczny nie sprzyjał magnatom, czyjaż w tem winą? Oczywiście nie pracy mrówczej i zapobiegliwej, lecz ambicyi wygórowanej. Ogiński ugrzązł w długach. Chcąc wyjść z matni, postanowił sprzedać klucz Smiłowicki, obejmujący dużą połąć ziemi i aż w trzech położony powiatach. Nabyć tę własność olbrzymią byłoż grzechem ze strony ludzi rządnych, posłusznych wyrokowi czasu? Szlachtę drobną dźwigała rozrzutność panów. I oto, gdy wśród powodzi królik polski malał, tracąc ostoję poderwaną, jednocześnie panami na Smiłowiczach witano dwu posiadaczy, którzy zdobytej równowagi nie odstąpią za cenę blasku, jakim fantazja arystokratyczna maci ład w głowach słabych.

Płodne tymczasem lata upływały i już nagliły do powzięcia ważnych na rzecz przyszłości postanowień. Kiedyż, pomyślał pewnie pan Stanisław, wykończę dom i zaludnię przystojnie, jak uczynić ma człek możny a nie bezduszny, który odpycha wróżbę o zejściu bezpotomnem, a pragnie żywot swój wypełnić i rozszerzyć, rozjaśnić i zasługą społeczną upamiętnić? Wszak i wspólnik mój mało ceni bytowanie samolubne. Więc do dzieła, a po rycersku! — Klucz dawał się rozpołować podług dzielnic — na Smiłowicką i Dukorską. Obie, geometrycznie równe, ręczyły przez usta miernika, że sprawiedliwość nie ucierpi. Lecz pozór mylił. Ekonomia Smiłowicka nierównie większą przedstawiała wartość niż Dukorska. Różnicę wykazywały zapewne gleby niejednako rodzajne, użytki, inwentarze i zabudowania, drogi i rynki, jako dźwignie

majątku, tu mniej, tam bardziej cenne. Jakże wyrównać co matematycznie wyrównaniem być nie może? Na jakim polegać rozjemcy w sprawie, gdzie czas i dwustronnie włożona praca powinny być wzięte na uwagę? Dwaj działacze, związani przysięgą bez świadków, mieliżby teraz zwoływać sądy, za- leżeć od arbitrów, pozwolić na długie i drobiazgowo rozprawy, widzieć swe dobro krajanem jakoby z powodu bezwstydnej chciwości? Nie. Działów skutki, jak pretensye i żale, zawiść i kwasy, procesy i stosunki wrogie, pożądanemi nie są. Wszak ten, komu przypadnie Dukora, byle chciał a umiał, podniesie wartość swej połowy, nawet z przewyżką. Niechże wzgląd natury podmiotowej stanowi kategorię czasu, rozumu i silnej woli. Dziś niech rozstrzyga los, a nie innym trybem, tylko wiaromocnie, przed ołtarzem, by akt rozłąki nie przeczył ślubnemu. Kapłanowi wręczono dwie koperty zapieczętowane, a w nich kartki z napisami: na jednej widniał wyraz *Smiłowicze*, na drugiej — *Dukora*. Ksiądz odprawił mszę; ślubni, klęcząc, wysłuchali modłów z wyrazem czci, znamionującej szczerą uczuć głęboko chowanych, tych polskich, co w religii szukały oczyszczeń z pyłów życia codziennego i w chwilach ważnych stroiły się pięknie, szlachetnie, uroczyście. Klęczącym na stopniach ołtarza któż do wyboru podał koperty? Niewątpliwie Duch święty, uosobiony w pośredniku. Duch też niechybnie kierował ruchami rąk, wyciągniętych przez każdego z zainteresowanych. Nie kto inny bowiem wskazał Moniuszce kopertę z napisem *Smiłowicze*, zaś Osztorpowi polecił sięgnąć po tamtą. Tak wierzyć nakazywał upór romantyczny, mało baczny, że się spotyka z jasnym na rzeczy poglądem, z intuicyą porządku. Zrządzenie losu przyjętem zostało pogodnie; bracia-pracownicy, rozłączeni materjalnie, braćmi serdecznymi być nie przestali.

Stanisław Moniuszko rozpoczął żywot nowy. Bogactwo, wynoszące kilka milionów złotych, miałożby opętać duszę dorobkiewicza, który naraz ujrzał się dość możnym, ażeby odpowiednie, wyłączne mógł zająć stanowisko? Przed takimi świat ówczesny, niby górny, jeszcze wielkostylowy i ze swej ogłady dumny, a już dotknięty chorobą, podniszczony i karlejący, zwykł na ścieżaj otwierać podwoje. Wśród zbytku i okrasy pożyczanej, uśmiechów obłudy, dworactwa i pokus rozlicznej barwy jakżeby wyglądał mąż samodzielny, pan

STANISŁAW MONIUSZKO.

BIBLIOTEKA
FIMI AMFC
w Białymstoku

wprawdzie, lecz nie udany, skoro silny zdrowiem i umysłem, rządny w swem wnętrzu i bardziej tam właśnie niż na zewnątrz bogaty? Pan Stanisław, istny typ bohaterów starożytnych, mógłby na scenie życia odegrać rolę epicką, lecz do komedyi salonowej ani też do idylli mdłej i nijakiej nie nadawał się wcale. To była postać posagowa, jasna, widna i wielce czynna, rada zamieszkiwać państwo własne, chociażby z trudem niezmiernym, byle przez się stworzone. Wszak jaźń zasobna i płodna, usposobiona przeto altruistycznie, potrzebując mało, znajduje przyjemność w dużem i rozumnie obmyślanem rozdawnictwie. Nie dziw, że pan na Śmiłowiczach, zamiast powiększać fortunę, bawić się i zbytkować kwoli zwyczajom przyjętym, postanowił stylowi życia swego nadać cechę wytwornej prostoty, równowagi i miłości bliźniej.

Zobaczmy jak on swą postać wyrzeźbił i jakim wyrazem świadczył o swej mocy, mając lat 51. Wzrost wysoki, lecz barki szczupłe, piersi zapadłe, zaś kończyny chude i miętko umięśnione — wszak to wygląd charłaka, budzącego litość. Takim nie był wysoko po nad poziom unoszący głowę pan Stanisław. Mało kto, chcąc mu w twarz spojrzeć, nie potrzebował oczu skierować w górę, w czem zwykle tkwi fizyczna przyczyna obawy i poważania ze strony jednej, naciśku i pogardy z drugiej. Gdy bowiem człowiek rosły i atletycznie zbudowany patrzy na postać znacznie niższą, ta czuje się być wchłoniętą całkowicie i od razu przez spuszczone na nią źrenice. Łatwo więc pierwszy góruje w zmysłowej dwu wymiarów potyczce. Niżnik wodzić wzrokiem nie śmie; wyobraźnia zaś uprzedza go, że stoi przed olbrzymem, który swą przewagę nie tylko wyniosłością oblicza okazać zdoła. A właśnie bogaczowi z dorobku przyszkłoby łatwo zgnieść, złamać, powalić każdą z wielu osóbek, co na wyższość wszelaką lubią ostrzyć narzędzia złości. Jego budowę znamionowała równowaga mężów, zdolnych zachowywać ją ustawicznie w dwustronnej pracy systemu mięsno-nerwowego. Wysiłkiem umysłowym on nie gnębił ciała; nadużyciem siły i procesów fizjologicznych on się strzegł na rozwój woli rozumnej wpływać ujemnie. Stąd całokształtu układ symetryczny i linie harmonijnie dobrane, o ile znaczą dynamikę charakterów możliwych, pełnych odwagi, spokojnych i wytrwałych wobec konieczności, więc potęgę działaczy hartownych i mistrzów

w dziedzinie systematyki praktycznej. Że tajemnice ładu nie były obcemi biedakowi, czyż tego nie dowiódł posiadacz stateczny, jak nie długo potem dowiedzie mąż, ojciec i obywatel szczęśliwy? Zalążek cenny, otrzymany prawem dziedzictwa, on, zamiast utracić pod wpływem burz i szalów społecznych, uswoił świadomie, wyhodował pięknie i uczynił moralnem życia swego prawem. Znać to w postawie. Ta pełna budowa tułowiu i mocna kończyn, ten kształtny rysunek głowy, której obsada ani wymiary nie grzeszyły odstępstwem w stosunku do całości, wszystek zgoła żywokształt osoby, wyrzeźbiony proporcjonalnie i harmonijnie, świadczył, że we wnętrzu człowieka-artysty gra muzyka czynników strojna, ujęta w karby porządku. Tu swobodnych i równych uderzeń serca nie burzył złowieszczy poseł ze strony mózgu ani grom z widnokręgu; gospodarz umiał oddalić to siłą woli, trzeźwością sądu. Tu przedzy umysłowej nie wikłały tęsknoty próżne, ani pesymizm, ani marzycielstwo, ani neurasteniczna skłonność do uniesień. Tu czynniki podrzędne — zmysły, wyobraźnia, pamięć, uwaga — zwykły działać żywo, zgodnie i pod kontrolą władzy naczelnej, więc najkorzystniej dla myśli twórczej w jej stosunku do rzeczywistości. Dziad pieśniarza naszego, zamiast topić pragnienia swoje w romantycznych mętach nadczułości, pożądać czegoś niemocą bezwiedzy, szaleć i omdlewać naprzemian, cenił i kochał to tylko, co rozum kochać i cenić pozwala — ojczyznę, ludzkość, naturę. Filozofem nie był. Nie dziw, iż w okresie zwątpień i przełomu wołał zachować wiarę ojców czystą, nieskalaną mędrkowaniem, niż puścić wodze samodzielności tam, gdzie brakło jeszcze dość prawowitych podstaw myślenia. Atoli, potrzebując wierzyć, byłże mistykiem, ascetą, chociażby gorliwcem przesadnym? — „Bij Panie, jeżeli gotów!“ — zwykł wołać podczas burzy. W tem nadstawianiu głowy czyżby drgał głos ciemnoty prostaczej, strachu, niedołęstwa, obojętności wobec przeznaczenia? Chyba nie. Znamienna rzutkość i rytm świadczą, że słowa te ułożył dla siebie rycerz, który, pragnąc uniknąć wstydu wobec konieczności nieodzownej, rad krzepić się, by mógł z jednakiem żyć i umierać spokojem. Świadom, że pobożność głucha i formalizm jałowy — to gra dla samolubów i obłudników, on wyrazem twarzy pogodnym, jasnym i sympatycznie poważnym ręczył, że umie rozkazywać sobie i nie wiele rachuje

na pomoc łaski wymodlonej. Przyznajmy, że porękę wymowną stwierdzała Heraklesowa jedność budowy.

Takiemu to osobnikowi wypadło pomyśleć o związku małżeńskim. Pora byłż właściwą? Uroki wiosenne minęły; może ich nawet nie odczuł pracownik, zmuszony tłumić w sobie poezję miłości. Czyż przeto stracił rękojmię szczęścia? Tak, lecz tylko promienną, kwiecistą i pełną złudzeń. Zostało prawo do innej, uwitej z liści, a zabezpieczonej miarą statku, który nie zawsze bywa następstwem krótkotrwałych uniesień. Mówię o przyjaźni. Pan na Śmiłowiczach pojął za żonę osobę bez posagu. Jakie upatrzył enoty w córce rotmistrza Ewie Wojniłowiczównie — nie wiemy. Że jednak wybór nie był lekkomyślny, że nim kierowały wskazówki sympatyj przewidywającej, a stąd i względy na jedność ścisłą, zupełną, o tem wnosić pozwala potomstwo liczne, znać dobranej pary, skoro łączne, zgodne i w spadkobranii nieodrodne. Pomny sierotwa z powodu macochy, pan Stanisław wiedział, że w skład całości państwowej wchodzi poszczególne ustroje rodów, tem cenniejsze politycznie, im staranniej kształcone pod dwustronnym a równoważnym wpływem małżeństwa. Ów niegdyś samotnik bezdomny, dziś już ziemianin majątny, jął przecież pełnić służbę publiczną. Wiedział tedy pan Sędzia, dbał o naprawę Rzeczypospolitej, czem mu wypada przyjść w pomoc ojczyźnie rozteranej. Nie brak tu graczy na niwie wolności złotej. Trzebaż mnożyć poczet warcholów i marnotrawców, zasilać stronnictwa sobków ambitnych, pielęgnować w rodzinie dążność skrzywioną? Przeciwnie — na niwę wolności należy słać moce dzielne, wykształcone, zdolne pojąć, że ona stanowi dobro powszechne, nie zaś przywłaszczone, że plon zwyrodniały, acz bujny z pozoru, nie karmi, nie wzmacnia, raczej wzdyma i osłabia. To też sprawa wychowania wymaga, iżby w domu prywatnym obowiązywał statut organiczny, uchwalony konstytucyjnie. W ojcu młodzież czcić powinna powagę opieki rozciągłej, woli rozumnej i niezłomnej, nawet sądów i wyroków mniej lub więcej ostrych; w matce ona ukocha pożądaną ciepłotę uczuć, skłonność do przebaczeń, oraz ów rytm cichy, subtelny, a przecież wielce treściwy, któremu dziatwa zawdzięcza stronę oglądy niewieścią — cierpliwość i wyrozumiałość, litość i miłosierdzie. Tak zrównoważona obojga starszych rada, czyż to nie puklerz

przeciw zachciankom swawolnym? Czem ma być swoboda w życiu społecznym, najlepiej pouczają obyczaje gniazda, gdzie dobro wspólne zależy od sympatyj, zaufania i gotowości do ustępstw rozsądnej, szczerzej, przeto łatwej. Działwa i czeladź umieją przenikać wnętrza wyźników. Nie dziw, że radzi są odczuwać spójnię gromadki układowej, już niby dynamikę związków czynnych, postępowych a odpornych. Otóż, skoro w ustroju domowym geniusz narodu ceni szkołę najbardziej wpływową, jako najpierwszą, miałż by młodzież dziedziczna wynosić zeń wrażenia bezładu, sporów i gospodarki niedołężnej? Wątpię nie mamy racyi, że w gnieździe Śmiłowickiem obowiązywał statut organiczny.

Lecz wnioskom powyżej uczynionym nikt chyba dowolności nie zarzuci. Oto garść szczegółów, wyjęta z zapisek, znamienne treściwa, jakkolwiek szczupła i jednostronna. Zwyczajom staropolskim hołdując, Sędzia rad był w rozmowie poufnej przypominać małżonce nakaz etyki patryarchalnej, posłuszeństwo ze strony jednej, gdy drugą obowiązuje ojcowska względem płci słabej powaga. Lecz statut przewiduje granice i możliwość nadużyć, oczywiście ze strony władniejszej. Jakaż na to rada? Pani Sędzina, upieszczona przez męża tytułem „dzieweczki“, jęła nim swego pana rozbrajać, niby kielznem, powstrzymującem butę od wybuchu na wypadek nieporozumień w stadle. Jegomość też okazywał jej wysoką grzeczność obrońcy, umiającego cenić moralne przymioty podwładnej, ba, słabość samą, jako przewagę niewiasty. Waleczyć z wdziękiem, wstyd dla mocy; waleczyć z mocą, wstyd dla wdzięku. To też uszy dworu Śmiłowickiego, nadstawione kwoli zwykłych wymagań polityki domowniczej, nie ucierpiały nigdy z powodu swarów i poduszczeń złowrogich. Tu, zamiast wybieczek nadezłości obrażonej, gniewu i pychy, bywały posiedzenia intuicji i rozumu, dość spokojne i na korzyść domu baczne, iżby je wieńczył wynik zgody zupełnej. Poznajmy nieco treść uwag, zamienianych w sprawie niezmiernie doniosłej, w sprawie wychowania. Z dzieci swych pragnąc być dumną, matka życzyła sobie widzieć je w blasku oświaty. Niech się uczą dużo; niech imię ojca rozślawia wieńcem darów uprawionych; niech w spadkodawstwie ród Wojniłowiczów nie dozna upokorzenia. Lecz ojciec sądził inaczej. Mniej dbał o *decorum*, niż o trwałość wzrębu, on chciał w potomstwie

swojem rozwijać potęgę woli, kształcić charaktery, uwzględnić przyszłość ojczyzny, dotkniętej właśnie szaleńcami hysteryi. Miałaby przeto lekceważyć uprawę wiedzy i piękna? Ani chceć, ani działać dobrze nie potrafi ten, kto zaniedbał rozszerzyć pogląd swój na życie, rozniecić ogień twórczy, opierać powagę czynu na zdobyczach racjonalizmu. Pan Sędzia wiedział o tem doskonale. W naradzie też chodziło mu tylko o zaznaczenie, że blask pochłonać może istotę rzeczy, czem znów nie wadzi potracić jaźni, skłonny do wielu usterek pod wpływem czułości macierzyńskiej. Rozluźnieniu przez pieszczotę pragnął zapobiedz naczelnik rodziny, wypracowany samodzielnie w szkole doświadczeń i świadom skutków, jakie sprowadza romantyczne cackanie się dziećmi.

Otóż stało na tem, że Stanisławowicze nie wyjdą z pod strzechy rodzinnej bez broni, która myśl ludzką strzeże od kurezów, omdleń i błędnej po bezbrzeżach idealizmu wędrówki. Niech każdemu z nich drogę wskazuje system wychowawczy, zdolny wpłynąć na wzrost dźwigni osobistej. Nie tylko czytać i pisać, łacinę znać uczyła ich matka, może tem gorliwiej, że ojciec, rozlubowany w zwięzłej i energicznej mowie świata klasycznego, dawał złe świadectwo makaronizmowi rozpanoszonemu. Szpikowania polszczyzny należało oduczyć młodzież ówczesną, o czem zapewne pamiętać nie zaniedbał nauczyciel domowy, zwany dyrektorem. Program, obejmując przedmiotów wiele, wszystek nawet zakres początkowania, nie wykraczał przecież poza granice higieny. I słusznie, skoro uczelnię przygotowawczą na wsi cechował zbytek, mało znany wśród mieszkańców Litwy. A teatr dziecienny, gdzie usiłowano nie tylko bawić, lecz wyborem sztuki kształcić bohaterów małych... to już chyba dziwactwo w obliczu arystokracji samolubnej, zaślepionej, hałaśliwie rozigranej i mało bacznej na potrzeby pokolenia. Grę aktorów nieletnich podziwiała często sala widzów, pełna gości, przyjaciół i czeladzi, dzielających radość rodziców i nieobojętnych na wróżby, snowane ze spostrzeżeń estetycznych. Ów teatr wiejski, urządzone w gumnie, czarowny jednak przez współudział czynników rozmaitych, między innymi grajków czeskich, niby orkiestry, czyżby nie budził mocy twórczej, co uszlachetnia naturę i podnosi młodzież na wyżynę ideału? Suchą dyrektora pracę on znakomicie zasiliał ze strony uczuć i wyobraźni. Otóż, że na umysły pan

Stanisław oddziaływać umiał, świadectw nie brak. Literaturę klasyczną znając z arcydzieł, lubił on rozprawy ustne potęgować zdaniem mistrzów. Lecz, spójną nastrój poezji majestatyczny z wezbranym lirycznie, już Psalm Dawida z osobliwym głosił namaszczeniem. Psalterz umiał na pamięć. Jeśli zaś, jak przypuszczać należy, zamiast recytacji jęśliwej i jednostajnej, używał pełnej, rytmicznie wymownej a spokojnie akcentowanej, gdy co rana witał naturę jednym z natchnień gorących, to jakże majestatycznym być musiał ów widok rycerza, opiewającego chwałę Wszechmocy! O takim upodobaniu świadczył długo kamień polny, „Dawidowym“ zwany, zaś wizerunkiem króla pieśniarza przyozdobiony. Byłże to pomnik bez znaczenia dla młodych słuchaczy? Byłże on później kamieniem martwym dla pieśniarza polskiego? Zobaczmy.

Sędzina tymczasem nie biadała wcale z powodu dyscypliny, zawieszanej przez męża nad miluszkich głowami. Szkołnictwo tępić przez wzgląd na marnotrawstwo, dzikie instynkty płoszyć do ostatka w imię cywilizacji wytwornie pojętej, dobroć surową krzesać społecznie i przez stosunek do objawów życia w naturze, oto zasady, które pana Stanisława zmuszały do użycia ręki, ilekroć na skutek upomnień łagodnych rachował mało. Rozumiał on bowiem, trzymając się przykazań pedagogiki współczesnej, iż razy, byle nie zbyt bolesne i dla miłości własnej nie dotkliwe, hartując, budzą samopoczucie i samodzielność u osobniczków nie dość pojemnych.

Wzorów też żywych działwie Śmiłowickiej nie brakło. A najprzód ów w gospodarstwie obraz ładu, który zwykł razić uszczerbkiem technicznym, jeśli zabiegami obojga małżonków równoważnie wykończony nie jest. Śmiłowicki nie raził. Tu nadliczbowe w jadalni nakrycie, „bernadyńskim“ zwane, pouczało, że obyczaj samolubów, cierpki i brzydki, o ile rozbija na cząstki całość życia rodzinnego, zasługuje na odprawę wobec gościnności szczerzej, gotowej grono domowników powiększać, nie zaś uszczuplać. Ludno też było i weselnie w domu zamożnym, tem ludniej i weselniej, że duszą zamożności była swoboda, był ów rytm równy i pełny, co idzie od serca, a sięga aż do najdalej położonych komórek. Stąd zadowolenie, radość i trwała całego ustroju spójnia. Pan Sędzia, żywiąc w sobie iskry dobrego zdrowia, sypał je naokół garściami bogacza, który ma czem obdarzyć otoczenie liczne, tu

słówkiem dowcipnem wywołać uśmiech serdeczny, tam podniętą moralną ukoić myśl strapioną, ówdzie siłą woli wesprzeć ruch słabnący, iście jak przystoi głowie, dbałej o konstytucyjną w swem państwie jedność. Dobrobyt Śmiłowicki słynał w okolicy. Podziwiano ustrój, przypisując kwitnący stan jego rządzeniom fortuny ślepej. A jednak ślepym był tu sam podziw, nie baczny, że państwo, bodaj tak malutkie jak izba rzemieślnika, zdola pomieścić w sobie duży obraz szczęścia, byle w niem tętnił ów właśnie rytm utajony, co idzie od serca a ogarnia całość. Kompozycję wykończyła głowa; lecz miarę przestrzeni i czasu daje żywostan całkowity. On to głowie rad przypomina, że działać i mieszkać, nie sztuka; ładnie mieszkać, ładnie działać, sztuka. Wszak styl wyraża osobę. Miło jej oglądać swoje ja, wypracowane tak, ażeby w zwierciadle ustawionem nie spotkała się z wyrzutami, raz z powodu brudów i miary fałszywej, raz z powodu braków i techniki chaotycznej. Nie o wystawę jej chodzi, ni o zbytek kosztowny. Boć cena materiału, fraszka. Układ ją cieszy, użytek interesuje. Umiejąc potrzeby swe ograniczyć kwoli celom wyższym, moralnym, ona też dane przestrzeni i czasu potrafi zapełnić dokładnie, praktycznie, podług praw mechaniki powszechnej. Jeśli nadto czoła jej nie chmurzy jutro groźne, jako skutek lenistwa i rachowania na opatrność, jeśli na jej sercu nie ciąży czyjaś krzywda lub wydatek zmarnowany, to już biadać nie pozwoli jej rozum, ów mistrz wewnętrzny, któremu ona swą równowagę zawdzięcza. A taki właśnie mistrz, zwolennik prostoty wytwornej, był na litewskim obszarze twórcą ładu, którego wartość społeczna, utrzymana we czci przez poczet świadków i spadkobierców bezpośrednich, miała, czem jest, okazać w dziełach już estetycznie skończonych.

W pokoju pana Sędziego leżały wory opieczętowane, pełne złota i srebra. Lecz skarbu nie strzegły zamki. Był on otwarty, jak serce właściciela, gotowe do wydatku, gdy życzliwość idealna nie wystarcza, a potrzeba woła o dowód. Kto wpadł w sieci złej doli, a na pomoc zasługiwał, ten śpieszył wprost do Śmiłowicz, przekonany, iż otrzyma pożyczkę tanią i łatwą, uwarunkowaną pojęciem bogactwa iście społecznem. Ani chciwość na zysk, ani obawa co do zwrotu, nie kurezyły dłoni silnej, bo nie powstrzymywały woli, zdolnej wciąż zabiegać, tworzyć i pogodnie ubytek wszelaki znosić.

Stąd wzór żywy dla dzieci. Dawać uczył je ojciec, dawać po ludzku, szczerze i rozumnie, w czem tkwić musiały zasady stoicyzmu, wyznawane przez mędrców sprawiedliwych i obywateli czynnych, dbałych zarówno o godność własną, jak o dobro publiczne. Umysły też chwiejne, o ile młode, nie zauważyły nigdy, iżby u wzorodawcy słowa wiodły sprzeczkę z czynami. Tu panował wyraz zgody stały i niewzruszony, taki właśnie, jaki odznacza charaktery możne i zabezpiecza spuściznę od wpływów szkodliwych. Moralną życiodawcy wyżyne dzieci podziwiała wśród otoczenia. Wszak ojcem był on nie tylko dla nich, skoro, usiłując swój obszar zaludnić, przyciągał ku sobie proletarjat chętny, pozbawiony pracy, więc osiedlał rzemiosło, to przytułek dawał rolnictwu i przemysłowi, a zawsze wspierał radą i opieką, darząc bezdomnych zasiłkiem pieniężnym, ziemią, sadybą i warsztatem. Śmiłowicze też zasłynęły z porządków środowiska, zaopatrzonego we wszystko, co zwyczaj ustanowił ku codziennej mieszkańców okolicznych wygodzie. Stąd promienie czci dla dobroczyńcy, który, zamiast ośmielać nędzę i krzewić lenistwo za pośrednictwem jałmużny, odpędzał złe widmo poduszczeniem demokratycznym, dziejowo baczem, iżby kraj każdy zawdzięczał swój rozkwit nie cudzoziemskiej potędze kapitału, nie zabiegom kosmopolityzmu i powag urzędowych, lecz dźwigniom własnym, miłością ojcowizny zwanym.

Tyle wart był mąż, niby pień osobliwy, co wzrósł samodzielnie a kształtnie i rozłożył się, jak gdyby dbał nie tylko o wspaniałą postać drzewa, lecz i o szlachetne przymioty wierzchołka.

Dziesięciu synów i sześć córek powiła pani Ewa bez skargi na ciężar. Nie całej jednak tej drużyny zdrowiem i życiem cieszyć się małżonkom wypadło. Czterech synów i dwie córki zabrała im przedwczesna śmierć, jako siła natury, bezwzględnie rada, ilekroć łatwą ma kość z powodu główek dziecięcych. Gdy ścięła najmłodszą, pan Sędzia, liczący krzyżyk ósmy, pożegnał żonę zapisem, gdzie wymienił dziesięć sched spadku i wskazał towarzysze na tyleż pociech uosobionych. Było to w roku 1807, w dzień Wielkiej Soboty. Dzwony kościelne, obwieszczając podczas mszy „Chwałę na Niebiosach“, jęły zarazem obżalowywać skon człowieka sprawiedliwego. Lecz dzwony bić przestały, a na serca wezbrane spadł obo-

wiązek życia, powołujący je do utrzymania zapisu w całej mocy, na jaką pracował patriarcha rodu. Ekonomiczny całokształt Śmiłowicz pryśnie. Sześć części, po sto chat każda, wraz z gotowizną tysiackroć większą, wezmą synowie; oblubieńcy zaś czterech córek spodziewać się mają, że im każda przyniesie w posagu sumkę złota, ładnie dziesiątkiem tysięcy dukatów zaokrągloną. Czyż przeto jedność rodziny pierzchnie? Krucho byłaby wiązana budowa tak dalece chwiejna.

II.

Obrazek, pobieżnie naszkicowany, niech czytelnikowi przedstawi rysy osób, które Stanisławowi Moniuszce zawdzięczyły dziedzictwo psychiczne. A najprzód zauważyć proszę wartość tegoż, jako potęgi jednolitej, zdolnej uroźnicować się i rozwinać znamienne pod wpływem czasu, otoczenia, szkoły, oraz samodzielności każdego z obdarowanych. Rozum pana Sędziego, skierowany głównie w stronę zadań praktycznych, zajaśniał u synów barwami indywidualizmu, jak promień słoneczny, rozłożony w ciałach i odbity wielorako przez ich natury różne. Podkład pozostał, ów źródłowy, co zabezpiecza charaktery przed słabowaniem i utrzymuje organizmy w pożądanym stanie zdrowia. Lecz wiedza i sztuka miały teraz powitać przedstawicieli umysłowości nieco odmiennej, na tyle giętkiej i wrażliwej, spostrzegawczej i płodowej, na ile pozwalał stopień rozwoju. Prawo dziedziczności pośpieszy z pierwotnemu wyrobić typy bardziej określone, wyraźniej złożone; nie pozbawi ich przeto potęgi żywotnej ni daru porządkowania jaźni, czem bogaty, potrafi każdy z uświadomionych wykończyć swą osobistość mniej lub więcej strojnie, mniej lub więcej oryginalnie. Tę zdolność da im prawo morfologiczne charakteru wypracowanego. Jeżeli trzeźwość sądu wzbraniała ojcu topić duszę w tęsknicy mistycznej, w uniesieniach chorobliwych i w marzycielstwie, dopuszczając jedynie współudział wiary praktycznej, jako potrzeby serca, to już wykształcenie wyższe nakaze synom myśleć wręcz podług wskazówek intuicji rzeczoznawczej i krytyki naukowej, swobodnie, śmiało, otwarcie, jak przystoi bojownikom cywilizacji, której ideały rodzic - socjalista zaledwie wzrokiem wieszcza mógł przewidy-

wać. Wyszkoleni w konwiktie Śmiłowickim, młodzi Moniuszkowie kończyli nauki w Wilnie. Dominik otrzymał tu na wydziale prawnym chlubny tytuł doktora. Kazimierz dorównał bratu. Aleksander umiłował nauki klasyczne i zdobył stopień kandydata na fakultecie filologicznym. Czesław uprawiał sztukę i protegował artystów. Ignacy zgłębiał filozofię z zamiłowaniem mędrca, który pragnie poznać oblicze prawdy istotnej, ludzkiej. Tyle było różnic. Czyż przeto synteza dziedzictwa uległa pod działaniem czasu, który ją powoływać umysły do badań drobiazgowych i analizy, do abstrakcji i wyłącznych zgoła zabiegów na korzyść programu rozkładowego? Drużynę Moniuszków zasilał wciąż ogień, ów wewnętrzny, czysty a płodny, który niszczy zarazki samolubstwa i pobudza myśl do pracy w imię kojarzni zupełnej, organicznie wytwornej. Wiemy, iż prawoznawstwo nie przeszkodziło Kazimierzowi wchłonąć znawstw tak obszernych jak medyczne i przyrodnicze, a to na korzyść myśli syntetycznej i szeroko w kraju rozwiniętej działalności. Dominik, wyzwoleniec wszechnicy, służył sprawie ojczystej pod znakiem Napoleona, a odznaczył się jako działacz społeczny. Aleksander, filolog, malował z zapalem, a choć mistrzem pędzla nie był, toć przecie suchej nauce mógł czastkę dać życia ze skromnych zasobów artysty. Zdolni to, dzielni, poważni i pożyteczni ludzie. Poznajmy ich bliżej.

Najpierwsze w pamięci miejsce i szacunek największy należą się bezspornie Dominikowi. Obywatele Hellady odrodzonej uczciliby go pomnikiem. Nowocześni, zwłaszcza pozbawieni bytu politycznego, zaś wogóle nie dość świadomi celów humanitarnych, nie umieją zasług podobnych wyróżnić wśród walki ekonomicznej, wszczętej pod sztandarem chciwości. Wcześniej w głowie Dominika Moniuszki utkwiała myśl, której zarzewie spoczywać mogło bezwiednie w narodzie, gotowym, na dane przez historię hasło, butę szlachecką ukrócać za pośrednictwem uwłaszczeń żywiołu uciśnionego. Jednostce w gminie należy wydzielić własność rzeczywistą, zupełną, skoro prawo organizmów społecznych wymaga, ażeby włościanin wstąpił w szeregi obywatelskie, posiadał głos iłożył na równowagę dynamikę w Państwie. Wtłoczony w koło zobowiązań bez wyjścia, przymusowych i wstecznych, czyż zechce on kształcić się na pożytek jedności wielkiej, której nie widzi ani ocenia ze stanowiska woli rozteranej? Niech więc posiada;

niech będzie paneczkiem w granicach gospodarstwa własnego, o tyle swobodnym i poszanowanym, o ile wymaga świadomość człowieka, co ma rozważyć, że pracuje nie dla dziedzica, nie dla gromady, nie dla siebie nawet wyłącznie, lecz przez siebie dla dobra ogółu społecznionego. Taką potrzebę odczuwało nie jedno serce, zatroskane o byt ojczyzny. Nie dziw, iż syn pana Sędziego postanowił, podobnie jak synowiec Tadeusza Rejtena, myśl posłanniczą oblec w kształt żywy, pomimo przeszkód, piętrzonych przez obłęd i przywilej. Napoleon upadł, a z nim poszły do grobu nadzieje mylne. Wówczas, kto ciekaw, a nie zaślepiony, podziwić mógł, jeśli nie zwrot stanowczy do pracy samodzielnej, to przykład, dany przez Doktora Obojga Praw i rycerza z pogromu. Nie dość mu było użyć powagi zdobytej, przekonywać w imię wiedzy i doświadczenia, przedstawiać korzyść wspólną, łamać wymownie upór bogaczy. Niech patrzą raczej, może zmiękna. Panu Majörowi wypadło rozpocząć, a jeśli energicznie, to i mądrze. Swoją tedy obszar dzielił on na części równe, bacząc, by liczba ich odpowiadała liczbie rolników poddanych, a nadto, by osadnictwo na skalę pomyślaną nie zawiodło. Niezależnie bowiem od zwróconej uwagi na wpływ szkoły i opieki, jakże on ładnie siedziby swoich paneczków uplanował? Oto każdy z nich, zamiast ulegać pod systemem tłoczni wiejskiej, pańszczyźnianej, miał zamieszkiwać domek osobny, niby twierdzą, skąd łatwo obejrzy własność okólną, pole zasiane, ugor, łąkę, las i ogród, zabudowania folwarczne oraz inwentarze, zgoła dobro całkowite, łącznie na wzór dworskiego urządzone. To go uleczy z lenistwa i obojętności, oddali od karczmy a zainteresuje widokiem pracy rządnej, nie oddawanej na łaskę opatrności. Poszanowany z góry, uczył by się prostak szanować osobę własną i wiązać z sąsiadem przyjaźń trwałą, jak przystoi ludziom istotnie wolnym, bo rzetelnie władnym. Działacz w sprawie tak doniosłej nie celował oczywiście w tarczę ambicyi osobistej; nie liczył przecież na skutek blizki kto zmienić zamierzył ustrój długotrwały. Pełen mocy ofiarnej, rad on był patrzeć w przyszłość i ufać geniuszowi narodu, który chwile zboczenia okupić nie zaniedba zwrotem do tradycyjnych o szlachectwie pojęć. Czem jarzmo, wszak kmieć ongi nie wiedział.

Rozumieć się ma, że plan uwłaszczenia należał by do rzędu wyskoków fantazyi, gdyby dobroczyńca nie pomyślał

o mocnej dźwigni moralnej. A najprzód pomiędzy osiedleńcami zajął on poważne stanowisko starszego brata, doradcy i wzrodamcy. Wszak ich nie całym obdarzył obszarem. Część gruntu pozostawiając dla siebie, urządził dominium to na skalę odpowiednią, skromnie, lecz zasobnie i gospodarnie, a jął działać jak dobry sąsiad, co każdej chwili gotów jest uścisnąć dłoń i ugościć osobę współziemianina, krzesać surowiec narzędziem oglądy towarzyskiej, wiązać nie z nicą w świadomości zwichrzonej, budzić sympatyę, prostować żądze i zachęcać naturę zdrową do samouprawy. Nie dość tego. Umysły ciasne i ciemne należy, dopóki młode, otwierać ostrożnie, oświecać stopniowo i rozszerzać wskazywaniem na prawdy dowiedzione, by mózgów nie uszkodziły dymy cywilizacyi, by serce nie urzekł chór przewrotnej rady, by woli nie spętał czar przesądu i wsteczniactwa. Pan Dominik tedy pośpieszył z darem dla pokoleń. Dwie szkółki, jedna dla chłopców, druga dla dziewcząt, powstały kosztem opiekuna, który pomiędzy warunkami umowy nadawczej zamieścił *obowiązek szkolny*, zmuszający rodziców do ofiary, jeśli tak nazwać im się podoba posyłanie dzieci po światło. Interesowani grosza nie wydadzą; cały bowiem ustrój uczelni, aż do pożywienia, obarczał kasę zwierzchnika; czas zaś szkolny nie obejmował miesięcy roboczych; to były wakacje. Co wszakże dziatwa zdobędzie, przyjmując wiedzę od początku jesieni aż do wiosny, tego nie utraci w domu, bo nacisk kładziony był, zgodnie z zapotrzebowaniem, nie na martwe formy, nie na wykład abstrakcyi lub dogmatów, lecz na rzeczoznawstwo, na ład wśród zjawisk i jestestw, na żywe dzieje przyrody. Ćwiczeń klasycznych nie pomijano. Wielce jednak ważnym, niemal głównym przedmiotem zajęć były rzemiosła, praktycznie przy rozlicznych wykładanych warsztatach. Przy szkole nie brakło urządzeń pomocniczych, biblioteki, czytelnicy, zbioru okazów oraz pracowni doświadczałnej. Porada lekarska i apteka dopełniały całokształt opieki ze strony cielesnej. Czyż to nie piękne świadectwo troski, umiejacej ważyć niebezpieczeństwo wiedzy samej, zwłaszcza pierwiastków? Udzielana bez względu na moc woli i poprawę charakterów, wszak ona zamiarom występnyemu usłużyć potrafi. Tak pojętej instytucyi całą duszą oddany, syn pana Sędziego pozostał bezzennym; nie pragnął bowiem szczęścia większego nad to, jakie znajdował w dziele, mającem niewąt-

pliwie zakonne cechy wykupienia ludu z niewoli. Nie dziw, iż się doczekał nagrody, przeznaczonej dla dobroczyńców z powołania. Kto zobaczył scenę, gdzie lud, starannie odziany, obyczajny, trzeźwy, pilny i zamożny, wypełnia ramy treścią pracy zacnej i rytmicznie uporządkowanej, gdzie rolnik jest zarazem rzemieślnikiem i człowiekiem poważnym, zdolnym tworzyć i rozkazywać sobie, gdzie oblicza promienne i zadowolnione wróżą przyszłość pomyślną, wszak taką scenę kto wywołał z nędzy, upodlenia i grozy, rzecz może słuszenie: idę spocząć bez żalu, bom spełnił zadanie swoje.

Lecz przykład, zapisany w bezwiedzy świadków, jako fakt dziejowy, a doniosły i płodny, nie przekonał upartych. Widziano w nim, pomimo powodzenia, dziwotwór, zamek na lodzie, a mędrkom i satyrom nie zbrakło argumentów ani dowcipu, by ośmieszyć to, w czym tkwiło bankructwo przywileju, wsteczniectwa i nawyknień utrwalonych. Dóbr tych nie radzi jesteśmy pozbywać się w widokach postępu, który zaślepionym a leniwym nie nie przyrzeka, nie nie pokazuje, oprócz rachub zawiedzionych, cierpień i wysiłków daremnych. Nie chcemy pamiętać, że powodzenie pomysłów pięknych, byle wykonanych, zależy od nas, od woli, zdolnej pożądać mocno ziszczenia postanowień rozumnych. Po co więc oszukiwać siebie spychaniem odpowiedzialności na czas, na jakąś energię obcą, zewnętrzną, ukrytą, skoro historię swą ludzkość taka przeważnie sama, to posuwa gwałtownie, namiętnie i rzutko, to pozostawia w stanie spoczynku, by płacić haracz posłom reakcji? Nim socyologia tę prawdę odsłoni, już geniusz twórczy uprzedza, że energię dziejów chowamy w sobie, zażywając ognia tem bezrozumniej, im niedołężniej usiłujemy wydobyć się z objęć złej wieści, przemocy i fatalizmu. Rozwinięty dziś ruch w dziedzinie ekonomii i wyzwoleń demokratycznych, ruch zwyczajki, ujawniający się coraz powszechniej, spokojniej i zgodniej z prawodawstwem chrześcijańskim, świadczy, że dzieło Dominika Moniuszki ani lekkomyślnie poczętem ani poronieniem nie było.

Drugim z kolei przedstawicielem służby społecznej, równie wykształconym, równie dobroczynnym, jakkolwiek nie u posad, przeto mniej ofiarnym, był Kazimierz Moniuszko. Doktorat w prawoznawstwie nie otwierał świątyni, skąd młodzieniec wynieść zamierzył namaszczenie humanitarne. Żądnemu

zwiększyć poczet bojowników światłych należało wzbogacić wiedzę znajomością praw, jakie rządzą we wszechświecie. Ogień tedy specjaliści dopóty nie strzelił płomieniem szerokim a jasnym, dopóki nabytych przezeń pojęć formalnych o sprawiedliwości nie uzupełniły dane istotne, przyrodoznawcze. Odczuł tę potrzebę wychowaniec wszechnicy, gdy, niedługo po świetnej obronie rozprawy łacińskiej, objął posadę kuratora honorowego szkół w powiecie Ihumeńskim. Stanowisko dla honoru, jak uczą zwyczaje arystokracji bezczynnej, to nie urząd, nie miejsce dla jakiejś mocy pełnej, to krzesło do figurowania wśród powag rzeczywistych, wydział protekcyi i nacisku przez tytuł, jeśli nie okazyja do błyszczenia w towarzystwie. Taką gwiazdą syn pana Sędziego być nie chciał. Opiekę bowiem nad młodzieżą szkolną pojmował on ze stanowiska socyologii, jako patryotę, zatroskany o moralne dobro narodu, o uprawę charakterów i o postęp w naukach. Wszak honor obowiązuje. Któż, jeśli nie kurator, wskaże przewodnikom system wykładów i postępowania? Kto, jeśli nie on, pobłogosławi związek miłości i zaufania, jaki istnieć powinien pomiędzy ciałem wychowawczem a wychowywanem? Tak zapewne obowiązek przełożonego pojmował wielki arystokrata, ów Czartoryski, który nie darmo był mężem nauki, skoro, urzędując demokratycznie, podniósł w Polsce, zwłaszcza w okręgu Wileńskim, poziom oświaty, wyjarzmił włość własną w Galicyi, a służąc ojczyźnie jako żołnierz, to jako minister i przyjaciel cesarza Aleksandra I, to znów prywatnie i na uboczu, ozdobił skroń swą wieńcem wspomnień najwonnejszych. Magnat umiał przenikać wnętrza i oceniać wartość ludzi, powołanych do współprawnictwa. Nie dziw, że z zaścianka wydobył powagę, zdolną dopilnować, by plan mistrza ogólny obowiązywał ziemi rozległe. Kazimierz Moniuszko został wizytatorem szkół na Litwie i na Wołyniu. Jak mianowicie urzędował, nie wiem, bo nie posiadam wieści rękopiśmiennej. Czekać należy, aż historia wyświeśli sprawę całą, grupując postacie współczesne wokoło głównej, w której dotąd polskiego dyplomata i wspaśniałą duszę uczyć nam zaleciła. Z opisów luźnych wiemy wszakoż, że tam, gdzie żądnym ciepła dokuczał chłód, nastąpiły, za przyczyną działaczy mniej lub więcej znanych, dni wiosny i lata, dość płodne, skoro wydać mogły poczet umysłów bogatych i sere gorących.

Ale zakres służby wymienionej nie odpowiadał potrzebie wydatkowania. Czasu zbywała miara duża. Czem ją wypełnić? Umysł, silnie zajęty nauką, przekracza łatwo granice praw swoich i wymaga, iżby na korzyść snowań idealnych wszystkie władze, zmysły, wyobrażenia, pamięć, uwaga i wola, znosiły materyał pożądaną; więc je despotycznie pozbawia żywotności, mało bacząc, że zrywa stosunek ze światem zewnętrznym, wyłącza swoje dominium i nadwyręża równowagę psychofizyczną. Niech mu w tem wola usłuży bezwzględnie, przestając być posłem rozsądku, czyż uczonemu nie zagrozi stan automatyczny, czy on nie wpadnie w błędne koło ideologii? Znane są wśród cywilizacji wysiłonej liczne przykłady umysłowości zbłąkanej, teorye i zachcianki uczonych głupców. Kazimierz posiadał umysł giętki i chciwy wiedzy, o czem świadczył księgozbiorem licznym i starannie dobranym. To też rad był tam przesiadywać, a nie tylko kwoli obcowania z duchami, lecz jako pisarz, przejęty pokusą wyłożenia swoich poglądów. Mówią, że do druku przygotował paczek sporo. Otóż, że ich nie wydał, bodaj czy cenić w tem nie należy rozsądnej woli człowieka, który, dając odprawę pokusom ambicji, unikał też rozgłosu, jak gdyby przeczuwał, że tę przyjemność opłacić trzeba zwykłą daniną wysiłku — zdrowiem. Synów Stanisława Moniuszki spoliła, jak wiemy, olbrzymia jednia charakteru, wszczepiona prawem morfologicznem. Stąd barwa ich usposobień raczej żywotna niż błyskotliwa i subtelna, raczej trwała i organiczna niż lotna i wyszukana. Do czynu, nie zaś do rozmyślań gnał ojciec chłopców; do walki zbrojnej, chociażby z żelazem w dłoni, wzywał mężów ducha z poza grobu. Stąd ich służba żołnierska, bardziej dbała o zwycięstwo niż o dekoracye, bardziej o zadowolenie wewnętrzne niż o rozgłos. Takim też żołnierzem być usiłował Kazimierz.

Jako biegły w botanice, zwrócił on głównie uwagę na drzewostan i sadownictwo krajowe. Szerokie to, odłogiem leżące pole któż zapłodni, jeśli nie znawca, zdolny przedstawić obraz korzyści i zachęcać ludność, a nie tylko słowem, nie tylko przykładem, lecz podniętą umiętną i energiczną. Dzieci części Śmiłowickiej miał czem opłacić kulturę dużą, wzorową i zupełną. W jego hodowli nie brakło roślin, od wielkoleśnych i owocowych aż do drobnych i ozdobnych, od sadzonki na pień rozłożysty aż do dziczki pod szcep szlachetny,

od krzewu do wysadku i nasienia, zapewne nie z rzeszy botanicznej, co tylko ziemia pod niebem litewskim przyjąć i wyżywić zdoła. Lecz nakład nie starczy. Tak liczną i różnorodną szkołę utrzymać w porządku, bacząc na klasyfikacyę podług gatunków i wzrostu, na przeróżne warunki chowu, zdolność rozplodową i dane gleb okolicznych, wszak to obszar zachodów ogromny, jak każdy z zaniedbanych. Co sąsiadowi na Zachodzie przychodziło łatwo, o tem litwin żadnego nie miał wyobrażenia. Jak go nauczyć tajemnic, których świat roślinny nie zdradza obojętnym? Jak nauczyć chociażby poszanowania dla osobników, co żyją organicznie, to chorują, cierpią i umierają, to cieszą nas wykazem wzrostu, zdrowia i powodzenia? Kto nieuków przekona, że ów świat roślinny karmi, prócz żołądków ludzkich, jeszcze i płuca, jeszcze i nerwy; że utrzymuje wilgoć i chroni poziom od łąw piaszczystych? A bogactwem kraju, a źródłem dochodu, a przemysłem drzewnym kto potrafi zainteresować prostaka, któremu dziedzie nie przoduje wcale? W takiej to sprawie miał Kazimierz odwagę wystąpić do walki, bo takie dzieło miał darowitą wolę począć i wykonać. Nie przez posły i sługi, lecz sam on tę kampanię prowadził, to uchylał przesady, to poduszczał, uczył i doglądał przy robocie, a już najłatwiej pokonywał, gdy, biorąc na cel sedno egoizmu, trafiał weń rozdawnictwem wręcz bezinteresownem, bezpłatnem.

Że Kazimierz Moniuszko był człowiekiem niepospolitym, niech nas dziś pouczają dowody sympatii i uznania, składane mu przez takich mężów jak Śniadecki, a nadto wyraz czci i uwielbienia, jakim go pożegnał poeta. Jak bowiem pan Jędrzej, przyrodnik polski, utrzymujący z działaczem Śmiłowickim stosunek przyjaźni, zabolął nad stratą tegoż uczuciem narodu, tak znów mistrz słowa, Julian Korsak, pośpieszył cnotę filozofa ujawnić natchnieniem pochwalnem i złożyć hołd temu, który był „żywą księgą, wartą czytania, bo do hieroglifów prawdy tajny klucz posiadał“. Ów filozof osobliwy, czynny i dobroci pełen, żył, jak brat, w stanie bezżennym. Umierając, błogosławił Stasia, jako gwiazdę, wschodzącą na nieboskłonie polskiej sztuki i, rad przepowiedni dać wyraz, ofiarował bratankowi swój skarb najdroższy — księgozbiór.

Z innych synów Sędziego żaden w zasłudze nie dorównał dwom powyżej przedstawionym. Nie brakło im wykształ-

cenia ani nauki, nie wyróżniał ich samolubny wzgląd na wygodę i uciechy życia prywatnego. Owszem, ogień duszy czystej, miłującej ojczyznę, ożywiał wszystkich. Że pomimo to kronika nie jednako wystawić mogła świadectwa, obwinić należy chyba przypadek, co zwykł z mniejszą lub większą siłą wtrącać do prawa swoje wyjątki i zmieniać dowolnie wyrobioną wagę dziedzictwa. Pamiętajmy, że dzieci, zwłaszcza synowie, otrzymują po matce część spadku nie małą; a chociaż typ męski, jeśli jest niezwykle silny, posażny i płodny, powinien by stanowić przewagę znamion, to jednak natura nie zawsze względem potomstwa zachowuje się poprawnie. Moniuszków znamionowała wstrzeźliwość samowiedzy, jako zaleta umysłów darowitych, lecz nie chełpliwych, nie zarozumiałych. Otóż, jeśli wymiar zgrzeszy przesadą, wyniknąć stąd mogą braki, jak ów samodzielności rzutkiej i zaufanej w sobie, zdolnej stawiać odważnie przed majestatem krytyki publicznej. Obawy co do powodzenia, częstokroć skutki ambicji wygórowanej, kępają wolę; a bez jej pomocy najpiękniejszy dar pozostanie w domu i umrze bez wieńca. Nie dość. Przy usposobieniu lęklivem, wobec skromności nadmiernej i licującej z tem dumy ukrytej, grozi spowicie, więc stan umysłu, gdzie wiedza, jakkolwiek starannie nagromadzona, spoczywa bez ruchu i wyjścia, albowiem podmiot nie zdoła, przeto nie umie rozwinąć jej ani spożytkować. Rozumieć się ma, że wadę podmiotu potęguje nacisk przyczyn zewnętrznych. Patrzmy. Oto Ignacy, najstarszy z braci, zadowolniony z patentu, wydanego przez wydział wszechwiedzy, uprawia naukę bez przerwy i do końca życia śledzi tajemnice bytu, jako badacz-filozof. Czemuż nie zostawił śladu, nie wydał bodaj rozprawki, nie uczynił zadość potrzebie idealnej? Mąż, który usiłował syntezę rozumu zrealizować w swem własnem życiu, czemu swej duszy nie odsłonił? Dlaczego raczej odczuł powołanie do służby czynnej, skorzystał z pobudki Napoleona, własnym kosztem postawił pułk kawalerii i odbył na czele tegoż chwalebna, acz tragiczną wyprawę? Ba, tchórzów haniebnych polska ziemia nigdy nie żywiła; lecz do wszechwiedzy, do budowania systemów, do świątyni rozumu szlachetne rycerstwo czuło zawsze wstręt niepokonany. Stąd tej wszechwiedzy uprawa zaściankowa, przygodna i nieśmiała, albowiem przez ogół nie popierana. Obojętność powstrzymuje ambitną a mało rzutką

wolę od wystąpień, nie rokujących powodzenia. Zaznaczmy, iż pułkownik-filozof odznaczał się w obcowaniu obyczajem rycerzy polskich, tych giętkich, wytwornych i miłych, co unikają burdy, tak samo jak i powagi zimnej, suchej, bezbarwnej. Ani uprzejmość, ani usługowość, ani też litość nie kryły się w alkwie, gdy przed domem pana Ignacego stanął zaprzęg sąsiada, wózek ubogich lub sam biedak o kiju.

O trzecim, licząc w porządku narodzin, o Józefie, cóż powiemy? Chyba to, że stanowił on chwilę wypoczynku, niby międzyakt natury, co już spłodziła Dominika, a zdobyć się miała na Kazimierza. Ów trzeci nosił tytuł Chorążego, bo szlachcie polski bez tytułu wyglądał ongi jakby chrztu pozbawiony. Lecz chrzest obowiązuje, a Imię pan Chorąży bodaj czy pamiętał o tem, przekładając brzmienie samo nad symbolizowaną przezeń powinność. Zauważyć trzeba, iż urzędy chorążych, od wielkich koronnych i litewskich aż do powiatowych, ustanowione były raczej dla wystawy i blasku podczas pochodów zbrojnych i uroczystości publicznych, niż kwoli wymagań służby stałej, codziennej. Panu Józefowi, jako powiatowemu, wypadało ująć znamie i nieść przed swoimi, ilekroć starszyzna obwieściła stawiennictwo z powodu ruszenia pospolitego lub parady. Wieleż takich wypadków w swem urzędowaniu rachował? Może już ani jednego. Nie parady same zgubiły Rzeczpospolitą; zwyczaj bowiem noszenia tytułów mało-ważnych, symbolizujących wspaniały pozór potęgi, był tylko jednym z objawów buty szlacheckiej, ryczałtowo zgubnej. Nie dziw, iż pan Chorąży wiódł życie domowe, pozbawione uciech, jakimi nas darzy rzutkość wywnętrzeń wzniosłych, celowość poważna i zasługa. Cóż miał robić, chcąc nudę odpędzić i czasu miarę rozwlekłą skrócić? Oczywiście bawić się, nie, tylko się bawić. Wesoło też schodził dzień po dniu w domu małżonków bezdzietnych. A wiemy, że fantazję polską, do zbytku płodowitą i swobodnie w dziedzinie humoru rozigraną, darmo by jakiś wróg zahaczyć usiłował, rachując na wyczerpanie. Jeżeli nie karty, ani żadna, o ile wiem, z uciech hałaśliwych, to niewątpliwie muzyka, tańce, gry i teatr, więc ucztyskromne, biesiady i niespodzianki miłe ściągaly do Radkowszczyzny poczet gości liczny, jużci dobrany i dostojnie zżyty. Na pochwałę też pana Józefa nadmienić trzeba, iż, pomny zasad demokratycznych, rad on był ucztować wspólnie z drużyną

włóscian, których sadzał bez wyróżnień obok paniąt gładkich, lecz nieobraźliwych. Kto wie ażali w tem nie tkwił zakrój pomocy, mającej wspierać zabiegi Dominika ze strony wpływów towarzyskich.

Czesława, piąte swe dziecko, państwo Stanisławowie powitali przepowiednią. Czemuż by chłopię nie urosło na bohatera? Nadzieję rodziców podsycaly chyba wypadki okresu dziejowego, wezbranie ogólne i przyśpieszony w kraju rytm życia. Zapytani, dlaczego w kolebce pieścić chcieli Towarzysza Kawaleryi Narodowej, inaczej pewnie pomysłu usprawiedliwić by nie mogli. Zwyczaj wczesnego zapisywania pozwalał na to. Bądź co bądź, jakkolwiek jeździec w pieluchach, zamiast komendy, słuchał usypiających dźwięków kołysanki, sercu rodzicielskiemu nie przeszkadzała snuć wieszczby — nawet psota, wyrządzona przez chorobę. Czesio, mając lat pięć, stracił jedno oko z powodu ospy. To nic. Przecież zostało drugie, a geniuszek rodu szeptał, że w kalectwie tem bardziej wybrańca nie opuści. On otrzyma odszkodowanie wielkie. Przyszły tymczasem bohater jał świętne nadzieje jakoś zawodzić. Szkoła odmówiła mu odznaczeń, a chyba słusznie, skoro kraj nie pozyskał w nim siły poważnej w jakimkolwiek wydziale pracy. Co wiemy o jego służbie publicznej, to zaledwie starczy na wizerunek człowieka, którego rysy, acz sympatyczne, zdradzają stopień zdolności, jeśli nie mierny, to zbyt mało wybitny, ażebyśmy cenić w nim chcieli wrodzoną Moniuszkom skromność. Gdy urok potęgi, wcielonej w armię Napoleona, ogarnął Litwę, wtedy Czesław wstąpił do pułku strzelców konnych, by usłużyć ojczyźnie, jako adjutant, powoływany chętnie do zleceń polowych przez kilku z kolei marszałków. Rada wojenna przyznała mu zalety oficera, zasługującego na zaufanie. Nagrodzony dyplomem kapitana, skończył prędko karierę złudzeń, rozpoczętą wśród uniesień romantycznych, ostygł i uznał, że najlepszą rękojmię wypoczynku po burzy znajdzie w małżeństwie. To też towarzysz niedokołysany a strzelec ocalony pośpieszył w niewieście celować serca; wkrótce pojął za żonę Elżbietę Madzarską i osiadł w majątności, zwanej Ubielem, tuż obok Śmiłowicz.

Kronika w tym piątym wyróżnia artystę. Miał on namiętnie przykładać się do rysunku i z niemałym upodobaniem brać nawet pędzel do ręki. Atoli pośrednik tej wieści dodaje,

że panu Czesławowi muza odmówiła namaszczenia. O jego dziełach krytyka nie wydała sądu. Może się przechowują w archiwach rodzinnych. W każdym razie, jeśli są, to zdradzać muszą technicznie jednostronność wzroku wprzód, nim wykazać by mogły zaletę malarza w znamienym wyborze przedmiotu i w głównych rysach kompozycji. Szkoda, że nie możemy odgadnąć artysty, chociażby ukrytego poza wadliwością rysunku, poza rozterką w perspektywie, światłocieniach i kolorycie. Że jednak piękno miłował i posiadał uzdolnienie estetyczne, intuicję miary i świadomość polotów, o tem wątpli nie pozwala troska dyletanta, który gromadził okazy plastyki malowniczej, utrzymywał zażyłość z przedstawicielami sztuki i wciąż podziwiał to, czego tworzyć nie mógł. Obrazy pochłoneły kapitał znaczny. Czemuż zbiór żaden, z pomiędzy otwartych dla publiczności, nie świadczy o pięknej duszy zbieracza?

Jeżeli załazek artyzmu słabował u Czesława i nie mógł określić w jego własnej rozwinąć się osobie, natomiast strześlił, by rozpromienie wyobraźnię, pamięć i uwagę podmiotu na korzyść twórczości innej, towarzyskiej, rozbieżnej i przygodnej. Mierny malarz posiadał dar spostrzegania i to co widział, umiał opowiadać wybornie. Był więc typem polskich artystów-opowiadaczy. A miał on skarb ustawicznie pełny, bo widział i słyszał dużo, raz jako bywalec światowy, mile witany u progów wysokich jak i u niskich, raz jako podróznik, rozgrzany żądzą chwytania w lot obrazów żywych, gry przedmiotowej i wieści o wydarzeniach wszelakich. Urodzony w roku 1790, Czesław, żyjąc lat 60, był świadkiem ruchów niezmiernie wezbranych, poniekąd uczestnikiem pracy, wypełniającej pierwszą połowę XIX stulecia, więc tej, którą geniusz dziejów ognistymi odznaczył rysami. Na dramat płomienny złożyły się przyczyny liczne, tak miejscowe jak i zewnętrzne. One to spowodowały szereg aktów i scen, gdzie polskość cała, wtłoczona w ciasne ramy półwiecza, przeżyła lat tysiące; gdzie głosy z przeszłości i wieszczby wzniosłe rozbrzmiewały na przemian, to dźwiękami elegii, to hymnem radosnym; gdzie charakterystyka narodu wystąpiła w pełni sił i barw rozlicznych, jak gdyby poszczególne typy zamierzyły urządzić spotkanie, poznać się wzajemnie, uściskać i porachować, wynurzyć żale i nabrać otuchy. Tłem spotkania — burze straszliwe i dnie

ślicznej pogody. Któż tych dziejów nie odczuł? Sąd o nich spokojny i dojrzały należy do historii. Czy sędzia jednak może bezkarnie świadectwem żywym pogardzić? Niejedna opowieść, głoszona przez jaźń rozgrzaną, grzeszy przesadą. Rozum atoli potrafi co grzeszne sprostować i ze źródeł, nawet z oparu korzystać. Otóż, czy spostrzeżenia pana Czesława ujęte zostały w formę pamiętników, nie wiemy. On opowiadał; a to wystarcza, ażeby treść rzeczy utkwiała w mózgach i wcześniej czy później znalazła ujście, jako natchnienie więzione, usiłujące tu i owdzie na wierzch wypłynąć. Historyk, wzruszony z powodu polonezów Ogińskiego, wszak nie zechce oddalić wrażenia, jeśli jest mistrzem w stosunku do psychicznych objawów prawdy; muzyka bowiem księcia hetmana znamionuje duszę polską, zdolną, pomimo ambicje wygórowane, romantyczną miękkość i trwożliwość w działaniu, odczuć i wyrazić chwilę znakami wnętrza, potęgą liryzmu i rytmiki. Zobaczymy jak inna znów dusza, wsłuchana w treść życia narodowego, wyraziła, używając znaków wewnętrznych, już nie chwilę, nie nastrój przygodny i cząstkowy, lecz charakterystykę jaźni społecznej zupełną, trwałą i niespożytą.

Mienia swego synowie pana Sędziego używali rozumnie, celowo, jak uczył dawca. Jeśli tedy klucz Śmiłowicki topniał, to nie każdą część zabierał lichwiarz niewidzialny, ów znany z figlów w gospodarstwie polskim, który zwykł korzystać z bezładu, zbytkowania i łatwowierności, by w oczach posiadacza zdmuchnąć skarb i zdumionemu zostawić do wyboru: rozpacz, albo dobry w biedzie humor. Pan Czesław rządzić się nie umiał, wydatkował za dużo, zawierał łatwo i, lekceważąc rachunek, nie spostrzegał, iż własność, pozornie cała i rozporządzalna — dom, folwark, obszar ziemi — z każdym dniem zanika i zmienia tytuł, przechodząc w inne ręce. Tak sobie siedział dość długo w Ubielu, używając dobrej sławy, jako człowiek towarzyski, gładki i serdeczny. Już o losie i wyposażeniu syna wypadło myśleć. Przecież jedynak kończył szkoły. Z czem że go dobry ojciec w świat wyprawi? W roku 1850 pan Czesław stracił żonę i zamieszkał w Radkowszczyźnie, to jest na malutkiej części, wydzielonej z obszaru, gdzie Dominik wyjarzmiął, kształcił i bogacił włościan.

Szósty i ostatni z wyposażonych, Aleksander, otrzymał, podobnie jak Czesław, cechę artysty. Cecha wszelako, to jesz-

cze nie dar. Świadomość rzadko tę różnicę spostrzega. Biorąc pozór za objaw powołania, popełnia ona błąd, znany z brzmienia wyrażen; gdy mówimy o zawiedzionej nadziei, o zmarnowanym nakładzie, o wykolejeniu. Taki właśnie powód do utyskiwań dawał ostatni z licznej rodziny Moniuszków. Płując w malarstwie, a nie bez uporu, oszukiwał on siebie i dźwigał odpowiedzialność za grzech, który społeczność niesłusznie zalicza do zasługujących na pobłażanie. Zamiast się błąkać w labiryncie barw, niechby postanowił poczuć piękna kształcić żywotnie, bacząc na równowagę osoby, niechby przeszedł kolej wyzwoleń rzeczywistych, jużby pozyskał pełnię człowieka-artysty, który znajomością praw, umiejętnie w obraz życia wcielanych, budzi cześć i zaufanie. Wówczas i dla malarza znalazł by w sobie ostoję. Boć powołanie — to głos potrzeby społecznej, przejęty przez intuicję człowieka zupełnego. Pan Aleksander tymczasem pełni pożądaną znać nie wyrobił, skoro zapiski, zbywając milczeniem zalety działacza, nagrodzić mu to pośpieszyły wzmianką o tytule naukowym. Skończył on wydział filologiczny, zajmował się językoznawstwem i władał wybornie słownictwem tudzież składniami wielorakimi. Chciałże pamiętać o pożytku, o literaturze ojczyściej, o kluczu do badań życiowych? Wyzwolenca ubezwładnia znów wstrzeźmiewczość, by zamknąć, jeśli nie w samotni specjalisty, pracującego z nawyku, to w miłym i sympatycznie skojarzonym kółku rodzinnem. W tem ciężeniu chciemy uszanować stronę dobrą. Względ atoli społeczny nakazuje cenić ostrożnie wartość związków podstawowych.

Tak złożone rysy powstały z pierwotypu; tak dzielni, wykształceni i zaci polacy otoczyli kolebkę Stasia, który miał przejąć swych rodzonych cnoty, zaś przez nich poznać, ukochać i wyśpiewać swej ojczyzny chwałę. Lecz z sześciu synów Sędziego, któryż mistrzowi dał życie? Stanisław Moniuszko, podziwiany przez nas twórca muzyki rdzennie narodowej, urodził się d. 5 maja r. 1819 w Ubielu, z ojca Czesława i matki Elżbiety z Madżarskich. Więc przepowiednia płonna nie była. Za stracone oko, za psotę otrzymać dar wspaniały, chlubę rodu, wszak odszkodowanie warte szkody. Otóż, jeśli radość tę geniusz sztuki zesłał, to nietylko na osobę pokrzywdzonego. Prawo do niej służyło braciom. Jedynak bowiem pana Czesława jał wcześniej ujawniać pokrewieństwo ścisłe w sto-

sunku do stryjów, ściśle psychicznie, zatem nieodłączne i zcalone. Wszystkie znamiona, zaczynając od danych przez pierwotyp i stępując po wytkniętych przezeń liniach — samodzielność, dobroć, zdrowie i spokój, tętna swobody, powagi, taktu i wesołego humoru, gorąca miłość ludu i ojczyzny, intuicya porządku i klasyczne poczucie piękna, nawet czystość wiary, jako potrzeby serca, nawet skromność i wstrzemięźliwość samowiedzy, — znalazły się w duszy potomka, który skarb dany umiał uwłaszczyć, uprawić i, skierowując w stronę działalności pięknotwórczej, w dziełach sztuki wykazać. Wiedzieć należy, iż tę moc twórczą do lotu sposobiły nie tylko pierwiastki same, lecz wpływy wychowania. Staś wzrastał bez przerwy pod złożonym kierownictwem rodziców, stryjów i ciotek. Ów poczet nauczycieli stanowił dlań szkołę najbardziej owocną, bo troskliwą o poduszczenia żywotne i trwałe, o moralną podstawę wiedzy, o charakter człowieka. Szły więc koleją żywe przykłady, ustne oddziaływania, oraz przewodnictwo w głąb rzeczy ciekawych, jak dzieje i tradycje, zjawiska i wypadki, czyny i osoby, przewodnictwo znawców wykształconych, zdolnych zarysować i wyłożyć ów właśnie obraz rzeczy ciekawych.

Lecz jakim rozkazom posłuszny, Stanisław skierował skarb w stronę fantazyi twórczej, zmienił tryb pracy i rozwinął działalność, w której estetyka nowożytna uznaje grę sił zbytujących, oderwanych od życia? Dlaczego, mocny dzieiectwem i celowością wskazówek, nie został człowiekiem czynu? A jeśli przeważać miało poczucie piękna, to skąd mu przyszło raczej śpiewać niż malować, skoro zmysł wzroku stanowił o lubownictwie ojca i stryja? Tajemnicę podobnych usposobień zwykliśmy zbywać milczeniem lub ogólnikiem z dziedziny zjawisk niezbadanych, jeśli nie wprost mistycznym. Nie dziw. By jej potęgę poznać, rozum ma do zwalczania ogrom przesądów i odstępstw, a przede wszystkim przywrócić w osobie człowieka tę organiczną wszech władz i czynników spójność, tę syntezę życia, którą duch analizy rozłożył pod hasłem badań i kwoli kierunkom sprzecznym. Upieramy się widzieć w życiu samą nędzę, brzydotę, słabowanie i ucisk, zaś w sztuce jakiś światek lepszy, jakąś igraszkę fantazyi mniej lub więcej uroczą, niby swobodę woli, o tyle przyjemną, o ile ona pozwala nam zapomnieć o rzeczywistości. Tymczasem fakt, że brzydota i nędza, dopuszczone w życiu, śpieszą swe oblicza

ukazać w zwierciadłach sztuki, powinien przekonać, jak dalece obydwie światy, rzeczywisty i złudny, są w swej istocie wewnętrznej, podmiotowej, światem jednym, nierozłącznym. Do budowania obu człowiek posiada jedno ognisko władz i natchnień, jedną skalę miary i wagi, jedną usługę zmysłów, jeden sprawdzian dla intuicyi, jedną prawowitość systematologii. O różnicy rozstrzygają nie dźwignie wyłączne, lecz współudział i potęgi władz, nie przywilej, lecz powołanie społeczne. Dzieje mężów znakomitych uczą, że i ta różnica może być wyrównaną, gdy do pracy na korzyść zjednoczenia i równowagi zachęca nacisk dążeń cywilizacyjnych. Wszak nie za przyczyną specjalistów powstawały w klasycznej Grecyi dzieła pomnikowe. Oto postacie, niby siostrzyce rodzone, nierozłączne, acz odmiennie uprzymiotowane: jedna piękna, druga dobra, trzecia mądra. Związku, jaki pomiędzy niemi istnieje, bezkarne pogwałcić nie zdołasz. Rozpoczynając działalność, wolnoć je w pomoc wzywać rozlicznie: raz w imię prawdy naukowej, to w imię syntezy moralnej i czynnej, to wręcz głosem artysty; lecz, niezależnie od wyboru, jeśli ujawnisz odstępstwo w stosunku do praw fizyopsychologii, brak spójni, wykończenia i kojarzności, rozkład i jednostronność, znać żeś dotknięty niemocą i cierpisz rozterkę ruchów wewnętrznych, żeś pozbawion żywotności uporządkowanej i swobody zupełnej. Właśnie dlatego, zamiast iść prosto i działać równoważnie, krocysz chwiejnie i działasz rozwięźle; zamiast budować rozumnie, wytwornie i celowo, mnożysz liczbę lepiarek lub dziwadeł okazałych. Mąż czynu artystą być winien, podobnie jak przedstawiciel wiedzy; obu zaś w osobie pięknotwórcy społeczność powita chętnie.

Nikt nie zaprzeczy, badając stosunek wyosobnionych ustrojów sztuki do ustroju życiowego, że największą moc wyrazu posiada muzyka. Wszak jej pierwowzorem — żywostan osoby, niby cicha orkiestra, gdzie czynniki przyrodzone: serce, płuca, tętnice, nerwy i hierarchia ośrodków, składają się na harmonię drgań i ruchów, to spokojnych i uroczystych, to wezbranych i zmaconych, zależnie od dyrekcyi, siły odpornej i wpływów zewnętrznych. Żyjemy muzyką uczuć, wzrastamy i dojrzewamy, kryjąc w sobie źródło piękna lub brzydoty i mało bacząc, że stąd powstaje muzyka myśli i czynów, to prawidłowo kształtna i pożądana, to bezrządna, ujemna i szko-

dliwa. Jakiej słuchał nasz pieśniarz, wiemy. Że przyjął i zachował wrażenie pożądaną, że w dziełach sztuki wykazał najszlachetniejsze rysy życia narodowego, o tem zamilczeć chyba nie zdoła słuchacz, który ogniem swej duszy uczestniczy w dziedzinie ideału, by poznać oblicze prawdy, wydobyć z głębin jaźni społecznej i odzwierciedlonej na podziw dla miłujących ojczyznę. Stąd muzyki tej wartość przedmiotowa, jak gdyby nie mistrz ją tworzył, lecz geniusz narodu; stąd również jej wartość moralna, jako potęgi, zdolnej, za pośrednictwem wzruszeń wzniosłych, poduszczać do pracy na korzyść zjednoczenia. Na pomnik też, a nie tylko od ziomków, zasłużył artysta, który zadanie sztuki pojął ze stanowiska psychosocjologii.

CZEŚĆ DRUGA

Życiorys.

I.

W jedynaku swym państwo Czesławowie chcieli widzieć panicza. Majętny przez ojca, wszak on posiadał dobra stryjów bezdzietnych; więc będzie bogaty; więc poniekąd jest już osobnikiem możliwym, wiedzionym po drodze kwiecistej przez uśmiechnięte i urocze wysłanki losu. Że dziecię tak uprzywilejowaniem zostało, dla jakichże rodziców wieść o tem nie wyraża ochrony, rękojmi, ostoji, zgoła mocy magicznej, co przyciąga promienie wszech powodzeń a rozprasza chmury? Chyba dla opornych, nie zdolnych hołdować bożyszczom wieku, ani kochać miłością miękką, baczną na wygodę ciała. Takich płodzi mało cywilizacya wysilona, zatroskana o byt pokoleń, które dziedziczą rozdwojenie organiczne, słabują i od dzieciństwa ulegają groźbie pomoru. Pieścić je trzeba, nie zaś hartować; dogadzać zachciankom raczej niż kształcić wolę; pielęgnować samozachowawczość wątlą za pośrednictwem samolubstwa, unikając jaknajdłużej dyscypliny, którą rozum nakazuje stosować w imię walki o prawo człowieka. Praca to ciężka, a mało wdzięczna wobec rozterki ogólnej. Stąd zapanowanie wiary w niezależność, ba, w szczęście nawet, uwarunkowane ilością złota. Otóż pieszczotę usprawiedliwia tem bardziej stosunek do pociechy jedynej, do łącznika, co pochłoniął w siebie wszystkie nadzieje rodziców i wyobraża całkowitą sumę zysków i strat uczuciowych. Któż nie podziwiał trwogi, rozta-

czającej skrzydła ochronne, gdy chodzi o życie tej właśnie pociechy jedynej? Zainteresowanym zwykliśmy przebaczać nadmiar pieczy, ilekroć przedmiotem jej potomek bez zastępstwa, pierwszy i ostatni.

Wiemy, że upodobania pańskie stanowiły u Czesława barwę charakteru dość między innemi cenioną, ażeby rodzice, wychowując syna, o jej blasku zapomnieli. Na zbytek pozwala skarb spodziewany, co właśnie licuje z ogładą wyszukaną i delikatną, jakiej wymaga wzgląd na jedynactwo. Niech panieca zaleca układ wytworny, przyjemnie uprzedzający; niech, kochanek ma uzmysłowienie miękkie i wrażliwe, niby straż czujną wobec zderzeń groźnych i wypadków przykrych; niech, bądź co bądź, Staś wystąpi jak przystoi na arystokratę, więc z przyborem, co po troszę znamionował by mecenasa sztuki, poetę, marzyciela, obrońcę czci własnej i niewieściej, encyklopedystę i światowca, zaś razem — osobistość sympatyczną, giętką i dlatego wielce w niejednym towarzystwie pożądaną. Takiemu kierunkowi kwoli matka, rozmiłowana w muzyce i biegła fortepianistka, posadziła swą pociechę wcześniej przy klawiaturze. Zobaczmy jaką mieć na celu korzyść i jak nauczać mogła.

Technika muzyczna — to system drgań i ruchów wielce złożony i rozległy. Wzięty ustrojowo i odnośnie do żywostanu osoby ludzkiej, on zajmuje środek w dziedzinie ćwiczeń duchowo - cielesnych, jakoby łącznik psychofizyczny, zdolny wyrażać równowagę układu mięsno-nerwowego, nie łatwą do zachowania pomiędzy intelektualizmem czystym a objawami woli czynnej. Technika muzyczna odpowiada dwustronnej budowie człowieka, o ile obejmuje żywy całokształt treści i formy, pracy wewnętrznej i automatyzmu, dynamiki umysłowej i sił mechanicznych, jak gdyby pośredniczyć miała w imię ideomocy, która nas strzeże od ciężarów wyłącznych na jedną lub drugą stronę. Bo czemuż jest ta muzyki złożoność, co wzrusza potęgą polifonii, harmonii i wszechmiary doskonałej, co wskrósł przenika postaciowaniem lirycznym, a podusza charakterystyką figur, rytmów, iloczasów i nacisków, ładem synchronii i symetrii, barwami brzmień i logiką związków? Niewątpliwie jest ona grą ideomocy piękną i uroczą, wzywającą do współuczestnictwa poczet władz i czynników: zmysły, wyobraźnię, pamięć i uwagę, inteligencję, fantazję i tajne państwo uczuć. Patrz. Oto scena, gdzie siły swe rozwijać zwykli

gimnastycy, jeźdźce, tancerze, zgoła przedstawiciele zręczności, wdzięku i rytmiki plastycznej, przeważnie zewnętrznej, przeto jednostronnej. Że się pod hasłem higieny stowarzyszą swobodnie, dobrze. Lecz niech ćwiczeniom dadzą cechę zawodu, niech tylko nadużyją wprawy, już scena przedstawi smutny żywych machin obraz. Oto znów przybytek inny, oddzielony od świata i zamknięty. Tu siedzi młodzież blada i nad książkami skulona, społeczność, której mózgi operuje tyran zimny, upelnomocniony przez geniusz cywilizacji wysiłkowej. Na potrzeby organiczne on mało baczy. Tu fantazję, wyobraźnię i uczucia pożera moloch mnemotechniki umysłowej; tu z żywotności okrada szkoła na korzyść oświaty teoretycznej i zawodowej, jeśli nie spekulacji martwej. Tak udęczonym kto powróci zdrowie, gdy poza murami uczelni z patentów korzystać zechcą? Dwie dzelnice, duchową i cielesną, łączyła w klasycznej Grecji muzyka, pojęta szeroko w znaczeniu sztuki organicznej, a raczej ideo-plastyki wymownej i pobudliwej. Ona obejmowała nie tylko technikę dźwięków, lecz technikę poezji i tańca. Jej objaw podziwiano w harmonii barw, jako też w stylach rzeźbiarstwa i architektury. Jej wyraz stanowił potęgę rzecznika w wymowie. Nie dziw, iż Sokrates, milczek w kole pieśniarzy, zawstydzony podczas sympozyonu, jał późno uczyć się deklamacji śpiewnej, opartej na prawidłach stylu, metryki i głosowania, a wzmocnionej akompaniamentem liry. Mędrzec bowiem w państwie humanistów powinien był duszę swą rozgrzać, rozruszać i z zamyślanej wydobyć dla uczestników pełnię natchnień młodzieńczych, nie psując ochoty biesiadnej brakiem wdzięku i zręczności.

Z powyższych słów kilku wynika, że uprawa muzyki, włączona do rzędu ćwiczeń wychowawczych, stanowi pomoc niezmiernie ważną w kształceniu charakterów. Potęga dźwięków uporządkowanych wpływa dobroczynnie na stan wnętrza, budzi władze uspione, wzmacnia rytmy organiczne, przyspiesza krążenie cieczy pożywnej, tu uwrażliwia i udelikatnia, tam gładzi i wyrównywa, a radując serca i niecąc zachwyt płomienny, jednoczy zachcianki i chucie na korzyść woli rządnej, na pożytek samodzielności wytwornej. Żywostan rozwiązy muzyka uspokoi; sympatye słabe ona rozgrzeje i wzmocni; umysły leniwe, powierzchowne lub roztargnione harmonia zaciekawi, melodia wtajemniczy i pogłębi, kompozycja zainte-

resuje i do badań estetycznych skłoni. — Czemże ta poezja muzyki, co mię wzrusza, jak żadna moc wzruszać nie zwykła? — pomyśli niejeden uczeń, prowadzony umiejętnie. Na lekcję też spiesz on z ochotą, której nie usprawiedliwia chwila wypoczynku ani sama odmiana zajęcia. Przecież przewodnik, jakkolwiek wyrozumiały, trzyma w karchach i łamie bez ustępstw surową grajką naturę. Skądże pomiędzy nimi jakiś stosunek bliski, sympatyczny, skąd wyraz czci i zaufania ze strony jednej, gdy z drugiej znać nastrój powagi cieplej, życzliwej i niestrudzonej? Łamiąc, przewodnik kształci wolę bezrządną; dając poczucie pożądanej, ucząc chcieć i móż, on uszczęśliwia odbiorcę; sam zaś pracuje z zadowoleniem mistrza, który rzeźbi poprawną postać człowieka. Rozumieć się ma, że największą pod względem dyscypliny muzycznej korzyść przedstawia instrument klawiszowy. Tu uczeń znajduje skalę zupełną, niby orkiestry całkowicie posażnej i, pomimo jednostajności mało śpiewnych dźwięków, dość rozległej, ażeby niedostatek opłacić mogła odpowiedzią na wymagania indywidualizmu. Wszak technikę gry na fortepianie, o tyle trudną, o ile złożoną, ma objąć grajek samodzielny, razem dyrektor i wykonawca. Jego obsada — to dziesięć palców, którym wydawać ma rozkazy liczne, bacząc na działalność zgodną, a jednak osobniczą i różnorodną, by orkiestra nie wpadła w zamęt, co przy jednakiem dźwięków uposażeniu grozi ustawicznie. Unikając tej matni, pokonać opór mechanizmu, ustalić biegłość automatyczną, wyłożyć na ubogiej klawiaturze piękno symfonii polichromicznej i za pośrednictwem dotknięć wywołać duszę z pułki hałaśliwego — co za przyjemność, co za tryumf! Czy tylko dla wirtuoza z zawodu? Możnaść i poważne cele zwycięstw artystycznych, dokonywanych w imię zasad pedagogiki ogólnej, intuicya znać przewidywała, skoro lubownictwo upowszechnionem zostało przez uprawę gry na fortepianie. Że jednak zamiar skrzywiły również upowszechnione zachcianki mody, zwyczaje próżne, rozliczne formy psychopatii i manie estetyczne — intuicya niewinna.

Ponieważ muzyka stanowi, wespół z poezją, łącznik sympatyczny, zaś obie, umieszczone w świątyni ideału, otrzymują cześć największą i najbardziej upowszechnioną, przeto, włączając je do programu wychowawczego, należy mieć na uwadze zajmowany przez nie środek pomiędzy intelektualizmem

czystym a dziedziną woli czynnej. Poprawiać naturę zdoła jedynie sztuka zupełna, organicznie złożona, a więc nauczana dwustronnie: z formy i treści. Muzyka obejmuje ogromną skalę rodzajów, stylów, postaci i skojarzeń. Uczestnicząc, czy je cenić umiemy? Słuchaczem-artystą być trzeba, odbiorcą wrażeń wtajemniczonym, zdolnym dawać część posłannictwa, wymagać, sądzić i wciąż współdziałać na korzyść poduszczeń wzniosłych. To też starszyźnie, zajętej sprawami wychowania publicznego, wypada mieć na uwadze tę właśnie jednostkę społeczną, która wobec sztuki muzycznej stanowiła by powagę słuchacza-artysty. Wiemy, że instrument, zwany klawikordem, ułatwia znakomicie poznawanie rodzajów i stylów. Jakże powierzono sobie ucznia kształcić ma przewodnik rozsądny? Jak dzieci swe przed ołtarz sztuki prowadzić winni rodzice, dbający o wartość i celowość ćwiczeń? Że zakres wtajemniczeń rozpoczynać należy od łamania woli czynnej — konieczność to nieunikniona. Lecz łamać trzeba istotnie, stanowczo acz łagodnie, prostując rozteraną rytmikę i kojarząc rozwięzłe czynniki podmiotu. Niech rąk swych uczeń używa poprawnie, unikając odruchów przypadkowych, więc wymiennie i coraz dbalej o doskonałą gry czystość; niech trójca zmysłów — słuch, wzrok i dotyk — działają zgodnie, prawidłowo, jak wymaga wzgląd na wyobraźnię, którą wprawiać należy do obejmowania figur, okresów, zmian tonicznych i różnic iloczynowych. A świadomość? — Chcielibyśmy pozostawić ją w nieuctwie co do zasad wytycznych, poskąpić teorii i przez labirynt techniki prowadzić bez światła? Dyscyplinę usprawiedliwiać należy wskazywaniem na cel i obowiązek, budząc szlachetną ambicję i rozwijając pojętność za pośrednictwem uświadczeń nie tylko elementarnych, lecz ogólnych, a coraz obszerniej zakreślanych. Strzeżmy się dogadzać zarówno lenistwu jak kaprysom ucznia. Kompozycji stylowej, klasycznie wykończonej on nie lubi, bo nie łatwo znosi przymus ze strony władzy, wołającej o ład; a przecież ustępstwo znaczyło by tyle, co postępowanie w takt niedoładu, tyle co obojętność wobec igraszek fantazji rozswawolonej i błędnej. Kompozycjom ulubionym, więc płytkim, manierowanym i mętym, jaskrawym, rozdźwięcznym i czułościowym nauczyciel powinien dać odprawę, skoro jaźń młodocianą postanowił trzeźwić i zainteresować wykładem formy, zaś smak wyrodny lub mało pojemny kształcić na wzorach

doskonałych. Od ćwiczeń początkowych droga prowadzi na wyżynę inteligencji pięknoznawczej i fantazyi pięknotwórczej, na wyżynę muzyków-poetów myślących. Niezgłębioną jest wewnętrzna istota muzyki. Kto jednak duszy, utajonej w dźwiękach a nieskończenie treściwej, nie umie przeniknąć, odczuć, ani rozpoznać, ten na ucztach życia pozostanie beotą ciemnym, pożałowania godnym. Jakżeby wspaniałym był widok uczestników poważnych, dość wtajemniczonych, ażeby sztuka, zamiast przyciągać powabem bawidła lub brzydoty zamaskowanej, poduszczała rzesze do harmonii rzeczywistej, do sympatycznej w imię ideału spójni! Nie tyle też starszyzna troszczyć się powinna o liczbę grajków popisowych i wirtuozów, ile o poczet mistrzów wielkich i znawców wytrawnych, zwolenników równowagi, zaś ogólniej o temperamenty artystyczne i stowarzyszenia swobodne, wiązane kwoli nawoływaniom do harmonii powszechnej.

Nauka o wychowaniu nie raczyła dotąd pójść za przykładem szkoły attyckiej, ażeby na korzyść nowoczesnej wydać sąd w sprawie, jaką ogół, rozmiłowany w sztuce muzycznej, wnosi bezwiednie. Dziwić się nie można. Sprawa to ciężka wobec kierunków sprzecznych, uprzedzeń i pojęć estetycznych, a tem cięższa wobec oporu, stawianego przez dźwięgnie najpierwsze i najbardziej możliwe, przez ogniska rodzinne. Gdzie zapanowały względy miłości trwożliwej i czułościowej, tam rozum majaczy i wola słabuje; gdzie chodzi bardziej o samo życie niż o moralne zdrowie pokoleń, tam starczy pobieżny system pozorów. To też narzędziem naprawy sięgnąć wypadnie aż do źródeł, skoro uczeń, nigdy nie łamany w domu, nie doznaje z tej strony wpływów dobroczynnych, zaś przewodnik, zamiast pomocy, otrzymuje obojętność, gotową lekceważyć dobro publiczne i oddalić wpływ szkoły. — Alboż wartość sztuki zależy od zwyczajów, porządków i tajemnic życia rodzinnego? — zagadnie obrońca nawyków odwiecznych. — Ależ nie, bynajmniej — pouczy krytyk, zachwycony brawurą wirtuozów. Więc sprawa umorzona; zgodni bowiem odstępcy zapomnieli, że osoba i charakter człowieka, same kształty życia, o ile piękne i zdobyte w walce z naturą, są dziełami sztuki, a każde typem jest oryginalnym pierwiej, niż odbitym i w myśl postępu udoskonalonym.

Rodzice widzą niechętnie w swych dzieciach pociąg do

karyery rzekomo artystycznej, co je olśniewa w sali koncertowej. Jakkolwiek główną przyczyną niechęci bywają szkoły arystokratyczne — zależność od publiczności, olbrzymi nakład pracy, życie cygańskie i niezmiernie łatwe rozezarrowanie, — to jednak o niebezpieczeństwie uprzedzać by mógł smutny stan inteligencji, poświęconej wymaganiom techniki, która zdumiewać ma zmysły, drażnić czułość i zjednywać słuchaczy za pośrednictwem wezbrań bezmiernych. Głupotę czarodziejów nie jeden estetyk usiłował tłómaczyć ześrodkowaniem potęgi umysłowej, dowodząc, że artysta zapominał być człowiekiem zwyczajnym, powszechnie rozumianym i praktycznym, albowiem zamieszkał w świecie odrębnym i wyrobił sobie mowę niepowashednią, mowę barw lub dźwięków. Tłómaczenie to, ponieważ słuszne i w wielu wypadkach zgodne z prawdą, nie całkiem jednak licuje ze spostrzeżeniami znawcy-psychologa wypracowanego. Wszak braki bądź niedobory inteligencji on zauważyć potrafi tam, gdzie ona ma być zamkniętą. Przed jego wzrokiem szkoła specyalna, chociażby najlepsza, ale względami na pozory ograniczona, nie zakryje natury, której wychowanie ogólne nie poprawiło. Jego sprawdzaniami — spokoj głęboki i przenikliwy, pogląd wszechstronny, moc porównań i znajomość praw, jakie rządzą w dziedzinie wywnętrzeń. Wyśiłkiem, nabytą zręcznością, fałszywym blaskiem on się oszukać nie da. On wie, że nadmiarowi ćwiczeń mechanicznych odpowiada bezwład myśli; że zatem technika rozpanoszona zabija poezję sztuki; że zresztą dwa ruchy sprzeczne — mętnie wezbrany i klasycznie wytworny — jeśli cechują artystę, to chyba kosztem równowagi, której brak zataić się nie da, a zdradzi zawsze — Scyllę i Charybdę twórczości nowoczesnej.

Bądź co bądź, większość rodziców nie dlatego swe pociechy pieści, ażeby bezbronne oddać na pastwę upojen, na igraszkę pokusom i chuciom, otaczającym tryumfalne wozy koncertmistrzów. Stąd względem karyery artystycznej niedowierzanie, nawet pogarda, jak świadczą życiorysy najznakomitszych przedstawicieli sceny i estrady. Pociechy trzeba sadzać na wózki domowe, familijne; fala ich nie uniesie, a blask na okolicę i łatwe wśród swoich tryumfy wystarczą. Gdy Liszt, król fortepianu, zdumiewał narody, jako wielki i jedyny, wtedy liczbę pokaźną Lisztów małych podziwiali powiaty i miasta. Dopóki tamten nie zawitał i nie olśnił prowincyi, toć domo-

wym wolno było korzystać z półmroku, uchodzić za gwiazdki i nosić tytuły wirtuozów. A jak mało czasu, trudu i kosztów pochłaniała ta zabawka łechtliwa! Na same fugi Liszt cztery godziny dziennie musiał przeznaczyć. A stosi ćwiczeń i „Gradus ad Parnasum“ wprzód, nim zuchwalec zużyty pomyślał o sławie kompozytorskiej, więc o wyższej harmonii i o kontrapunkcie! Takie wymysły nie obowiązują domowych; nie obchodzi ich nawet dokładna znajomość skali, że pominiemy stały system dźwięków, ten woli rozumnej okaz wspaniały, nad którym przez długie wieki nie bez celu przecież ona pracowała. Dla fantazyi lotnej nauka, zasady, ćwiczenia zbiorowe, akustyka, estetyka, historia, kompozycja, to balast niepotrzebny, jak wszelki ciężar. Byle różdżką dotknięta, a nieco uświadomiona, już ona skrzydła rozwinię i zadziwi otoczenie rozigraniem ruchów, to rozmachem oryginalnym, to kołowaniem ciekawem. Sięgnijmy w przeszłość nie zbyt oddaloną, kiedy to pseudo-klasykom wypadło ustąpić z pola, ciasne akademie straciły kredyt, a geniusz twórczy bezwzględna obwieścił wolność. Wówczas kto żyw, a niestrzeżony, począł szaleć, nosić długie włosy i maskę, improwizować miłość, spolić rozkosz z cierpieniem bodaj udaniem i w mowie niepowседневnej wszelakie wyrażać uczucia; wówczas też wielcy poeci i muzycy, mocni posłannictwem rzekomo nadprzyrodzonym, mieli zstępować na ziemię z obłoków, z mistycznych niebios; mniejszym zaś i maluczkim nikt nie przeszkadzał roić i nabywać wprawę przez styczność w pospolitem ruszeniu.

Tak się działo naokół ze sprawami sztuki i wychowania, gdy pani Czesławowa postanowiła uczyć jedynaka gry na klawikordzie. Zdawało się jej, że spełni dobrze obowiązek matki, jeśli do wielu ozdób, jakie syna odznaczać mają w towarzystwie, dorzuci najświetniejszą, najbardziej pożądaną i już niemyślnie pochodzenie pańskie znamionującą. Nuż Staś dorówna Ogińskiemu! Początki tymczasem szły opornie; synalek bowiem cudownym dzieckiem nie był i co chwila przedstawiał nową do zwalczania trudność, raz ze strony żywostanu, gdzie tkwi źródło rytmiki i wymiarów iloczynowych, to ze strony zmysłów rozbieganych, to z powodu ręki, której kształt naturalny najkategoryczniej przeczył aplikaturze klawiszowej. Matce pilno było widzieć owoc mokoła, chociaż świadek niewidzialny zdawał się wciąż przekonywać, że opór leży w za-

miarze samym, że nauczanie początkowe, zwłaszcza muzyki, jako najbardziej organiczne, wymaga woli silnej, raczej męskiej niż kobiecej. Zresztą na wirtuoza, nawet miary salonowej, przyszły pieśniarz nie zakrawał bynajmniej. Cichy, skromny i mało rzutki, ale stanowczy i do uległości nie skory, on chował w sobie załazek mocy, co ze stanu biernego przejdzie w czynny, zdobędzie ostoję poważną, niezależność, swobodę i dlatego odpycha kierunek przeciwny, groźbę automatyzmu, matnię niewoli błyszczącej. Ażeby mieć sławę z występów popisowych, trzeba ją brać obcesowo, z zaślepieniem ludzi, którzy lubią zajmować sobą tłumy, wywoływać podziw doraźny i pewni są zwycięstwa; trzeba posiadać dar porywania mas biernych i zaciekawionych, niby taktykę wodzów ostrzelanych, gotowych zawsze znieść obojętnie porażkę. To też jaźnie wgłębione, obdarzone samopoczuciem delikatnem, unikają z tej strony pokus, bo je zawsze boleśnie dotknie szmer niezadowolenia, brak sympatii, a nawet krytyczny głos sądu własnego. Przyciąga je kółko wytworne, zgodne, znane i bliskie; lecz odstręcza gromada zbита, obca i raczej hałaśliwie niż artystycznie usposobiona. Pamiętać należy, iż taktyka wirtuoza wymaga ofiar niemałych. On przecież pewność swą musi oprzeć na automatyzmie świetnym, nieposzlakowanym i dlatego baczy ustawicznie, ażali od czegoś nie odwykł, w czemś nie jest za słabym, ażali techniki nie uszkodziły zajęcia uboczne, zwłaszcza umysłowe. Z pracą myśli praca kończyn nie licuje. Stąd popłoch nieunikniony, jeśli artysta nie ubezwładni mózgu na korzyść złożoności olbrzymiej, którą za pośrednictwem ćwiczeń wprost mechanicznych utrzymywać powinien w stanie samowładzy doskonałej a łatwej. Do takiej ofiary mistrz polski nie czuł w sobie powołania. A jednak czyż nie uczył cenić znamion swojacych, gdy, występując w widocznym zamyśleniu, jako dyrektor, zdradzał subtelą obawę kompozytora, któremu nie przystoi być świadkiem porozumień głosnych pomiędzy muzą własną a uczestnikami? Nie dziw, że muzyki brawurowej nie uprawiał i na styl koncertmistrzów zdobyć się nie umiał. Ich nalegania pozostawały bez skutku. Kierownik bowiem, roztargniony wobec drużyny wykonawczej, obcym był w dziedzinie czarów, wymagających nie tylko zręczności i wprawy samej, lecz przyborów odpowiednich ze strony plastyki.

Lekcyje atoli, jakkolwiek pedagogicznie marne, nie pozostały bezowocnymi w kierunku, jaki utorować sobie miała intuicja ucznia. Matka była pianistką i śpiewaczką z zamiłowania, a to szczegół ważny. Muzyka tedy, o ile wzięta za wyraz uczuć, wylewna ze strony jednej, przyjemna dla drugiej, spoliła dwie dusze węzłem sympatii niezwyklej, moralnie wzniosłej, bo harmonijnej i pięknostwórczej. Za jej pośrednictwem dziecko otrzymało potrącenie tej mocy biernej, przechowanej prawem dziedziczności, której wypadało czekać na dźwignię i chłonać wpływy najbardziej przyjazne, zanim wzrastać poczęła na czynną, rozwijać się samodzielnie i wyrażać typowe polskiego mistrza wewnątrz. Tu zarość się miały postacie z dziedziny życia, to wspaniałe, ogniste i rycerskie, to świetlane, dobre i rzewne, a wszystkie znajome, jak gdyby z ram historii wystąpiły, by się ukazać w zwierciadle magicznem, przypomnieć ojczyźnie chwałę minioną i zamieszkać wśród swoich prawem ideału. O ich stawiennictwie czyż nie świadczy psychologia sceny, dość w „Strasznym Dworze“ znamiennej, ażeby słuchacz, tknięty do głębi, powitał swą przeszłość objawem wzruszeń niepowседневnych? Tu dosłyszisz łatwo wykształt kojarzeni, gdzie postać matki zapanowała lirycznie wśród opisu, by tem określonej uwydatnić piękno związków rodzinnych, treść wspomnień miejscowych i dramat wypadków, jakie mistrz przeżył w wieku młodzieńczym. Kurant nie jest pomysłem fantazji rozigranej; słyszany w dawnej i opuszczonej siedzibie Ogińskich, on przyłgnał do kryształu i wystąpił w scenie, jako dodatek konieczny, przyczynowy, niby tło barwne w stosunku do tkani. Stefana miłość synowska, to owoc romantyki macierzystej, szczerzej i głębokiej; sam zaś obraz obejmuje intrygę ładną, oraz kolizję humoru i rycerskości staropolskiej, jako część przymiotów, znanych mistrzowi z tradycji żywej, z usposobienia, z pierwiastków wszechpionych.

Śpieszę zaznaczyć, że pieszczoty, jakimi państwo Czesławowie zamierzali uchronić jedynaka od zasadzek fatalizmu, nie traciły bynajmniej zapachem czułości, co upaja, osłabia i, tamując wzrost, wtrąca jaźń w otchłań samolubstwa. Na hołdownictwo cielesne, na miłość miękką nie pozwalały tradycje

rodu ani tem silniejsze obyczajów narodowych. Owszem, one radziły pielęgnować skarb odziedziczony i czuwać, iżby dziecie w rozwoju swoim nie uroniło nie z tej samodzielności zdrowej, swobodnej i poważnej, jaka cechowała pierwowzór. Czyż by zresztą jedynak, tak uposażony, uległ bez oporu? Naturze silnej nie miłe są puchy. Ona je odtrąca instynktem zachowawczym. Chłopcu zażywnemu nie smakują słodycze, zwłaszcza w postaci słówek jedwabnych i usług uprzedzających. On woli hart, nakaz, zgola system doświadczeń osobistych, skąd czerpie przyjemność zdobywcy i radość poszukiwacza, więc swobodę w stosunku do rzeczy, swobodę, której co chwila zawdzięcza jakiś sprzęt nowy i cenny do zbioru swego. Staś nie mógłby cześć ni poważać rodziców, gdyby mu system tak piękny zdmuchnięto i swobodę odebrano, zastępując co rozum uświęcił czułością ekliwą i wręcz niezdolną. To też w romantycznym stosunku do matki pozyskał on tę barwę uczuć delikatną, niemal dziewczęcą, która w promieniu jego cnót męzkich roztaczała wdzięk niewysłowiony. Co zaś dotyczy zakroju na arystokratę, to, jakkolwiek myśl o świetnym dla jedynaka losie mogła nieraz zakłówać wśród troski o jego dobro istotne, przecież i w tem stawało na straży prawodawstwo niespożyte, przechowane ze czcią przez synów Sędziego. Pielęgnować obyczaj wytworny wszak on zalecał; przestrzegał jednak równowagi, ucząc, że pańskość, zamiast zjednywać i łączyć, odstręcza i różni, skoro nie przemawia wyrazem dobroci światłej i rdzennie demokratycznej. Że pan Czesław lubił zbytek i ładne formy, któż by mu to za grzech poczytał, gdyby artyści nie kusił rachmistrz nieco lekkomyślny i gospodarz mało oględny? Ubiel pierzchnął; lecz strata obojętnie przyjęta została przez spadkobiercę, tem obojętniej, że jej nie odczuł winowajca wesoły, otrzeźwiony z manii posesionatów i tem samem wyższy nad wyznawaną powszechnie wiarę w potęgę złota. Śledząc dwa odmienne style muzyki w „Hrabinie“, szlachecki i pański, uczestnik rad wiedzieć skąd powstał ów drugi, charakteryzujący obyczaje możnej, wyniosłej i nieco na modłę francuską wychowanej bohaterki; skąd mianowicie koloryt romantyki polskiej wielkoświatowej. Skądże by, jeśli nie ze skarbeca, gdzie kompozytor miał zręczność umieścić różnie dużo, a między innemi i ten pochwycony za młodu oddźwięk epoki Stanisławowskiej? Umysł bystry i spo-

strzegawczy korzystał z doświadczeń, z przejawów bliskich, z otoczenia, a sztuka w mistrzu polskim dziś ceni artystę-psychologa.

Granice światka, w jakim dziecię żyć rozpoczyna, rozszerzają się z dniem każdym. Władztwo malutkie rośnie, a coraz w niem treściwiej, pełniej i ładniej, bo i władzca rośnie i potężnieje, obejmując coraz większą złożoność rzeczy, form, zjawisk i ruchów. Zauważmy państewko Stasia, gdy on w budowanym przez się bawił, niby dziedzie szczęśliwy, któremu okolica znosi bogactwa swoje, by nie zmarniały bezużytecznie i zostały ocechowane. Rozumieć się ma, że dwór Ubielski posiadał dlań powagę środowiska, kryjącego skarb najdroższy. Gdy stąd wychodził w pole, towarzyszyły mu rady rozumu i technienia miłości; gdy tu z plonem powracał, witał go duch ojcowizny kochanej, o tyle wielkiej, o ile jedynej i niepodzielnej w swym majestacie rodzinnym. Że tedy środowiska nigdy z oczu nie tracił, dlatego, zamiast bujać i gubić jaźń swą w przestworzach, ograniczał widnokrąg, bacząc instynktem, iżby władze nie przekraczały obszaru danego, dopóki zamkniętej w nim treści nie przyswoją sobie należycie. Ciekawość nie zapędzi go w puszcze; zmysłów nie stępi gonitwa w krainie cieniów; fantazyja nie osmali skrzydeł w płomieniach. Nad mocą bierną zbieracza czuwa wciąż opieka domowa, wskazująca właściwy zakres pracy, wartość doświadczeń i piękną stronę zdobyczy. Nie dziw, że w Śmiłowickim swem państwie Staś bawił długo, nie pragnąc wiedzieć jak wyglądają państwa ościenne, jakie ich pola, łąki i lasy, śpiewy ptaszek i szmery wód, jak lud zagraniczny odziewa się, mieszka, mówi i patrzy, jakie ma kościoły, cmentarze i folwarki, jakie uprawia obyczaje i z jakiej zaleca się muzyki. Poznać to wszystko wypadało pierwiej na miejscu, nim nadeszła pora zestawień i porównań na szerszą skalę. A nie chciejmy mniemać, jakoby pieśniarzowi naszemu posłannictwo muzyczne pozwalało lekceważyć doświadczenia z dziedziny plastyki, słuchać z zamkniętymi oczami, łowić symbol dźwięczny, lecz co do reszty zale dwie dotykać, wymierzać i określać w imię potrzeb pospolitych. Nie. Poeta dźwięków przedstawił się nam jako słuchowiec wypracowany; lecz, wywołując postacie, typy i całkowite sceny z życia, on nas wzrusza organicznie, jak gdyby był opiewającym dzieje ojczyste malarzem. Wszak piosnka

o „Różyczce polnej“ nie mogła by przypominać zagrody wiejskiej, gdyby nie powstała z obrazka, gdzie nakreślonym został wyraz duszy rozśpiewanej, oraz wdzięk kwiatka wśród ciszy i woni osobliwej. Karczemny i pijany szalem „Maciek“, to jeden z obrazków typowych, opiewających grę podniety weselnej przeciw rozpacz, więc tłumienie bólu rytmem tanecznym, gdzie akcja dramatyczna, rozwinięta przez pieśniarza, zarysowaną być musiała w wyobraźni chłopięcej. Z taką prawdą przedstawić grozę żalu wobec strat niepowetowanych, ciężar nieszczęścia i wir zapomnienia, mógł tylko psycholog, który duszę ludu znał dawno, a nie z dworskiej komnaty, nie powierzchownie, lecz z karczmy, z biedy i uciech kradzionych. Na więź śpiwności okolicznej — i słuchowiec szczególną zwracał uwagę; obojętni mu przecież nie były baśnie i podania miejscowe, obrzędy i gusła, obyczaje i zwyczaje, biesiady, rozmowy, narzecze i hasła, a każdy objaw życia rył mu się w pamięci, by zaświadczyć, że taki gdzieindziej barwi się i tętni inaczej. Boć lud w mińskim nie jednako idzie z tym, co żyje opodal; różnice dzielą kraj coraz znamiennej, a kto pragnie sztukę odrodzić, powinien sięgnąć aż do granic bytu narodowego. Azaliż „Widma“, jako sceny liryczne, za jaśniałyby blaskiem arcydzieła skończonego, gdyby na zawołanie wielkiego poety nie stanął mistrz, gotów spotęgować obraz podług wspomnień etnicznych, o tyle samodzielnie, o ile słowom kazał odegrać dramat prawdziwy, nieledwie widzialny, dziś pełen wysoce rozwiniętej charakterystyki, a kiedyś dosadnie odczuty? Strona opisowa muzyki, od dzwonka przy kapliczce, co zajęczał na święto umarłych, aż do nawoływań guślarza, uroczystej trwogi wobec duchów i posłusznej ciszy z powodu wyroków, to istna muzyka „dziadów“ litewsko-rusińskich, podniesiona do godności estetycznej. Co bowiem Staś zauważył i przejął, jako materyał znamieny, ale surowy i mętny, to artysta przetrawił i uporządkował, bacząc, by sztuka nie przeczyła naturze i nie odjęła pierwocinie cech prawdy.

Swobodnemu pracownikowi wypadało jednocześnie próbować sił umysłowych w domu. Od matki wyuczył się on „Śpiewów historycznych“, któremi Niemcewicz, poeta, mąż dzielny i patriota wypróbowany, krzewił w sercach młodzieży cześć Polski rycerskiej. Jego ody wspaniałe i dumy ogniste zagrzewały do ofiar szlachetnych, wskazując, że wielkiej sła-

wie przoduje cnota. A „Powrót posła?” Ów utwór sceniczny ważył zbyt wiele, iżby Moniuszkowie, przedstawiciele odnowy, zaniedbali wyobrażnię Stasia we wskazanym kształcie kierunku. Uprawiano chętnie uciechy rozliczne. Grać teatr — należało do najprzedniejszych. Czyż by lubownikom nie pilno było powitać „Posła?” Wybór sztuk odpowiadał zapewne powadze przewodnictwa, a skoro Staś jął po swojemu układać komedye, byle w kółku rówieśników zajął na chwilę poczesne miejsce dramaturga, to chyba wzorów nie szukał pomiędzy lichotą. Skarb, zdobywany swobodnie, dopełniały dzieje żywiołu szlacheckiego, opowiadane barwnie przez starszyznę, której troskliwe w jaźń wychowańca spojrzenie bodaj czy przeniknęło aż do pracowni, gdzie z pierwiastków potrąconych powstawały zwolna postacie wręcz niepospolite, z rodu niegminne.

III.

Szkoła tymczasem na swoje zaczęła dzwonić kazanie. Według niej, kto pozyskać pragnie piętno cywilizacyi, powinien przyjąć chrzest klasyczny. Wyrok twardy; lecz nie szkoły samej, raczej cywilizacyi, a tem twardszy, że bez odwołania. Co począć? Kto od katuszy zwolni jedynaka? Kto rodzicom oszczędzi tragicznych chwil rozstania, a potem długiej tęsknoty, trwogi i żalów? Pieszczochów szkoła nie lubi, praży szyderstwem, ba, wyrzuca precz, jak zarazę. Bohaterów jej trzeba, nie zaś mazgajów. O mamie, o tacie tu nie wspominaj, zwłaszcza przez łzy; ich wizerunki chowaj sobie w sercu; z ich tarczą nie wyjeżdżaj, jeśli ona ma zasłaniać twą skórę; broń się, a nie skarż, raczej bądź towarzyszem usługnym, jeśli chcesz pozyskać przyjaźń trwałą. Wszak tu rzeczpospolita, a nie kulawa, nie obłudna, tylko prosta, szczerza, demokratyczna. Jej obyczaje, urobione samorzutnie, mają w sobie urok jedności społecznej; jej ustawy, wykonywane pokryjomu, nie mniej przeto ściśle, świadczą o młodzieńczej potędze zrzeszeń. Gdybyż starszyzna, zamiast gnębić, zechciała tę dążność oczyścić z chwastu, uznać i mądrze nią pokierować, szkoła przestała by odstręczać cechami organizmów szkodliwych; owszem, przedstawiłaby rękojmnię zdrowia dla ludzi dojrzałych. Lecz domy rodzinne, zwłaszcza polskie, żywiły zawsze wiarę, że

poza ich cieplarnią niema wzrostu ani jedności, jest tylko zepsucie; że obyczaje szkolne godzą na świętość ogniska; że związki koleżeńskie pochłaniają żar miłości przyrodzonej. Takie też uprzedzenie powstrzymywało państwa Czesławów od powzięcia woli stanowczej w sprawie, gdzie oczywiście względy samolubstwa mają udział nie mały. Stało na tem, że, jeśli chrztu uniknąć nie można, to niechże ceremonia odbędzie się w stolicy, a nie inaczej, tylko wobec rodziców, którzy ustawicznie na ofiarę mieć mają oczy zwrócone, oczy łagodne i słodkie, zdolne co chwila wrażeniom przykrym przeciwstawić przyjemne. Postanowiono ruszyć domem całym i przygodnie zamieszkać w Warszawie.

Mniemać atoli nie należy, jakoby tak dużego kłopotu Staś był sprawcą jedynym. Po śmierci Wincentego Korsaka opiekę nad żoną i dziećmi wypadło objąć szwagrowi zmarłego, panu Czesławowi. Okoliczność ta wywołała potrzebę zajęcia się wychowaniem Edmundka. O szkole nikt jeszcze nie myślał; mozołu bowiem podjął się chętnie Jakób Jagiello, uniwersytecki towarzysz Mickiewicza, późniejszy nauczyciel łaciny w gimnazyum słuckiem. Ponieważ tedy siostrzeniec miał rozpocząć nauki pod systematycznym kierunkiem pedagoga, czemuż by synek nie doświadczył ręki obcej, trochę przymusu, odrobiny kieżna? Nauka, w dwie głowy wkładana, mniej ciąży każdej, bo współzawodnictwo dodaje sił, utrzymuje ambicje i zaostrza władze. Jak długo Staś z Edmundkiem, pracując lekko, nawpół zabawnie, unikali zaciągu pod groźny sztandar klasy, powiedzieć nie umiem. Wiemy natomiast, że szczęśliwą dwójkę zdradziła siostra. Pilnoż było Albinie Korsakównie stanąć u mety, gdzie na panienkę czekają mistrze osobliwi, miejscy, zdolni wieśniaczkę ładnie ułożyć, wielostronnie uświadomić i do wystąpienia przygotować? Dziewczę piętnastoletnie, syte zabaw dziecięcych, zaczęło marzyć o ideałach i sztuce, stronić od sielanki, zaś tęsknić ukradkiem kto wie czy nie do lalek żywych. Nastrojem myśli i uczuć trzebaż pokierować przyzwoicie, jak nakazują względy towarzyskie; panience należy dać pewien wyciąg wykształcenia wyższego i, pokazując wir życia przez lekką zasłonę, niemniej przeto zbliżoną, ułatwić obcowanie z ludźmi wszelakiej miary. Gdy tyle powodów ważnych przemawiało za stolicą, nie dziw że państwo Czesławowie postanowili już bez skrupułu, bo dla

trojga młodzieży, zamieszkać w Warszawie, z czem zwlekać byłoby nawet grzechem. Wyjazd z Ubiela nastąpił dnia 15 sierpnia 1827 roku.

Osada, której pani Sędzina miała wciąż błogosławić, jako niezbędna i czcigodna babunia, umieściła swe członki w domu niejakiego Pawłowicza na Zoliborzu. Dużo tu czasu upłynęło, zanim przybyszom z dalekiej prowincyi miasto przestało w głowach mącić. Zmienić tryb życia — rzecz nie łatwa. Puszczasz koło rozpędowe, jak zwykle, mocen doświadczeniem, a machina, zamiast iść sprawnie, płata figle, narażając cię liczbą omyłek i ruchów sprzecznych co najmniej na stratę drogiego czasu. Zakłopotany, chcesz usunąć przyczynę bezładu. Lecz w szczegółach śledzisz napróżno; tkwi ona bowiem w ustroju samym, we wzajemnem ustosunkowaniu wszech części, w mniejszej lub większej złożoności, w warunkach zewnętrznych, w przyzwyczajeniu. Za powierzchowne urządzenie domu pan Czesław zapłaci; to zadanie służby, dostawców i rzemieślników. Lecz jak wytworzyć modłę życia, ułożyć bieg czasu i porządek zajęć, wytknąć na planie linie główne i bacznie, by celów powziętych nie krzyżowały ruchy podrzędne i zachcianki drobne? Gdy do stolicy sprowadziła rodzinę trojska o wychowanie, to już ci przełożonych nie zadowolni rozkład suchy, oderwany, jednostronny, a tem mniej dyrekeya obca, byle gotowa. Kształcić dziatwę zamierzono klasycznie, wszakże nie tylko za pośrednictwem książek. Trzeba znaleźć czas na wpływ sztuki i obcowania, na ćwiczenia praktyczne, na zabawę i spoczynek. Nim tedy Staś zasiądzie na ławie u Pijarów, niech do czwartej przynajmniej klasy pozostanie w domu, przyjmując kierunek szkolny prywatnie, więc podług przepisu, a jednak z zachowaniem swobody. Tak się też stało. Panicz nie dozna goryczy z powodu ławy, nie usłyszy rozkazów surowych, nie będzie zmuszony dźwigać ciężarów, walczyć o swe dobro, troszczyć się i obawiać, bo mu pracę ułatwi stosunek odwrotny jednostki do instytucyi. Nie on do powagi naukowej, lecz ta pośpieszy ku niemu, pomijając należny sobie szacunek oraz moc prawa, które orzeka, iż wiedzę zdobywać należy. Że jednak Staś umiał względem swych nauczycieli zachować stosunek wielce poprawny i uczył się pilnie, że tedy przywilej trafił w jaźń pracowitą, giętką i wyrobną, o tem rodziców przekonywały dzieje postępu. W r. 1830

panicz, wprowadzony przez pięciu profesorów, złożył egzamin u Pijarów i otrzymał od rady świadectwo chlubne, odpowiednie zamiarowi.

Przygotowanie do klasy czwartej nie przeszkodziło lekcjom muzyki trwać w dalszym ciągu. Matkę tylko, przy nowym fortepianie, zastąpił nauczyciel. Czy i uczeń nie okaże się innym, zwłaszcza pod wpływem atmosfery wielkomiejskiej, spróbować nie wadzi. Hałaśliwe na Zoliborzu godziny jęła zresztą podtrzymywać mania powszechna, której, w braku odwagi, poddać się wypadało. A jednak przeciw niej wciąż protestował jakiś czynnik ukryty, bezwiedny, zdolny odtrącać usiłowania i rozkazy przełożonych. Staś, wskazując na budowę swych rąk, zdawał się mówić: patrzcie i sądźcie, ażali wirtuoz ze mnie być może; dłón za szczupłą, palce za krótkie, toć nie do biegania po klawiaturze; nie mam daru, nie mam ochoty; po cóż mitrega? Okazując to, czyż przeto zdradzał kierunek odmienny? Uczeń Augusta Freyera odbywał lekcye pod przymusem. Ani isierki mistrz harmonii nie zdołał wykrzesać z tej duszy hardej, zamkniętej, jakkolwiek czulej; ani cieniem wróżby dziecię muzy rodzinnej, dotąd nieodgadnione, nie ujęło sobie przedstawiciela niemczyzny. Do porozumienia przeszkadzał brak sympatyj, która w nauczaniu muzyki stanowi wartość łącznika już nie tylko pożądaną, lecz konieczną. Rytmu żywotne ucznia, zamiast iść w ład przewodnim, dawały powód do rozterki i kłótni, odpychając co nie odpowiadało ich naturze a raziło zbyt jawną obczyzną. Pomimo to okres ćwiczeń, odbywanych w Warszawie, zaważył dużo w artystycznej pana Stanisława karyerze. August Freyer, uczeń Elsnera, znany później jako organista przy kościele ewangelicko-augsburskim, a także jako profesor w Konserwatorium Warszawskim, nie mniej ceniony w krajach protestanckich, był muzykiem dość poważnym i wykształconym, zaś przewodnikiem dość spokojnym i wyrozumiałym, ażeby w dziedzinie sztuki mógł spełnić posłannictwo pedagoga, obwarowane względami na prawidłowość zasadniczą. Ów bachista zawołany i klasyk rozumny nie umiałby kształcić grajków w stylu nowoczesnym, wstydziłby się nawet zstąpić z wyżyn chóru i fugi, by zawrzeć sojusz z posłami fantazyi szalonej i otwierać upust jej wezbraniom nerwowym. Przy klawikordzie on nauczał muzyki, nie zaś gry samej; kształcić głównie in-

teligencyę i wolę, bacząc na równowagę i spokój, jako czyniki podstawowe, w czem właśnie cenić należy takt pedagoga, który, wyróżniając indywidualizm i uczucie, nie dotykał strun delikatnych z obawy rozprzężenia. Jego metodą — rozwijać pojęcie harmonii ścisłej, związanej logicznie, w przeciwieństwie do chaotycznej i wzburzonej. Indywidualizmu wszak wydobyć nie można. Ów sobek zwykł wykluwać się samodzielnie, jak pisklę z jajka, a wymaga jedynie ciepła i ochrony macierzystej. Raz wszakże dojrzały i wyłoniony, on szuka pomocy, przeczuwając, że bez niej mógłby wpaść w odmet bezładu, dziwactw i swawoli wyuzdanej. Przypuszczać należy, iż taką pomoc, podaną wcześniej przez pedagoga warszawskiego, zaś utrzymaną przez ucznia tytułem ugody łatwej, prawomocnej i bezspornej, znalazł Staś, gdy w nim dojrzał pierwiastek twórczy, dzielny w sobie, lecz tem dzielniejszy z powodu dźwigni umiejętnej.

W Warszawie pan Czesław utrzymywał stosunki blizkie z ludźmi, którzy nie dla pustej gromadzić się zwykli gawędy. Tacy, jak Joachim Lelewel, Józef Kopeć i Julian Korsak, radzi byli miłego odwiedzać gospodarza, albowiem, jeśli każdy z nich przynosił ze sobą dar oryginalny i światło osobliwe, to pan domu umiał swych gości słuchać, poduszczać do wywnętrzeń i zjednywać sympatycznie. To też historyk, podróżnik i poeta śpieszą, by złożyć trójdźwięk zgodny i wyłonić treść pełną tu, w domu polskim, gdzie miłość ojczyzny czuwa, gdzie na wydatek nie żał czasu ni trudu. Takich mistrzów potęgę poznawać z pism — korzyść wielka, lecz nie dla młodzieży. Ta woli słuchać, niż czytać. Obojętna wobec litery martwej, ona chwyta dźwięki, rytmy i naciski, a odczuwając moc znaków intuicyjnie i wnikając w treść rzeczy z pomocą gry fizioognomicznej rzecznika, korzysta żywo, by tem dłużej uchować w pamięci co weszło drogą zmysłów zainteresowanych. Wartość i trwałość zdobyczy zależy oczywiście od uzdolnienia, od więzi wewnętrznej, u jednych słabej, luźnej i pierzchliwej, u innych zdrowej, czulej i organicznie możnej. Staś opuszczał rówieśników rozigranych, ilekroć stanąć mógł tuż obok ludzi poważnych i śledzić rozmowę wytworną, acz mało dlań dostępną. Gdyby zmuszony był z posiedzenia zdać sprawę, znalazł by się w kłopotie milczków zaciętych, umysłowo nieusamodzielnionych. Opowieść jednak brał siłą uwra-

żliwienia i wyobraźni, właśnie jak milczek, który, nim wyksztalci świadomość i zdobędzie jej stopień wyższy, nim potrafi składać i rozkładać, zestawiać i wykończać, a zawładnie formą, już ima tkań myśli ogólną, ima pobieżnie, by do przedmiotu wrócić, a nie bez psychicznej ostoji. Pamiętniki Kopcia, jeśli w późniejszym czytane były wieku, ileż zyskały, jako dzieło pojęte, odtworzone, lecz nie obce, bo przez dawnego zarysowane słuchacza! Żołnierz z pod Maciejowic, więzień i bywalec azyatycki, opowiadał inaczej niż pisał. Swe dzieje bowiem kreśląc piórem powolnem, usiłował on zachować spokój i równowagę stylu; głosząc zaś je swobodnie, trybem rapsodów, ożywiał ruchem, rumienił krwią, potęgował za pośrednictwem skrótów i nacisków lirycznych, na co w dzienniku ani się zdobyć ani bezkarnie pozwolić sobie nie mógł. Piszącego nikt nie słucha; piszącemu czytelnik ukryty narzuca uzdę cenzury. Co do Lelewela, ten, jeśli nie porywał techniką, to budował młodzież charakterem mistrza. Warto było, komu sprzyjały okoliczności, poznać badacza, co zwykł pisać i mówić o rzeczach wielu, wiedzę zdobywał uporeczywie, walecznie, jak bohater, a że jej uporządkować ani wyłożyć nie umiał, grzech do wybaczenia, skoro grzesznik wielbił światło i kochał ludzkość, wyznawał wiarę demokratów szczerych, pracował z pożytkiem dla narodu i zachował czystość duszy niepokalaną.

Biesiady nie ustawały, zwłaszcza gdy gościnnym państwu wypadło opuścić gospodę na Żoliborzu i zamieszkać na Krakowskim Przedmieściu, w domu Staszica. Pałac piękny, wystawa otwarta i jasna, scena okazała i pełna ruchu — toć podniety humoru, wesołości i otuchy niewyczerpanej. — Komuż to wzniesiony odsłaniają pomnik? — pytał Staś, zajęty widokiem ciżby okolicznej. Pomnik wspaniały, a cześć gromadna i uroczysta! Kto na nią zasłużył? Tłum milczał, jakoby świadomy; rad był wszelako usłyszeć słowo prawdy treściwe, zdolne zachwytem z poduszczenia dać wagę sądu. Ów posąg ze spiżu, co patrzy rozumnie a w nieskończoność, ów dar cywilizacji, co przemawia wyrazem myśli natchnionej, jaką przypomina chlubę? Jakiem posłannictwem mocny, rzeźbiarz odpowiedział wcieleniem genialnem? O Koperniku, o Thorwaldsenie Staś dotąd bodaj czy wiedział, czy słyszał cokolwiek. Obraz wszakże uroczystości, objaśniony przez ojca, har-

monijny i wymowny, ile że uczestnik czuł się być nagle łuną światła objętym, przechowany przezeń został w rzędzie najprzedniejszych, całkowicie trwałych i niespożytych. Klasyczna, wytworna prostota pomnika zadość czyniła wytwornej prostocie pieśniarza. Przechodząc obok spiżu, jako wtajemniczony i samodzielny obywatel kraju, on coraz wyraźniej słyszał wzniosły chór historii. Nie dziw, że późno, bo na cztery miesiące przed skonem, artysta gotów był tę wzniosłość wyśpiewać w kompozycji, godnej wielkiego astronoma, gdy naród postanowił dzień jubileuszu obchodzić pamiętnie. Lecz serce mistrza, nim w harmonii powszechnej wziąć udział mogło, nim nawet twórczym drgnęło płomieniem, już bić przestało.

Pozyskanie świadectwa u Pijarów zwalniało czwartoklasnika od nauk na miesiące letnie. Bawić w Warszawie — miło; wakacje atoli straciły by urok, gdyby uczeń, świadek rozjazdu i niezmiernej stąd radości, pozostał w murach, jako więzień samotny, opuszczony przez rówieśników i zmuszony w dalszym ciągu oddychać powietrzem zgęszczonym. Bruki rozgrzane nie odstręczają mieszczuchów; tym wystarczy Kępa, przejażdżka po Wiśle, kąpiel i swoboda nawpół wysznurowana; lecz wieśniak z rodu tęskni do pól, łąk i lasów, do przestrzeni szerokiej i otwartej, do swobody, której nie krępuje macierz hojna, dbająca o wypoczynek dla wygnańców. Wakacje na wsi — przecież to obraz szczęścia, malowany przez rok cały barwnie i żywo, obraz, gdzie nie brak czeladzi dworskiej, zabiegów w dzień roboczy, zabaw w świąteczny, ani ogródka, ani konika, ani harców rozlicznych, gdzie liczba uciech, niby drobnych, jednak powabnych, zapełnia scenę ludną, cudownie rozigraną a swojącą. Pustakiem Staś nie był. W młodzienszku tym mieszkał sensat spokojny i cichy, gotów zaświadczyć o sobie wierszykiem na cześć piękna i poezji w naturze, lecz nie rad opuszczać kryjówek, by wziąć udział w igraszkach, znamionujących fantazję wietrzników. To też wakacje na wsi miały dlań urok osobliwy. Wszak on wytworzył sobie państwo udzielne, owo Śmiłowickie, gdzie bez przeszkody mógł używać dóbr cennych, żadnymi nie obwarowanych przepisami prawodawstwa; był bowiem posiadaczem włości idealnej, tem droższej, że uwłaszczonej po za obrębem ciężarów ekonomicznych, trosk i obowiązków, przywiązanych do ziemi. Staś tęsknił do gniazda, bo mu

pilno było odbyć przegląd miejscowości rodzinnej, tu powitać znajomych, tam podziwić wzrost lub zmianę, ówdzie wysłuchać skarg, podzielić radość i zacieśnić węzły przyjaźni, przyjąć dary i wywzajemnić się sowicie, jak przystoi tubylcowi, który z obczyzny przywiózł kosz wieści ładnych i ciekawych. Trzy lata rozłąki — to przecież czasu dział spory, cała pieśń z życia, pełna wydarzeń, zdobyczy i zawiązków na przyszłość, wróżb i nadziei, myśli i uczuć nowych. Podczas pobytu w mieście sensat nie zerwał pasma, nie utonął w książkach; owszem, co widział i słyszał w przejeździe do stolicy, co zauważył w niej samej, tego nie zaniedbał wiązać i kojarzyć na ciąg nabytków dalszy, usiłując swój światek wzbogacić, zaś skarby coraz rozumniej porządkować, uzupełniać, jednaczyć. W Warszawie oglądał on Zamek królewski, cudne Łazienki, pałace i kościoły przepyszne, podziwiał stare miasto, istic sędziwe, a jeszcze krzepkie, wciąż nowemu bając coś gotowe o czasach minionych; więc dwie dzielnice porównując, zauważył łatwo: tam historii mrok tajemniczy i okres zamknięty, tu jej zamiary, plany i robotę wydłużoną; dalej tedy zobaczył spacer publiczne, geometryczny kształt i wielce ożywioną fiziognomiję grodu, poznał ludność strojną, grzeczną a rozbieganą, urodziwą i sympatyczną, słyszał pienia nabożne i wytworną muzykę mistrzów, a już najżywiej, co do ogólnej charakterystyki zaludnienia, przyjął wrażenie rytmiczności mazowieckiej, raz poważnej i rycerskiej, raz rzeźkiej, iskrzącej humorem i wesołej, co zdaje się gardzić napływową, jak kontusz i czamara pogardzały kiedyś ubiorem dworactwa i galanterii. Przebywać w takim środowisku, liczyć w stolicy dni płodne, a nie odczuć szczęścia, nie urosć w dumę mógł by chyba ptak przelotny, lekkoduch. Dla przybysza z prowincyi gród Zygmuntów posiadał wartość świątyni wielkiej, budowanej i zdobionej przez naród pod hasłem zjednoczenia. Miałaby potomek prawomyślny i spadkobierca prawowity być wyłączonym z rzeszy pracowników, więc współwłaścicielem? Nie dziw, że Staś, o wiele mędrszy i lepszy niż ów przed laty, zapragnął swą dumę wyładować wobec stryjów, otrzymać pochwałę, zachętę i rozwiązanie zagadki nie jednej, a jużci zniewolić starszyznę do przyznania bratankowi wyższego stopnia w hierarchii wychowawców.

Miesiące tedy letnie roku 1830 Staś, uszczęśliwiony

z wycieczki, przepędził w Ubielu, usiłując rozszerzone swego władztwa granice umocnić i zabezpieczyć. Ale jak? Wytwory idealne, nie oparte na dźwigniach rzeczywistości, złożone i kwieciste, lecz pozbawione jedności i formy, chwiejne i pierzchliwe, jakim odpowiadają dążeniom, jakim posłuszne są prawom, jakie niebo sprowadzają na ziemię? Podobnych pytań młodzieniec nasz oczywiście zadać sobie nie mógł. Czuł on wszelako, iż po za dziedziną woli trzeźwej istnieje ów świat majacny, opiewany przez romantyków, rzekomo cudowny, uroczy i tajemniczych ideałów pełen, przecież sam w sobie ckliwy, marny, fatalnie zawodny i wielce zgubny. Właśnie teraz wnuk pana Sędziego spostrzegł, że paniczem nie jest, że liczyć na uśmiech fortuny nie powinien, że pomiędzy światami — wymarzoną a rzeczywistą — stoi krzyż, upamiętniający walkę istoty rozumnej o równowagę, o prawdę, o podniosłość celów społecznych. W majątku rodziców wystąpiły na wierzch szczyrby znaczne i groźne; ziemię obciążły długi; rachunek zaniedbany jął ostre czynić wyrzuty bezrządowi zbyt kujać. Co począć? Dobrego ojca syn dobry nie obwini; baczny wszelako na kruchą podstawę kierunku, zawstydzony stanem bierności, pojął on, że nadeszła pora odrzucić pieluchy, wybadać siebie i rozpocząć pracę owocną. O wyzwoleniu mowy być nie mogło, gdyż jakkolwiek Staś powrócił by chętnie do Warszawy, pragnąc przekonać starszyznę, że potrafi dać sobie radę, to serca rodziców, zafrasowanych położeniem materialnem, a wyłącznie przez wzgląd na jedynaka, podniosłyby protest uporu przeciw zbyt wczesnym objawom samodzielności. A jednak na myśl o wielkiej stolicy odpowiadała głucha i bezlitosna jawność bankructwa. Postanowiono zamieszkać w Mińsku. Niech synalek kończy szkołę w mieście, gdzie życie tanie i brak pokusy pozwolą opiece spoglądać nań ustawicznie, cieszyć się nim i w darowitym pielęgnować bez zmiany wzajemność uczucia bezpodzielną.

IV.

W roku 1831 Staś zaczął już nosić mundur gimnazysty, wiązać stosunki z kolegami i poznawać obyczaje szkolne.

Wśród rzeszy mrówczej uniknąć łatki — rada bezskuteczna, zwłaszcza jeśli towarzysza do książki i palanta wyróżnia oryginalność zbyt uderzająca, ażeby się przez demokrację zauważyć nie dała. Paniczem mały Moniuszko być nie chciał, a jednak po raz pierwszy usłyszał, ba, z ust spostrzegaczy bystrych, że nim jest w istocie. Nie pomógł mundur, na nie się nie zdała gotowość do sojuszu zacna i szczerą; zacieźnika bowiem zdradzały ruchy wytworne, postawa niewojownicza, wyraz łagodny i spokojny. Gdzie junactwo wszczęło hałas, zwadę lub wyprawę zuchwałą, tam Stasia nikt nie widział, nawet w roli rozjemcy, przeciwdziałacza bądź parlamentarza z opozycji. Że się tedy podczas gry burzliwej trzymał na boku, okazując skłonność raczej do biesiadowania niż do ruchawki, dla tego rada małoletnia, zamiast w nim uszanować cnotę nieznaną, przypięła mu nie bez szyderstwa łatkę samolubów. Czyż przezwiskiem tem wyróżniono go przez pomyłkę? Bynajmniej. Młódź szkolna sądzi z pozorów, nie sięgając w głąb jaźni, której tajemnice kryje powłoka gładka, mało przepustna nawet dla spostrzegaczy doświadczonych. Wszak chodzi o rozpoznanie stanów wyrobnych, zmiennych z dnia na dzień, jak wszystko co ulega prawom rozwoju, więc bezkształtnych i kształtowanych, dopóki na okres wzrostu starczą siły źródłowe i psychiczne, a czas nie ustali wnętrza i rylcem nie odznaczy powierzchnię. Nie dość tego. Wartość osoby poznajemy nie z postawy samej, nie z oblicza wyłącznie, lecz głównie z czynów. Tych zaś sumę wytwarza jaźń zbyt złożona, pełna różnic i odcieni, zaledwie przy tem zależna od przyczyn i wpływów zewnętrznych, ażeby sprawiedliwość, wychodząc ze stanowiska krytyki społecznej, nie zawyrokowała błędnie, mniej lub więcej podmiotowo, zamiast bezstronnie. O sprawach ludzkich rozstrzyga najczęściej kazuistyka ciasna i wykrętna. Jeśli tedy o Moniuszce, już o człowieku skończonym, artyście skromnym, wstrzemięźliwym i zamkniętym w sobie, trudno było wydać sąd słuszny, to ileżkroć trudniej orzec komukolwiek przyszło, czy Staś sobkiem jest skrytym i obojętnym, czy też marzycielem sympatycznym i dobrodusznym. Przymioty osobliwe, jak: uwrażliwienie delikatne, zamiłowanie porządku i statek rozsądny, ujawniane wśród rzeczypospolitej rozwarcholonej, mogły ją upoważnić do wniosku, iż szanowny kolega jest chyba mędrkiem niety-

kalnym, czułkiem obraźliwym, może skromnisiem udanym, a już niewątpliwie zwolennikiem stosunków przez rękawiczki. Używając tedy ogólnika, zowiąc odstępce paniczem, towarzysze nie popełnili omyłki. Staś bowiem żywił w sobie artystę, a przedstawiciel piękna arystokratą być musi, jeśli cyganem być nie chce.

Staś uczył się pilnie i we wszystkich przedmiotach okazywał zdolność rzetelną. Tak dobiegł do klasy siódmej. Otóż, po ukończeniu szóstej, gdy podczas wakacyj pracę należało przerwać dla wypoczynku, jedynak zapadł na zdrowiu. Było to ostrzeżenie organizmu, który narzucony sobie ciężar dźwigał prawem nawyku wśród zajęć codziennych, a wytrzymywał pod wpływem poduszczeń moralnych, oraz intuicji, nawołującej do porządku. Przerwa atoli, wykazując przyczynę omdlenia — nadmiar i wysiłek, pouczała wymownie, iż żywostan Stasia nie należy do rzędu krzepkich, że przeto uczeń pilny płaci haracz bohaterów gorliwych, cielesnie zagrożonych a duchowo możnych. Pierwsze to ostrzeżenie było skierowane w stronę oddziaływań najbliższych? Stasia wychowanie grzeszyło brakiem hartu. Odżywiany słodyczami miłości, delikacyony w uczuciach, zyskiwał on potęgę romantyczną — uwrażliwienie zbyt kowne; lecz tracił ostoję woli, zdrowie i równowagę. O ile tedy, badając siebie z pomocą towarzyszy, spostrzegł w zwierciadle istotę czułą, lecz pozbawioną energii, o tyle mocno postanowił dać jej odprawę, chociażby walka dużo kosztować miała. Że spadkobierca woli czynnej odniósł zwycięstwo, o tem śmiercią przedwczesną zaświadczył mistrz znakomity, człowiek-artysta wypracowany. Tymczasem o powrocie do Mińska i o ukończeniu nauk w szkole średniej trwoga zabroniła rodzicom myśleć pod karą następstw złowrogich. Niemoc zresztą przekroczyła zakres wypoczynku, grożąc wypadkiem poważnym, gdyby na upór zmuszoną była swoje wywlec postrachy fatalne. Jedynak dość ma wiedzy. Uzdolnionemu przystoi raczej wstąpić do jakiejś służby, rozpocząć karierę, spożytkować nabytki. Wszak młodzieniec liczyć wkrótce będzie lata odpowiednie, a dobro ziemian bogatych jakoś ucieka i, urągając łatwowiernym, zdaje się ich kochankowi wskazywać drogę samopomocy. Obrac zawód techniczny zabrania stanowczo względ na okres przygotowawczy, długi a ciężki. Syn nadto nie daje rękojmi powodzenia, jak gdyby

zwlekał wobec pracy społecznej, której podział przymusowy, ograniczający powagę rozumu i swobodę ruchów, nie licował nigdy z godnością poetów. Staś niech zostanie urzędnikiem. Przecież biurokracya daje zyski ładne i otwiera widoki świetne, zwłaszcza gdy aplikant rachować może na stosunki i protektye wysokie, na stanowisko ojca wśród ludzi możnych i życzliwie usposobionych. Na taką właśnie licząc samopomocnikłą i wyszrubowaną, takich korzyści malując obrazek i w imię takich dostojęństw zachęcając do uległości, pan Czesław dogadzał słabostce osobistej, lecz obrażał bohatera. Ten odczuł całą szkaradę przedstawienia. Jaktó, panicz, usiłujący poznać wewnętrzną wartość pozoru, miałby zostać służalcem? Nie. Że nie jest sobkiem, ani karjerowiczem, ani biernem narzędziem porządku, o tem przekonywa go wstręt do biura, ów osobliwy, który umysły szlachetne uprzedza o poziomie zajęć jałowych, suchych i zabójczych, o teatrze figur bezbarwnych, postaci złamanych i pochlebców brzydkich, o posłannictwie niedołęstwa, nędzy moralnej i rozterki społecznej. Wstręt radził mu oddalić złudę, co już trąciło zapowiedzią wyzwoleń bliskich przez poezję i sztukę. Staś pozostał w domu, by używać swobody młodzieńca, któremu przystoi badać piękno i prawdę wśród okazów żywych, kształcić harmonje wewnętrzne z pomocą arcydzieł literatury i korzystać z doświadczenia ludzi rozumnych. Bratanka stryjowie nie opuszczają.

W Mińsku fortepian nie przestał prześladować ucznia. Znów grać, nie nad to, zmuszał go niejaki Stefanowicz, uważany za najlepszego w mieście, właściwie zaś kierownik lichy, rutynista, zgola muzyk od biedy, jak wielu braci, powoływanych z rzemiosła przez nieuctwo i obłąd. Przewodnik nudził, cierpliwie milczał, a geniusz sztuki liczył na boku dnie i godziny, jak gdyby przewidywał bliską już chwilę objawienia. Czy za taką uważał on tę właśnie chwilę swobody zupełnej, spowodowanej ostrzeżeniem organizmu — zobaczymy. Dyseiplina szkolna, o ile ścisła, bezwzględna, surowa a mechanicznie złożona, nie sprzyja wzlotom w krainę ideału, nie rozgrzewa młodzieży do pracy w imię prawdy wzniosłej, syntetycznej, pożądanej przez miłość, a cennej z powodu badań bezinteresownych. Gęsta atmosfera szkoły, obciążając umysły sucharami wiedzy, zaś żywostany martwotą obowiązku, gnębi

wyobraźnię i fantazyę twórczą, mrozi stany uczuciowe i ubezwładnia służbę pojemną, jak gdyby chodziło o uduszenie ofiary w murach więziennych. Nie dziw, że na liście zbiegów władza czyta nazwiska nie tylko próżniaków i nieponiów, lecz osobników szlachetnych, którym pilno odetchnąć powietrzem świeżem, zobaczyć świat, podziwić piękno i zdobyć samodzielność istotną. Pomiedzy ofiarami systemu, gotowemi do ucieczki, bywają mniej lub więcej odporne i wytrzymałe. Te pozostają przez wzgląd na przepis prawa, opinię ogółu i korzyść praktyczną. Zajrzyj wszelako do ich pracowni, a zobaczysz odstępców darowitych, łatwo, lekko, częstokroć obojętnie czyniących zadość stróżom cywilizacyi, lecz z zamiłowaniem szczególnem zajętych uprawą umiejętności, wybranej przez intuicyę. Liczbę takich zwiększył by niewątpliwie Staś Moniuszko, nawet jako słuchacz kursów uniwersyteckich, gdyby mu nie pofolgował los, zsyłając upadek sił. Otóż, gdy niemoc ustąpiła, a organizm jał odzyskiwać stratę i naprawiać szkodę, wynagradzając przerwę szybkimi ruchy w kierunku równowagi, wtedy wśród otoczenia powstawał młodzieniec odrodzony, niby zdobywca, gotów coraz dzielniej występować w obronie czci własnej, bo coraz świadomiej podążający gościńcem praw przyrodzonych, celów wyraźnych i zasługi. Staś dojrzał podług wymagań higieny, prawidłowo, wszechstronnie, równomiernie. Jego władze otrzymały kolej zmian co do pracy i wypoczynku, o tyle zdrowotną i korzystną, o ile ułożoną systematycznie, poprawnie, bez wykroczeń przeciw naturze. Umysł swój panicz odżywił pokarmem wybranym, przyjemnym, a że rozmaitym, przeto jędrnym i zawsze świeżym. Nikt mu nie uciskał serca, nie gniótł piersi, nie psował krwi, nie kurczył mięśni, nie drażnił nerwów; nikt władcy Śmiłowickiemu nie przeszkadzał obejmować coraz szerszych granic świata idealnego, gromadzić budulec na poemat, wtajemniczać się i uwłaszczać swobodnie. Stąd pełnia wewnętrzna, organicznie żywa, ciepła i płodna, co rośnie bez przerwy, wytwarza stany zadowolenia i, otwierając upust, stanowi ów przelew treści, w którym filozofia zauważyła zbytek samorzutny oraz istotę gry estetycznej. Przypuszczać należy, iż żywioł drgnął w duszy Stasia nie inaczej, tylko dźwięcznie, rozwijając się pod wpływem liryzmu miejscowego, jak u słuchowca, który najchętniej przejmuje postacie muzyczne

i radość swą wyraża za pośrednictwem pieśni własnej. I oto najpierwszy objaw indywidualizmu, jako mocy samoistnej, potraconej przez matkę, oszczędzonej przez technikę i znajdującej pomoc gotową, podaną umiejętnie podczas pobytu w Warszawie. Staś śpiewał sobie cicho, zrazu wewnątrz i luźnie, ale coraz głośniejsze i jawniejsze, coraz zwieźlejsze i skończonejsze, acz nigdy bez nacisków oryginalnych i rytmiki swojacej, nigdy wbrew harmonii, znamionującej poetów polskich współczesnych.

Przyznać należy, iż los, przerywając mitręgę szkolną dla wczasów na łonie rodziny, wyrządził paniczowi przysługę znakomitą. Wszak wczasy te przedstawiały korzyść akademicką, zaofiarowaną przez spadkobierców pana Sędziego, ludzi światłych, pożytecznych, zjednoczonych celowo, a zdolnych dawać poglądy rozmaite i opromieniać rzeczy wielostronnie, każdy ze stanowiska umiłowanej przez się nauki, każdy z wiarą w doświadczenie własne. Poznaliśmy ich i wiemy, że w dobrach Śmiłowickich pracowali przedstawiciele filantropii, filozofii, przyrodoznictwa, prawoznawstwa i sztuki, zwolennicy zasad demokratycznych, gorliwi patryoci i czynni cnót obywatelskich wyznawcy. Od tak złożonej akademii czegożby wymagać mógł krewniak kochany, chętny i spragniony wiedzy? Przecież nie wykładów systematycznych, wydziałowych, obwarowanych granicami teorii. Wybrańcowi muzy przystoi raczej pożądać rozmów pouczających, wtajemniczeń życiowych, wzorów i przykładów znamienitych, wskazówek praktycznych. Staś nie doznał zawodu. W jego umyśle jęła powstawać, a coraz pełniej i kształtniej, synteza iście humanitarna, nie martwa, nie literacka, lecz organiczna i żywotna, synteza mistrzów odrodzonych, pojmujących twórczą i dobroczynną potęgę prawdy w znaczeniu społecznym. Kto tę zdobycz rozumu posiada, ten w dziełach fantazyi, zamiast cenić sztukę dla sztuki, grę samolubów i przyjemność jałową, rad widzi potrzebę moralną, wydatek władz zjednoczonych i objaw dążeń wzniosłych. Różnica zapatrywań zależy od stanów psychicznych. One to wyjaśniają upadek sztuki, jej kierunki skrzywione i manowce, jej świadectwa fałszywe i brzydote, wynikającą z niemocy, z konieczności fizjologicznej. Ilekroć bowiem fantazyja błądzi — znak to, że mistrze cierpią na brak syntezy, jako potęgi twórczej, że działają bez posłannictwa i bawią społeczność chorą, niezdolną posłów swoich uwierzytelniać

poważnie i prawomocnie. Nie dziw, że samozwańcy ci, pozbawieni myśli przewodniej, nie wznosząc się nigdy po nad padół, żyją wśród popłochu i ruchów sprzecznych; nie dziw, że, przeceniając wartość indukcji i analizy, patrząc na sprawy ludzkie zbliżka i pozostając na poziomie biologii, śpieszą wystawić na podziw grę fatalizmu i zwierciadła złowieszcze, więc prawdę nagą, powziętą jednostronnie i powierzchownie. Jeśli platonizm uwodził za pośrednictwem uniesień idealnych i uprzedzeń mystycznych, to naturalizm wpadł w ostateczność przeciwną, by obdarzyć nas pięknoscią szkarady, odurzyć efektem, upoić szumowiną życia. Takim bezwstydem nie zgrzeszy humanizm rzetelny, wszechstronnie światły i syntetycznie mocny. Jego wyznawcom nie chodzi wcale o pomijanie indukcji i analizy. Zanim jednak z wyżyn idei przewodniej zstąpią na padół, by sprawdzić rzeczy wśród rozterki powszechnej i poszukiwań drobiazgowych, wprzód opanują stanowisko dedukcji i utwierdzą swe poglądy dźwigniami wiary moralnej. Jakże wtedy użyją metody rozkładowej, jak spostrzegać i wnioskować będą? Zaiste nie inaczej, tylko wytwornie, szlachetnie i sympatycznie, bo na podstawie krytyki rozumnej, równowagi psychofizycznej i sądów sprawiedliwych. Kojarznia umysłowa, organicznie wypracowana i wyzwolona, pouczy ich, że to, co zwiemy złem jakoby stałem, jawnem i dowiedzionem, jeśli istnieje, to nader względnie, wobec trybunałów podmiotowych i państw zainteresowanych, zależnie przeto od wielu przyczyn i wpływów, które gromadzi geniusz cywilizacji, obarczając jednostki odpowiedzialnością za winy bezwłasnowolne, za grzechy przodków, za brak światła, przemoc i nieskończenie rozległą skalę nacisków, za kierunki dziejowe, stosy nadużyć i błędów wychowawczych. Takich ciężarów społeczność dźwigać nie chce i dlatego walczy o swe prawo ustawicznie, czem dowodzi, że posiada pierwiastki dobre, głęboko wszczepione i niespożyte. W tę właśnie głębię zwykł sięgać rozum, bo tam spoczywa prawda istotna — dążność ku poprawie, celowość i postęp w rozwoju, a nadto żądza poduszczeń zbawiennych. Prawdę utajoną sztukmistrz powinien odczuć, przewidzieć i wydobyć, a to na pożytek rzeszy współczesnej, wołającej o ideał. Optymistą być on ma z zasady, nie lekko-myślnym, lecz wieszczym, jeśli, zamiast swych uczestników

bawić lub drażnić bez celu, postanowił zająć wysokie stanowisko pięknotwórcy w gronie mężów dobroczynnych.

Zauważmy jeszcze czyim przystoi mu być posłem. Rozumowanie dedukcyjne, oparte na kojarzni naukowej, prowadzi do wniosku, że humanizm nie zdołałby posiadać mocy dobroczynnej, trwałej i określonej, gdyby wyrażał miłość w znaczeniu ogólnem. Czem zaręczysz, eny ideologu, iż życzliwość twa rdzennem jest uczuciem, rozumnie wykształconem i gotowem uszczęśliwiać bliźnich, skoro, zawieszony u stropu przestrzeni bezgranicznej, nie masz siedziby własnej, ani ojcowizny drogiej, zabezpieczonej prawami władców rzeczywistych; skoro nie znosisz ofiar na ołtarz przodków, pojmujesz słabo mowę i potrzeby bratnie, a wzrokiem obojętnym mierzysz obraz jedyny i mglisty — wielkiego mrówiska? Oddalony kosmopolitycznie, mógłżebyś opisać kraj rodzinny, wziąć udział w rozdawnictwie i przedstawić tytuły swoje? Ty nie znasz siebie wcale, więc nie jesteś wolnym, żyjesz według wskazówek samolubstwa, dbasz o własne tylko zbawienie i słuchasz litery martwej. Gdzież tedy rękojmią miłości? Gospodarz leniwy wszak nie ma czem usłużyć sąsiadowi, nie zdoła radzić mu ani czynić dobrze, dopóki statku we własnej nie zobaczy zagrodzie. Im tedy organiczniej, zupełniej i piękniej urządzi dom swój, im bardziej zacieśni węzły rodzinne, im świadomiej oceni wartość spójni szczególnej, tem sprawiedliwiej ważyć będzie prawa ogółu, tem lepiej spełni obowiązek człowieka. Boć marzenie o harmonii powszechnej, gdy w skład zbiorowiska wchodzi organizmy słabe, rozdziwiczne, bezwłasnowolne i rozbite, marzenie to, jakkolwiek dobrotliwe, zdradza umysły chwiejne, trwożne, przejęte wiarą mystyczną i niezdolne obejmować rzeczy z wyżyn psychosocjologii. A właśnie tak pajęczce ludzkiej myśli pasmo wciąż wiązał, plątał i zrywał geniusz wieków średnich. Usiłowano zbudować państwo olbrzymie, teokratycznie zjednoczone i niewzruszone, mało bacząc na żywioły sprzeczne i wzajemnie wrogie, na straszne zderzenia ras i szczepów, które łączyć miała idea wzniosła, wszechświatowa. Budowano od szczytu; wzrąb wznosiło piekło. Smutne tych usiłowań skutki historia wykazała w objawach fizyokracji i nienawiści międzynarodowej, w liczbie nadużyć bezkarnych, w kolei rozruchów krwawych, w nędzy, zwyrodniałości i w groźbach pseudo-patryotyzmu. Chcesz po-

zostać w ojczyźnie i podążyć do środka z usługą dobrego syna, musisz odmówić czei i pokazać pięść cudzoziemcowi. Ale patryotyzm przez haniebne odbicie czyż daje rękojmię powodzenia? Marne to siły, bo wydęte i niesamodzielne.

Otóż w świątyni ideałów powszechnych pięknotwórca winien być posłem rzeszy spójnej, zjednoczonej i zdolnej dawać uwierzytelnienia wyrazne. Skąd przybywasz, kim jesteś, jakie masz listy? Na takie pytania, zadawane sobie wzajemnie, cóż odpowiedzą wieszczowie? Czasy pseudo-klasycyzmu i dworactwa minęły, szal romantyczny traci kredyt, zuchwalstwo naturalistów otrzymuje chłostę, a ruch obecny, ów dośrodkowy, jakim grupy poszczególne zwiastują swe odrodzenie organiczne, pozwala dobrze tuszyć o estetycznej odnowie. Gdy naród pragnie podziwiać ideały własne, dowód to, że je poznaje, ceni i wypracowuje w życiu, że więc dojrzewa rozumnie i, wyzwalając jaźń swą ze stanu umysłowości uniwersalnej, chaotycznej, rozbieżnej, pozyskuje świadomość coraz pełniejszą, spotęgowanie władz, pogląd jasny i samopoczucie. Przez ruch żywiołów dośrodkowy sztuka zyskuje na bogactwie treści, na mocy przedstawienia, na prawdopodobieństwie postaci i typów. Tu analiza nie wpadnie na poziom drobiazgu, nie rozproszy ani sfałszuje dążeń; owszem, prostując co krzywe, ona ueziera rozmaitość rysów na korzyść wyboru, na wartość piękna istotną, pobudliwą i wzniosłą w znaczeniu moralnem. Boć wieszczem prawdziwym może być tylko syn ojczyzny dobry, prawomyślny i zaufania godny. On najlepiej zna tajemnice bytu, drogi i ścieżki swych uczestników, potrzeby i upragnienia swej macierzy kochanej; on najwyraźniej słyszy muzykę osobliwą, dopóty zagadkową dla słuchaczy obcych, aż przezeń pięknie wyłożoną nie zostanie. Wszak polscy z ostatniej doby mistrze, coraz powszechniej wielbieni, dali zaszczytne o tej muzyce świadectwo. Stąd owych słuchaczy coraz bezstronnie ważona cześć dla narodu, otucha polaków z powodu uznania na zewnątrz i zapowiedź stosunków bratnich. Lecz czemuż dzieła tych mistrzów zjednały sobie sąd przychylny naokół? Z nich przeziera ogień miłości, zwróconej ku ojczyźnie, wiara niezachwiana w przyszłość i optymizm głęboki. To też i Stanisław Moniuszko, który duszę współziemian rozgrzewa dźwiękami kompozycji rdzennie narodowej, spełnił szlachetnie dane sobie posłannictwo. Źró-

dłem jego natchnień — dobroć polska, jako przyczyna wieszczby pomyślnej; dźwignią jego fantazyi — synteza humanitarna, dziedziczna, ujawniona z pomocą otoczenia i poduszczeń światłych.

V.

Młodzieniec dojrzały źle świadczyłby o sobie, gdyby swej jaźni dopełnić nie zapragnął jaźnią inną, odmiennie uposażoną a żadną również uzupełnienia. Dwie natury ciągną ku sobie siłą przeciwieństwa, by przez połączenie wytworzyć więź jedną i całokształt bytu, wymienić dary przyrodzone i rozpocząć tkaną szczęścia wzorzystą, wszechstronnie wzdłuż czasu rozwijaną. Takie natury czy się spotykają? Kto je zbliży, co je połączy? Oczywiście nie szal, nie żądza płocha ani rachuba, tylko intuicje przenikliwe, chowane społecznie pod opieką geniuszu narodowego, który czuwa, by na czyistość obyczajów nie padła zaraza. A właśnie akademik Śmiłowicki, syt wiedzy, wzorów i przestróg, zaczął odczuwać połowiczność swej jaźni męskiej. O zdobyczy miłosnej, o poezji kochanków mógłżeby marzyć? Stryj Aleksander, wybierając się na kilka miesięcy do Wilna, postanowił wycieczce nadać znaczenie doniosłe. Bratanek skończył lat siedmnaście; więc rozpoczął okres wyzwoleńców. Spadkobierca ziemian litewskich niech pozna gród Gedyminów, przedstawi się ogółowi i zaskarbi jego względy; niech poweźmie wyobrażenie o służbie publicznej, nauczy się obcować z ludźmi rozlicznej barwy, a nawet użyje nieco wczasu zwyczajem młodzieży dorosłej. O żeniaczce któżby myślał? Staś przyjął wezwanie; podróż doprowadzoną była do skutku; jawne zamiary jęła wieńczyć wróżba pomyślna. Lecz Eros nie śpi. Mało baczny na wiek, on swemi podmuchy uprzedza czas, jak gdyby żartował z bojaźliwych i lekceważył przepisy starszyny. Staś zobaczył scenę nową, ale nie bez gwiazdki z liczby promiennych, co zwykły wschodzić, by żrenicom czystym zaróżwić widnokrąg. Gwiazdce Stasia na imię — Aleksandra. Była ona córką Ksawerego i Maryi z Zakrzewskich Müllerów. Nikt nie naciskał, nikt serc nie wiązał, nikt strzałów nie dostrzegł. Dzieło intuicji powstało bez świadków, bez pośrednictwa. To też

opiece wypadło czekać z wyrazem życzeń, aż ją rumieńce pouczyły, że pomiędzy zbliżonymi nastąpiła wymiana uczuć samodzielna i serdeczna, wymowna i dozgonna.

Spotkanie w Wilnie — to wypadek niezmiernie ważny w życiu Stanisława. Odtąd człowiekiem innym jaźń mu być każe, bohaterem, twórcą przyszłości na rzecz dwu jaźni. Przed wystawionym na próbę ustąpi bezpowrotnie czułek zamknięty, jednak upieszczony i uczeń bierny. Dość słabowania, precz więzy opiekuńcze! Oto we wnętrzu niepodzielnem zamieszkał gość osobliwy, gotów pracować na korzyść pełni doskonalszej, a nim to nastąpi, już nie obojętny na dary, skoro sam wnosi skarb cenny — dobroć i wiarę, jako dań dziewictwa, której zdradzać nie wolno, którą zachować należy. Powinność to święta i wzniosła, rękojmią szczęścia jedyna, artykuł konstytucji małżeńskiej nie do wykreślenia. Wybraniec muzy polskiej dowiódł, że potrafi śpiewać bez maski obłudników, jakiej trubadurowie, a nie tylko dawni, swą wziętość zawdzięczać zwykli. Podniety sztucznej, romantycznie zmysłowej wszak nie potrzebuje pieśniarz darowity i szczery; z liczbą kochanek zakulisowych, z miłością pierzechliwą w zanadru on wstydziłby się stanąć przed majestatem mocodawczym. Ów majestat boleje, widząc, że tu i ówdzie jakiś bożek zwalnia artystę od obowiązków, włożonych przez cywilizację na osobę człowieka, boleje nad poniewierką powagi i godności ludzkiej, widząc, że jakaś siła nieci w łonie pięknotwórców ogień brudny, obniża wartość sztuki i utrzymuje stan chorobliwy w dziedzinie ideału. Cóż to za bożek, jakaż to siła? Na godność istot natura nie zważa. Jej zadaniem — pielęgnować siłę rozplodową, ustawicznie czynną, energiczną i niespożytą, by gatunek nie zanikł, by równowaga kosmiczna zwichniętą nie została. Stąd pierwiastek sameczy, zwany chucią, groźny u płci męskiej z racji fizyologicznej, zaś tem fatalniejszy pod wpływem nadużycia i nawyku, sideł wabnych i poddaństwa woli. Opanować tę surową siłę natury, uszlachetnić w sobie zwierzę to już zadanie człowieka, trudne wprawdzie, lecz konieczne przez wzgląd na zdrowie pokoleń i wartość cywilizacji. Rozkosz kaleczy, poniża moralnie i zatracą fizycznie; ascetyzm ubezwładnia, zacieśnia widnokrąg i wtrąca w otchłań próżni, na dno egoizmu. Obie zresztą ostateczności winne są rozlicznym form psychopatii, zwyrodnienia i obłądu. Dlatego cenić

należy instytucję związków prawowitych, obejmującą całość kształtu bytu najdoskonalszy, o ile mądrze poczęty, konstytucyjnie wykończony i uczciwie przeciw zachciankom rozkładowym obwarowany. Lecz na hamulce zgodzić się nie mógł geniusz poezji, ów oczywiście, który za temat dla fantazy wziął ogólnik rozciągli, nieokreślony i pełen warjantów metafizyczne pojęcie miłości. Romantycy, uniesieni przez falę, zbłąkani kosmopolitycznie i skłonni do mistycyzmu, żądni przeto wrażeń nadzwyczajnych, cudowności i tajemnic uroczych, wpadli w odmet rozkoszy bezuzdnej, utrzymując, że artyście być namiętnym, ba, zwolennikiem szału i stanów gorączkowych, graczem bezwzględny w dziedzinie uczuć... pozwala przywilej. Sternikom zuchwałym a rozmarzonym rozum odmówił rady, rachunek woli wykazał niemoc. Nie dziw, że się znaleźli wśród otchłani strasznej, gdzie na ofiary nierządu czyhają padalce i żmije, gdzie szatan obwieszcza panowanie zwierzęcia i bezwstydu, gdzie brak światła płodzi złą wiarę, tragedię widzeń sennych i rozwieszłą symfonię baśni.

Względem takich graczy naród polski, dający upoważnienia wręcz odmienne, zachowywał się odpornie, jakkolwiek od napaści natarczywej a zręcznej nie zawsze bronić się umiał. Romantyzm dotykał strun czułych i delikatnych. Trzeba mu było coś z powagi męskiej ustąpić. Otóż Stanisław Moniuszko tem właśnie na wielką cześć zasługuje, że nie ustąpił nic, pozostając artystą-rycerzem bez zmazy, posłusznym tradycji i wiernym sztandarowi. Jak on pojmował obowiązki męża i ojca, jak oceniał spójnię i stosunki rodzinne — o tem pouczają listy, pisane do żony podczas rozłąki. Zawarte w nich myśli, zawsze jasne, trzeźwe i rozsądne, częstokroć wesołe i nie bez dowcipu, świadczą, że mistrz harmonii nie tęsknił do ideałów miłości romantycznej, nie marzył o pocałunkach rozkosznych, nie pożałował tajemnic, nie kochał przez wyobraźnię. Stąd pogoda i spokój serca, które mało co więcej wstydziłoby się udawać słodycz, niż upoważniać rękę do kreślenia gorzkich słów żalu i skargi, gniewu i wyrzutu, zniechęcenia bądź obojętności, jako znamiennych dwojnictwa, rozterki wewnętrznej i bezładu. Świat sztuki powoływał kompozytora do wielkich ognisk, narażając męża i ojca na rozłąkę mniej lub więcej długą, jak gdyby chodziło o dalszy ciąg próby. Przecież w miastach ludnych, zwłaszcza przelu-

dnionych, jak Paryż, jeśli mieszka piękność rzetelna, to również i zwodnicza. Nie brak tu rozdawnictwa na korzyść umiejętności i doświadczeń owocnych, ale też nie brak pokus i zaczepiek ze strony przeciwnej. Pod wpływem blasków olśniewających któż zdoła pominąć kałużę? Opuszczając dom, Stanisław mierzył cele dostojne. Raz pilno mu było rozszerzyć zakres wiedzy estetycznej, innym razem śpieszył po wieniec mistrza, to po rozgłos i fortunę artysty, obarezonego obowiązkami względem ojczyzny i osób najbliższych. O drogich sercu dobry polak zapominać nie zwykł. Nie dziw, iż zacny mąż Omki, przebywając na obczyźnie, a otoczony zbytkiem, ani na chwilę nie przestawał obcować z żoną, być duszą gniazda i gospodarzem radnym, zdolnym w swej wyobraźni utrzymać złożone pasmo wymagań i potrzeb codziennych. Nie dziw, że bolał, ilekroć goniec spóźniony miał zdradzić lenistwo lub opieszałość domowników. Stęsknionemu wystarczała przecież wieść krótka, byle treściwa i częsta. Ze swej strony wszak on nie żałował nakładu, ażeby Omka miała czem spędzić chmurkę z czoła, spłoszyć widmo przeczuć złowieszczych i rozradować otoczenie. Opiekun bowiem, dbały o dobrobyt materialny, przyzywa na pomoc artystę, który potrafi opisać wrażenia wyprawy i, zanim uwieńczył powrót z tytułem, nim złote runo przywiezie do rozdania, już zwiastuje tryumfy rozliczne, raz z powodu podanej sobie ręki pomocnej, to z racji wystąpień publicznych, to znów o ile sobie waży dowody uznania i przyjaźni, oraz oświadczenia dostojników możnych. A jak on to opisuje szczerze, prosto i przedmiotowo, bez najmniejszej przesady, bez przechwałek i utajęń; jak nawet mozołom swym tudzież rachubom zawiedzionym usiłuje w przedstawieniu odjąć nastrój przykry i cechę tragiczności. W jego spowiedziach panuje wciąż otucha i duch wiary dobrej. Wystawa cywilizacji wybudującej, ześrodkowanie i przepych władzy, ruchy wezbrane i bogaetwa techniczne nie zachwyciły wcale tej natury zdrowej, poszukującej wpływów dodatnich. Nie Petersburg też, nie Berlin ani Paryż, raczej Kraków maleńki i cichy, zatrzymany w rozwoju, lecz historycznie wymowny, zasłużył na wyłączną uwagę poety. Pobyt w tem mieście jest dlań „ciągłym pasmem wielkich i przyjemnych wrażeń, które nieustannym szeregiem wywołuje widok pamiątek i niezrównana

uprzejmość mieszkańców. Troskliwość, jaką swego gościa otaczają, jest prawdziwie polską“. Gość opisuje łatwą znajomość z ludźmi znakomitymi, ich poczet liczny i zasługi, a nie skąpi też słów na wzmiankę o pięknościach i rzeczach ciekawych, którymi zajęty, wzrok polski nie dopuści się nigdzie przeniewierstwa ani porównań zdradliwych. Geniusz sztuki może na obczyźnie roztoczyć przed nim dziwy i okazy czci godne, lecz nie zmaże obrazka, co powstał pod wpływem miłości najżywoźniejszej. Przekaz zbiorowy, opatrzony imieniem narodu, dotyczy rodzin. Niech Omka wie o tem.

Więc zbiór listów służy za dowód rzeczowy, że ich autor pojmował instytucję małżeństwa i cenił spójnię rodzinną nie inaczej, tylko ze stanowiska człowieka-artysty. Chciał on mieć państewko wytworne, ładnie zjednoczone, gdzieby zamieszkał duch zgody i miłości, gdzie nikomu nie ciążyłby obowiązek pracy ani nakaz rozumu co do usług wzajemnych, gdzie dobrobyt skromny szedłby w parze z cnotą, gdzie gromadka cała czeiłaby ołtarz wspólny — ojczysty, nie szędząc ofiar, unikając szaleń. Z państewek małych wszak wielkie składa się państwo, podobnie jak w skład osoby wchodzi ustroje poszczególnie, niby osobniki organiczne, zdolne mieć wolę własną, lecz nie bez posłuszeństwa względem naczelnej. To też patriota szczery i mądry, zamierzając dom swój zbudować, nie zaniedba nakreślić planu, któryby odpowiadał prawdom sztuki i zadość czynił godności mistrza. Że mężowi Omki obcymi nie były warunki pomyślności społecznej, że Stanisław Moniuszko przewidział wcześniej, jako artysta, ostoję działalności najbardziej trwałą, mocną i bezpieczną, o tem wątpić nie należy. Pieśniarz z powołania, pełen intuicji, miałżeby swych mocodawców drażnić rozdzźwiękami liry? On, przedstawiciel harmonii rzeczywistej, wstydziłby się stawać w roli żebraka, roztaczać skargi i żale osobiste, wzbudzać litość, zdradzać wnętrze rozdarte, śpiewać na nutę pesymizmu. Płaczem wyrodnym on roztkliwi chorych; zdrowi wskażą mu lecznicę. Ci umieją przenikać i wiedzą, że dodatnia potęga sztuki, co ich ożywia, rozplamienia i ku wyżynom podnosi, zależy od spokoju i równowagi; że więc mistrz, który ich wzrusza dobroczynnie, zasługuje na cześć, jako przedstawiciel spójni rodzinnej. Otóż muzyka Stanisława Moniuszki taką właśnie budzi cześć znawców przenikliwych. Nie szpeci jej

egotyzm, nie osłabia styl romantyki ekliwej, lubieżnie erotycznej. Stąd jej potęga, znamionująca spokojną i głęboką duszę poety, który złą wolę w rodzinie czynił odpowiedzialną za rozterkę i brak mocy kierowniczej w narodzie.

Przejdźmy do zawiązanej w Wilnie intrygi i do jej następstw najbliższych. Rodzice Stasia nie chcieli słyszeć o wybranej przezeń gwiazdce. Według ich zdania, była ona jednym z meteorów przelotnych, nikłych, co wschodzą na niebie chłopiąt, by pomigotać przez chwilę i zgasnąć bez śladu. W wyobraźni młodocianej roić się one mogą obficie, zajmować jakiś kącik mniej lub więcej zaczepnie; lecz żadna nie sięgnie do serca, żadna nie zagości we wnętrzu, gdzie przytulki przechodnie są, ciasne i zimne. O Wileńskiej bogdance panicz zapomni łatwo i prędko. Należy tylko zdmuchnąć wizerunek, chociażby opiece wypadło użyć woli stanowej. Panienka bez posagu, bez korony szlacheckiej miałałaby usiłować jedynaka, przestąpić próg posesyonatów, podzielić spadek i uwstecznić wznoszenie się rodu? Nic z tego. Tyle pieszczoty, nakładu i starań, tyle wytwornej ogłady, mienia i widoków na przyszłość — to stopa za nadto wysoka, ażeby przedmiot nie wart był przechowania w skarbcu. Brylant nie powinien kusić ręki mieszczkańskiej, chciwej. On przyozdobi koronę inną, magnacką, co tylko czeka na większe roztoczenie blasku, na porę zbliżeń i oświadczeń. Tak przemawiały szkopyły jawne. Czyżby im nie towarzyszyły ukryte? Sceny, gdzie role główne przypadają świekrom, bodaj czy kiedy przestaną o miłości matek świadczyć ujemnie. Te, romantycznie względem dzieci nastrojone, więc zazdrosne w miarę roztkliwienia i egzaltacji wychowawczej, za ofiarę poniesioną rade są mścić się na rywalach lub rywalkach szczęśliwych. Chcąc tedy uniknąć zderzeń przykrych, błogosławić nie śpieszą i zwlekają tem śmieiej, im poważniejszymi względami swą czułościowość osłonić mogą. Dodać należy rachunek pana Czesława ziemski, mizerny i obciążony, wymagający gwałtownie naprawy. Tak spiętrzone przeszkody zobaczył rycerz młodzieńki na drodze, którą sobie wytknął przez kobierce zielone, skierował w górę i już kwiatami obsadzać zaczął. Nasyp wyglądał groźnie i ponuro. Przesadzić — nie sztuka; świadczyć o tem śluby tajne. Lecz kto zerwał pasmo jedno, by nawiązać drugie, jestże tkaczem przezornym? Zamiast zręczności skoczków, Staś po-

stanowił użyć mocy, która umie wyrównywać i gładzić, czekać cierpliwie i długo, obchodzić szkopyły i wygrywać stawkę jawnie, zgodnie, bez cienia obrazu, bez gniewu lub protestu ze strony przeciwniej. Skutek takiej dyplomacji nie przekroczył roku. Zaledwie bowiem od spotkania w Wilnie kilka upłynęło miesięcy, już Imię pan Czesław, uroczyście wystrojony, podążał traktem wileńskim, by panią Müllerową prosić o rękę córki dla syna.

Oświadczenie przyjętem zostało, atoli nie bez zastrzeżeń, które mogłyby zranić miłość własną ojca, gdyby nie były demokratycznym wyrazem rozsądku. Pani Müllerowa zauważyła, że Staś długo jeszcze będzie za młodym na męża; że przypuszczalny dziedzic nie przedstawił żadnej z wymaganych dziś rękojmi; nie wykrył uzdolnień, nie obrał zawodu, nie wykazał charakteru. Możnaż zaufać paniczekowi? Należy czekać. Niech kawaler zabierze się do pracy, zdobędzie klucz do jednej z wielu warowni społecznych i przyniesie świadectwo chlubne, lecz nie płonne. Zobaczy się wtenczas, jak dalece stałym jest w swoich przedsięwzięciach i sympatyach, co towarzyszące dożgonnej przyrzec i dotrzymać zdoła, czem uszczęśliwi rodzinę.

Brzmienia uwag Staś wysłuchiwał spokojnie. Tu dyplomacya nie pomoże. Trzeba rozwinąć zabieg czynny i odpowiedzieć godnie na słuszne wymagania rozsądku. Toć matka, śpiewaczka, rada była dawno uściskać syna jako wirtuoza; kształcono go na fortepianistę; więc technika muzyczna nie jest mu obcą. Igraszki chłopięce, przypominane w porę, zagadnęły go, ażali ten, kto na wezwanie rówieśników klecił sceny ucieszne, nie żywi w sobie nerwika dramaturgów. Nadto, gdy samo poczucie zwiastowało artystę, a bodźce stryjów nie stłumiły muzyki cichej u słuchowca — to już rozwiązanie intrygi miłosnej zależy od patentu, wydanego przez akademię poważną, specjalną, dość głośną, ażeby litewskim zaimponować mogła znawcom. Staś śpiewał dla siebie. Teraz, ponieważ kocha, zaczął śpiewać treściwiej, rozlewniej i określniej, bardziej na zewnątrz, już przedmiotowo, a więc i wytworniej. Może pieśń doleci podług adresu i uświadomi wybranek, że poeta nie jest wietrznikiem, że myśli i czuje głęboko, że umie wiary dotrzymać. Miłość stwarza światy siłą pełni wewnętrznej; miłość też szuka najchętniej wyrazu

w muzyce. Więc do dzieła. W Berlinie zastąpił mistrz Rungenhagen, uczeń Zeltera, wyborny kompozytor, światły teoretyk i dzielny pedagog. Jego oratoria i kantaty, symfonie, kwartety i utwory muzyki kościelnej, utrzymane w stylu wielce poprawnym, przyjęte były w Niemczech za okazy uwagi godne, tem bardziej, że od manii romantycznej wolne. Stąd przychylny sąd krytyki w porze, gdy najstarsze z pomiędzy towarzystw śpiewaczych poszukiwało kierownika. Rungenhagen przyjął wezwanie, a że drużynę prowadził świetnie i zamiłowanie do muzyki chóralnej krzewił bez ustępstw dla muzy lekkiej, przeto po Zelterze otrzymał łatwo dyrekcję Akademii samej. Dodać należy, iż mu też Berlińska Sztuk pięknych Akademia ofiarowała krzesło członka i posadę profesora w poddanym sobie Instytucie Muzycznym. Takie wieści krążyły na Litwie pomiędzy ciekawymi nowin ze świata wogóle, zaś Berlińskiego Olimpu w szczególności. Staś nie namyślał się długo i już w roku 1837 pracował w stolicy Prus.

Wybór był trafny, tak co do uczelni i kierownika, jak pod względem miejscowości. Berlin, miasto północne, leży na linii obronnej, mocno przeciw sensualizmowi estetycznemu obwarowanej. Muza południowa nie rada była gościć w tym pasie zimnym, gdzie od wieków kształtowały się formy muzyki instrumentalnej i spekulacji polifonicznej, gdzie przeto dla wdzięków melodyi brakowało ciepła, dla uniesień śpiewnych — fantazyi rozgrzanej. To też liryzm czysty, pieszczony od kolebki pod słonecznem niebem Italii, przedzierał się na północ ostrożnie i lęklwie, dopóki do odwrotu nie zmusiły go stanowczo potęgi stylu wielkiego. Co wytworzył geniusz pięknej Italii, kantilena, aria, nie przepadnie; co powstało w szkole śpiewaków-wirtuozów wejdzie w skład chóru; przecież nie inaczej, jak pod przewodnictwem poezyi, która potrafi złamać upór obozów, ożywi melodyę, pogłębi polifonię i na korzyść całości zespoli strony. Zadanie to spełnią mistrze poważni, nie zaś rzesza kompozytorów uprzejmych, rozbawionych, lekkomyślnych. Na linii granicznej stanął też poczet takich, jak Gluck, Haendel i Bach, Haydn, Mozart i Beethoven, aż do Wagnera włącznie, twórców dramaturgii skończonej, gdzie na błyskotki miejsca nie ma, gdzie piękność zmysłowa ujarzmiona została w imię równowagi, gdzie kompozytor, zamiast być dostawcą wrażeń płytkich i efektów, rozwija wszech-

stronnie prawdę przedmiotu i roztacza organiczną kojarznię piękna. Szkole muzyków-poetów przeciwstawił inną mistrz wdzięku i zręczności — Rossini. Otóż, jeśli italianizm nie wiele, to rossinizm tem mniej rachować mógł na oklask poza dzielnicą sensualizmu. Twórca bowiem gracy i koloratury głosowej, grzesząc przeciw prawdzie wystawnością złudną, często kroć karygodnem pustactwem, raczej bawił dowcipnie niż wzruszał, raczej z poezyi dźwięków zuchwale żartował niż w niej widział potęgę, co też krytyka z obozu przeciwnego umiała chłostać bez pobażania. Berlińskiej zawdzięczyć należy nie tylko odprawę żartu, lecz poszanowanie prawideł, oraz dzielną stylu wielkiego obronę, gdy szkoła znów inna, romantyczna, jęła dziwaczyć zaczepnie.

Bądź co bądź, Stanisław trafił dobrze, skoro do syta miał wzorów, które wciąż w rozwoju sztuki przodowały, zwłaszcza ilekroć zbłąkanej zagroził upadek. Rytmiki polskiej nie pochłonie germańska; nastrój sympatyczny, pogodny i jasny nie ulegnie pod wpływem wzniosłości gotyckiej ani spekulacji protestanckiej. Lecz wzory nauczą wiele, od gramatyki i składni aż do władania techniką kompozytorską, sprawną pod względem formy i wielodźwięczności, a zdolną obejmować plany rozległe. Cudzoziemca wtajemniczy kierownik światły, znać nie obcy w dziedzinie literatury, jeśli zwierzchnictwo objął po jednym z najbliższych przyjaciół Goethe'go. Zelter przebywał często w Wejmarze, by w myślach, jakie ożywiały twórcę „Fausta“, rozpoznawać muzykę poezyi wciąż postępową i społeczną. Jego następca, gdyby był muzykiem zasklepionym, nie mógłby zostać członkiem Akademii wszechpiękna. Rungenhagen też nie tylko nauczał, lecz mądrze wtajemniczał. Nie dziw, że uczeń, przyszły sojusznik Mickiewicza, posłuszny wskazówkom, umiał rozróżnić wartość arcydzieł epokowych. On do postaci wielkich, idealnych, nie zastosuje miary, jakiej wymaga typ z życia. Mocodawstwo Haendla i Bacha przeszło do historii. Gdy pierwszemu z nich słuchacz bezstronny a światły przyzna potęgę dramatyczności biblijną, dziś już słabo odczuwaną, to wobec pietyzmu i fugi ewangelickiej zachowa pogląd formalny, jak wobec tradycyi raczej kunsztownej niż żywej. Poezyę Pisma, zwłaszcza mistyczną, zepchnęła inna, bardziej treściwa, sympatyczna, bo zwrócona w stronę zadań żywotnych. Za taką uważać należy poezję Mozart'ów i Beet-

howen'ów. Miałe by tak znacznej różnicy nie zauważyć wychowanie humanistów? Zagadnięty raz, co sądzi o twórcy symfonii dramatycznej, odrzekł, że przed mistrzem tej miary należy kornie uchylać czoła, nie dotykając tkani, jaką z siebie wyłonił wieszcz głębokomyślny i wszechludzki, kompozytor osobliwy, najsamodzielniej twórczy, a przeto najwzględniej wzorodawczy. Postacie muzyki Beethovenowskiej wywoływały zawsze z ust czcigodnego pieśniarza wyraz podziwu bez granic. Inaczej co do Mozart'a. Z tym spokrewniały Moniuszkę przymioty jednakie: optymizm szczery i szlachetny, prostota wytworna, uczucie delikatne i wyraz jasny, bogactwo i zwiększość pomysłów, miara wyborna, tudzież równowaga treści i formy. Lecz jaki urok zbliżył takiego poetę do Mendelssohn'a? Twórca „Eliasa”, romantyk i geniusz oryginalny, był przecież mimowolnym przedstawicielem judaizmu — idylli patryarchalnej i prorocstwa, zanadto gorącym, ażeby, podobnie jak zamaskowany w poezji Heine, uniknął w muzyce czeć trochę krzywej ze strony powag obrażonych. On chętnie uciekał z pod pręgierza muzy północnej, by w Lipsku pracować nieco swobodniej i zadość czynić zwolennikom nowatorstwa. Miałe by tę właśnie oryginalność upodobać sobie pieśniarz polski? Zapewne. Patryota cenił wezbranie uczuć, jakkolwiek wylew ognisty, żaloszny i hysteryczny mógł raczej roztkliwiać, niż sympatycznie jaźń trzeźwą wzruszać. Ale bardziej niż to, romantyk polski cenił w niemieckim piękno formy, zachowane starannie, jeśli nie w szczegółach i w kompozycji rozległej, to w obramowaniu i w utworach małych. Nastrój też Mendelssohn'a znać w uwerturze do „Parii”, więc do opery, gdzie twórca „Strasznego Dworu” zamierzył wyrazić smutek i ból tragiczny, gdzie jednak rozwinać grozy nie pozwolił nastrój przeciwny.

Na patent kompozytora skończonego Stanisław pracował dwa lata. Tak krótki przeciąg czasu wystarczał uzdolnionemu, bo miłość szczerą i trwałą była dlań bodźcem wobec zadań trudnych i pokus wielkomiejskich. Nauka harmonii i kompozycji nie mogła zresztą obciążać umysłu, gdzie pierwiastek twórczy czuwał, ażeby jakiś wpływ uboczny nie pograżył artysty w otchłań lenistwa. Stanisław tworzył pod przewodnictwem umiejętności, a to przyjemność wielka. To też spoczywać ani szukać rozrywki nie potrzebował w mie-

ście, gdzie istnieją teatry, sale koncertowe, zbiory dzieł pięknych, stowarzyszenia, zgola pomoce, zdolne uzupełniać wiedzę szkolną, urozmaicać zajęcie, a odciągać młodzież od przybytków, dokąd wabią uciechy podejrzone. Takim postępowaniem uczeń polak pozyskał ojcowską niemieckiego mistrza życzliwość. Rungenhagen ofiarował Stasiowi mieszkanie, stół i opiekę rodzinną u siebie, czem dowiódł, że jest przewodnikiem-artystą, który w ścisłym stron interesowanych stosunku widzi najskuteczniejszy środek kształcenia. Przyjaźń ożywia naukę, stosunek bliski ułatwia pracę, rozum zaś, moc woli i zamięłowanie porządku oddziałują korzystnie na poddane sobie pierwiastki. Stąd zaufanie. Obdarzony niem uczeń rośnie szybko, by profesorowi swemu odwdzińczyć nakład wykazem samodzielności. Drużyna śpiewacza nieraz posłuszną bywała polskiemu faworytowi, który dyrekcję chóru obejmował zastępczo. Miłość tymczasem nagliła. Dość przecież dla niej, że rycerz otrzymał dyplom zaszczytny i praktycznie cenny, bo zupełny, kompozytorski, świadczący o dojrzałości estetycznej w kierunku „najwyższym”. Więc dlaczego opóźniać chwilę odjazdu?

Drogę nudną, ciężką, znaczoną smutkiem i westchnieniami z powodu rozłąki, teraz zdobywca przebiegał inaczej. Te same miasta i osady, te same widoki i okolice, tylko w odwrotnym ułożone porządku, jeły wabić i wdzięki swe roztaczać, albowiem podróżnik, nim do swoich przybędzie, już chętnie rozmawia z otoczeniem i radość swą wyraża przez sympatyczny do świadków niemych stosunek. Niech stacye wiedzą, że do dom wraca kochanek szczęśliwy; niech pamięć drogi oplakanej zniknie, skoro wyzwoleniec widzi przed sobą śliczną postać przyszłości. Niby anioł w bieli, ona leci przed bohaterem, a trzyma różdżkę zieloną i pięknie zaludnia pustynię. Pani Müllerowa przywitała panicza nie bez zdziwienia. Cóż kawaler powie, co pokaże na dowód swej stałości? Że się stawil, znak dobry; lecz stawiennictwem samem chleba nie zdobędzie; trzeba mieć klucz, a nie byle jaki, bo nie każdy przecież otwiera zamki mocne, coraz sekretniej przez rachmistrzów społecznych kute. Przypuszczać należy, iż przezorną matkę patent uspokoił, nawet zjednał brzmieniem tytułu. Muzyk-kompozytor na Litwie, artysta z dyplomem zagranicznym, to osobistość poważna, wielce pożądana w kraju zacofanym,

gdzie jednak uzdolnień ani dobrych chęci nie brak. Okoliczność ta znać podziałała silnie, skoro przeszkody upadły, nikt ze zwłoką nie wystąpił i ślubne połączenie oblubieńców odbyć się mogło w Wilnie d. 25 Sierpnia 1840 roku.

VI.

Młoda parę pan Czesław pobłogosławił z rozczeniem ojca, który swej życzliwości już nie miał czem poprzeć. W sercu pełno; lecz w skarbcu pustka. Wypadek niby błahy, o ile spowodowany widocznie i nie nagły; jakże atoli dotkliwy dla dumy, która zgodzić się musiała, by ukochany jednak zamieszkał z żoną w mieście i rozpoczął sieć obowiązków od zarobkowania za pośrednictwem mało płatnych lekcji. Stało na tem, iż nowożeńców pani Müllerowa przytuli w swym domu, zaś Wilno zaliczy w poczet mieszczan, powołanych do pracy uciążliwej, do ważenia czasu i wiedzy na szali potrzeb rozmaitych. Materyalnie hojne, potrzeby te, niby sknery, chowają grosz, ilekroć wydatek ponieść nakazuje wzgląd na literaturę lub sztukę. Biada temu, kto nie umie towaru przedstawić po-każnie i ocenić drogo, kto nie zwykł łatwowierności wyzyskiwać reklamą. A właśnie o tyle przemysłowcem lichym był nauczyciel muzyki świeżo osiadły, młodziutki i skromny, acz patentowany. Nie dziw, że pracował ciężko, a zarabiał mało. Zajął byś stanowisko profesora, szeptał mu instynkt, nauczał byś sztuki; to ci przysporzy samopoczucia, przyczyni szacunku, oszczędzi goryczy i drogim czasem godnie rozporządzać pozwoli. Tak; lecz głos konieczności przeczył, wskazując na zaniedbaną kulturę ogółu, który profesorów ani pedagogów nie potrzebuje, sztuki cenić nie umie, a wzywa bakałarzy tanich, obojętnych na pogardę i raczej służalczych niż niezależnych. Wyboru niema. Chcesz wyżywić siebie i żonę, mieć chwilę spokoju i spożyć w domu kruszynkę szczęścia, zechciejże biegać po gospodach, jak najemnik, wprawiając działość do gry popisowej i znosząc cierpliwie krzywy stosunek woli do wymagań zewnętrznych. Żeś kompozytorem, zapomnij. Mógłże byś tworzyć pod brzemieniem hałasu? Jakże uchronisz zarzewie lotne, jak w stanie swobody czynnej utrzymasz fantazję, gdy w głowie szumią rozdźwięki nieznośne, gdy duszę gnębi

mus nienawistny? Oddalisz fraszunek, a tuż przybywa inny. Oto wśród popłochu zadrgał dźwięk osobliwy, miękki, sympatyczny, lecz ostrzegawczy, dźwięk pierwszej dzieciny. On błagalnie oznajmia, żeś ojcem, że masz objąć nową postać opieki, wykształcić coś splodził, zwiększyć sumę obowiązków i ograniczyć resztkę swobody.

Ale ów ojciec nie był człowiekiem bezbronnym. Zawsze spokojny i pełen otuchy, on konieczność wszelaką zmierzy rozumem i, tłumiąc w sobie głos egoizmu, zniesie łatwo jej groty, by tem dzielniej mógł zająć stanowisko odporne. Wzgląd na siebie doradził by mu opuścić kraj, gdzie potrzeby są małe i skala zabiegów zbyt szczupła, ażeby pomieścić mogła działaczy, których powaga traci karygodnym zbytkiem. W Warszawie znalazł by przecież warunki dogodne. Tam uprawa muzyki postępuje szybko; tam niejeden głos woła o ratunek przeciw italianizmowi, ile że odstępcy krzewią bezkarnie wziętość rozbratu pomiędzy muzyką a poezją. Pieśń swojska, pod-słuchana u źródeł, czeka na wykształt, a uczniów w stolicy rozśpiewanej nie zbraknie dla kompozytora i harmonisty. Elsner miał ich dużo. Czemuż by Moniuszko nie miał więcej? Czemuż by ruchem muzycznym nie zawładnął? Wnuk atoli pana Sędziego był nie tylko muzykiem, lecz patryotą gorącym i obywatelom kraju. Takich działaczy obowiązkiem najbliższym — nie opuszczać dzielnicy rodzimej, prawomocnie w swym rozwoju zależnej od wyżników miejscowych. Warszawa posiada siły własne i stopień umuzykalnienia; środowisko Litwy trzeba umuzykalnić, rozpoczynając od podstaw, by przejść do pieśni, której dźwiękom należy dać moc wieszczą a rozgłosną. Jako dźwięgnie poezji odrodzonej, one lotem błyskawicznym powinny ogarnąć widnokrąg rozległy, przeniknąć w głąb siedzib poszczególnych i nutę obcą wypłoszyć za pośrednictwem sztuki uwłaszczonej. Dzieło, zapoczątkowane przez Stefani'ego, należy wykończyć tam, gdzie mania naśladownictwa nie znalazła przy-tulków trwałych, gdzie fantazyi twórczej nie skaziły prądy napływowe, gdzie przeto liryzm swojski, acz ubogi i pierwocinny, panuje bezpodzielnie prawem tradycyi i mocy źródłowej.

Ubogi nauczyciel pozostał w Wilnie. Wiedział on, że czasem rządzić można, byle nie tracić głowy i mieć systemat wyrobiony. Tu wola mocna i giętka pomieści łatwo przeci-

wieństwa, ułoży zajęcia w porządku hierarchicznym, a nie wykroczy przeciw żadnemu z obowiązków przyjętych. Pięknotwórca nie zapomni, że jest mężem, ojcem i obywatelem, że uczniowie czekają na lekcję, a przyszłość kto wie czy nie zapowiada rodziny licznej. Ani człowiek artysty, ani ten człowiekowi przeczyć nie powinni. Owszem, niech sztuka roztoczy swój majestat wszechpotężny i upoważni jednostkę czynną do działania pod sztandarem prawdy, o tyle rzetelnej, o ile wytwornie zjednoczonej. Niech uczniów kształci mistrz-poeta; niech rozdźwięki domowe stłumi muzyka ładu i spokoju. Ileż cierpień ona złagodzi, ile ciosów ostrych uchyli, ile ran zabliźni! Na doświadczenie ojciec czekał nie długo. Pierwsza dziecina zmarła. Strapionego jakim dar pocieszy, jeśli nie ów płacz, co zwykł ciężary wszelakie zdejmować najskuteczniej, lekko, odpływem naturalnym? Swą boleść Stanisław wyśpiewał. Stąd śliczny tren do słów Kochanowskiego; śliczny, mówię, boć łzy gorzkie i rozwięzłe ulgi nie przynoszą, gnębą i terają, jak trucizna. Płaczmy, gdy na serce kamień spadnie, lecz nie bez słów wzniosłych, nie bez myśli dobrej, zwróconej w stronę ideałów ludzkich, promieniejącej nadzieją i mocnej wiarą we współczucie bratnie. Tren, to pierwsze dziecko artysty, poczęte natchnieniem bez zmazy, a jednak ludzkim, żywotnym, nie mistycznym. Miałże by człowiek rozpaczać po niemowlęciu? Nawet w żalu poetyckim systemat kazał pieśniarzowi zachować miarę. Właśnie w kościele św. Jana zaważowała posada organisty. Moniuszkę nie zrazi zajęcie upośledzone. Wszak *dławić dudy* zwykło nieuctwo. Czemuż by harmonista nie podniósł nabożeństwa grą na instrumencie, którego dźwięki wyrażają najdoskonalej jedność chwały zbiorowej, stanowią duszę świątyni, a koją żądze i bóle światowe? Instrument, gdzie o potędze dźwięku stanowi nie indywidualizm grajka, lecz siła powietrza, jeśli kiedyś oddziaływał mystycznie, to na zmysł gruby i barbarzyński. Dziś on zajmuje miejsce w rzędzie przyborów, mających nabożeństwu dawać cechę sztuki wysoce pięknej. Stanisław zajął chętnie ławkę grajków-prostaków, nie bacząc na czas, na opinię ani na marną zapłatę, skoro i na tem polu mógł pożytecznie swym ziomkom usłużyć.

Przedsiębiorac umuzykalnienia Wilna, Moniuszko miał na uwadze nie tylko nauczanie, lecz moc łącznika, więc sto-

warzyszenia i koncerty, zgoła ruch złożony i organiczny, jako jedyną rękojmię w sprawie kształcenia ogółu, który wymaga wzruszeń i poduszczeń, a rad sądzić o sztuce przez wymianę zdań wobec jej blasków. Taki ruch stworzyć i takim rządzić, znaczy tyle, co naturę surową ująć w karby metryki estetycznej. Zadanie trudne. Czy mu podoła gorliwiec młody? Trzeba użyć nieco podstępów, jak radzi szlachetna myśl zamiaru. Wszak w Wilnie, jeśli kto z zamiłowaniem a umiejętnie uprawia muzykę, to nie tubylec, raczej przybysz. A właśnie liczna kolonia Niemców, zajętych sprawami przemysłu i handlu, zdawała się być gotową do posłuszeństwa względem kierownika, który by zechciał połączyć siły luźne i stanąć na czele drużyny zjednoczonej. Uczeń Rungenbageny znał tajemnicę *Verein'ów*: karność wojskową pod berłem harmonii i pohamowanie porywów indywidualnych na rzecz całości. Nie dziw, że zaczął od próby łatwej, od przykładu i zachęty. Skoro jednak najpierwsze zauważył owoce podstępów, tu trochę samochwalstwa i zarozumiałości plemiennej, tam żdźbło zawiści i podniety, wnet przewodniczyć Niemcom zaprzestał, by całą duszę oddać krajowcom. Mieszczan wileńskich bawiła zdawna gromadka grajków, zwana pospolicie *muzyką*. Biedna i samouczna, zarobkowała ciężko, darząc słuchaczy czemś równie ciężkiem, przygodnym i rozstrojonem. Najprzód tedy wypadło pomyśleć o zorganizowaniu orkiestry prawdziwej, jako podstawy, umożliwiającej wykonywanie rozlicznych rodzajów muzyki stylowej. Gromadka niech sobie zostanie; lecz zawiązek trzeba wzmocnić siłami, których dostarczy grono lubowników i nauczycieli. Tak skutkiem zabiegów i powagi dyrektorskiej, jaką rozwinał działacz niestrudzony, powstał w Wilnie chór instrumentów, złożony prawidłowo, podług wymagań dynamiki wielodźwięcznej. Drużynę miały do artystycznej dokładności wprawiać ćwiczenia i próby. Dobro bowiem sztuki przewodnik widział we wzajemnym z dwu stron składaniu ofiar: artyści mają grać coraz ładniej, publiczność ma nie skąpić stawiennictwa, grosza i zachęty. Oto pierwszy koncert. Naczelnik daje hasło. Czem on zajmie uwagę słuchaczy? Nie drobnostką, nie utworami bez wartości, ale też i nie dziwactwem popisowem, byle jaskrawem i utrzymanem w stylu psychopatii nowoczesnej. Jego program mieści dzieła takich mistrzów, jak Haydn, Beethoven, Spontini, Mendelssohn; jego laseczka zaznaczy poezję bajki w uwerturze

do „Snu letniej nocy“, rytmikę bohaterską we wstępie do „Cortez’a“, naiwną prostotę opisu w paru obrazkach ze „Stworzenia“, bitwę tudzież radość narodów z powodu wygranej pod „Vittoryą“ i apostołskie „Św. Pawła“ uniesienia. Podobny wybór ujawnia dbanie o tak zwaną *suggestyę*, o tyle dobroczynną, o ile gracz przyciąga słuchaczy, ażeby na rozteranych wpływać potęgami symetrii i rytmiczności, więzią logiczną i jasną, równowagą treści i formy. To też orkiestrze nie groził zanik, dopóki publiczność miała za co płacić i dzięki składać serdeczne. Chór głosów, bardziej gotowy, mniej wymagał nakładu i starań.

Ale instytucja, chociażby najstaranniej poczęta, nie zdoła sama przez się ruchu wytworzyć, ustalić ani utrzymać w stanie energii pożądanej. Instytucja powinna być wynikiem potrzeby. Narzucona, ustąpi wobec chłodu i obojętności ogólnej. Stąd konieczność pobudek zasadniczych, teoretycznych, zdolnych przełamać upór bezwiedzy i wywołać potrzebę przez skierowanie światła na rzecz, której wartość rozum lekceważył. Pozbawiony peryodycznych potrażeń piśmiennictwa, oraz wskazówek poważnych ze strony krytyki, on sądzi fałszywie i władzom pojemnym daje zlecenia ograniczone, grube, nieestetyczne. Słowo — to potęga olbrzymia w dziedzinie plastyki i muzyki, oczywiście o ile nie zwichnięta przez nadużycie, nie obniżona literackim zawodem i raczej syntentyczna niż specjalna, niż drobiazgowa. Nasz pieśniarz umiał by jej użyć, gdyby znalazł czas i pole na redakcyę organu odpowiedniego; umiał by zapewne pisać o sztuce lepiej niż Weber i Schumann, Liszt i Wagner, bo spokojniej i bezstronniej. Świadectwem — kilka listów poufnych, oraz odpowiedź na „Listy“ Kraszewskiego, zamieszczona w Ruchu Muzycznym. Że jednak bibule nie ufał, powodem tego musiała być, oprócz wrodzonej skromności, obawa pracy daremnej wobec słabo rozwiniętych wymagań czytelnictwa. Nie dziw, że wołał mówić i wołać głośno, zagajać biesiady, gromadzić i łączyć coraz szersze koła lubowników, niby gospodarz uprzejmy a zręczny, który potrafi rzucić myśl płodną, bacząc, by się mnożyła sama, swobodnie, bez przymusu, zaledwie lekkim i niedostrzegalnym posłusznym podmuchom. Biesiadować polacy lubią; czytać mniej. Nie długo też po osiedleniu Moniuszko zajął w Wilnie zaszczytne gospodarza muzycznego stanowisko. Mieszczanie uznali w nim ko-

ryfeusza, bo sztuka przyozdobiła wybrańca aureolą powagi. Pod znakiem mistrza ona godziła interes z ideałem, rozszerzając skalę życia, podnosząc poziom żądz i technic w gród malowniczy duszę wymowną, śpiewną. Żadna uroczyść, z rzędu wspieranych przez muzykę, nie mogła by nastąpić ani na uczestnictwie zyskać, gdyby dom pana Stanisława był zamknięty, gdyby gospodarz nie czuwał. Cześć osobliwą, miejscową, składaną przed obrazem cudownym, wszak wysoce podniósł autor „Litani Ostrobramskich“. On urządzał koncerty wielkie i małe, przyjmował artystów przyjezdnych, a ułatwiał występy nie tylko wsławnym, lecz biednym i bez imienia. Kompozytor nie gardził rolą mało wystawną doradcy, zarządcy bądź akompaniatora, byle uczyty nie zepsował przypadek, byle strwożonemu nowicyuszowi sława nie odmówiła uśmiechu. Powściągliwy i skąpy dla siebie, człowiek ten miał zawsze garść darów pełną dla potrzebujących.

Tymczasem nerw dramatyczny, pomimo nacisku ze strony woli czynnej, napierał, zmuszając fantazyę do wydatku na korzyść swoją. Toć intuicyę natrętą zadowolnił Moniuszko wczesnie, już na początku działalności, rozwijanej szeroko. Stąd dwie operetki: „Ideal“ i „Loterya“, znamionujące pierwszy poryw pieśniarza, a może i stan wewnętrzny oblubieńca, który w grze rozstrzygającej wyciągnął los szczęśliwy. W ślad za temi — przychówek nowy: „Karmaniol“. Lecz płodów swych autor niema na pokaz; posłuszny woli twórczej, on je poczyną rzutko i kształtuje pobieżnie, by świadectwa wzrostu, cenne dla podmiotu, złożyć w tece, jako pamiątki osobiste. Tak kolejną pracę i wypoczynku powstały: „Nowy Don Ki-szot“, „Nocleg w Apeninach“, „Żółta Szlafmyca“, „Woda Cudowna“, „Sielanka“. Pamiątek Wilno nie ujrzy, nie usłyszy. Czemuż nie posiada sceny, tej kusicielki, co skromność najbardziej zamkniętą wyciąga z domu? Tem lepiej dla ambicyi. Szkoda tylko, że jej uszanować nie chciała mało rozsądna życzliwość przyjaciół. Jeśli bowiem „Loterya“ wkroczyła na scenę warszawską, a przebojem, to chyba nie kto inny naraził pióro młode na przedwczesny sąd krytyki. Wobec roz-wielmożnienia tej dźwigni należy postępować ostrożnie, z taktem znawstwa, które, uwzględniając potrzebę uświadczeń co do rozwoju literatury i sztuki, potrafi wyróżnić ciekawość prostą, by na pastwę prywaty, samolubstwa i lekkomyślności

nie wydać dzieł wyrobnych, znamionujących początkowanie. Wzrost mocy twórczej, przedstawiony biograficznie i w oświe-
tleniu psychosocjologii, poucza dużo, lecz tylko społeczność
dojrzałą, zdolną zachować powagę sądu naukową, unikać żółci,
strzedz się porównań złośliwych i uśmiechów szyderczych,
a w dziełach sztuki, nie szukając pustej zabawy, rozpozna-
wać ludzkość.

Jakkolwiek nerw dramatyczny drgnął najpierwej, bo już
u chłopięcia, to jednak struna przeważnie liryczna, drżąc,
zdawała się czekać na potrącenie. Wszak zadaniem tej, na-
wiązanej zdawna przez geniusz romantyzmu, opiewać stany
uczuciowe, mnożyć się nawet w imię zderzeń wewnętrznych,
zakreślać postacie i ruchy, lecz nie plastycznie, raczej idealnie.
Pieśń jest wytworem geniuszów słabych, bardziej żeńskich niż
męskich, chwilą wypoczynku dla jednych, zaś formą natchnień
wyłączną dla fantazyi rzutkiej a nie wytrzymałej. Ta, nie-
zdolna obejmować planów rozległych, baczyć na jedność i spój-
ność dzieł wielce złożonych, zamyka się chętnie w granicach
kompozycji małoskalowej, gdzie skończoność formy może być
zachowana, o ile oddech krótki i wezbranie nerwowe przy-
zwolą na całokształt wytworny. Pieśniarz, zwłaszcza nie bo-
haterski, rad śpiewać namiętnie i wyrażać miłość różnolicią,
od zmysłowej i rozkosznej, aż do mistycznej i wzniosłej, ma-
rzycielskiej i wieszczej, rad pieścić się w idylli, roztaczać żale
w elegii i wyładowywać trwogi w balladzie. Któż winien, że
się wyczerpuje prędko i omdlewa łatwo? A jednak to właśnie
wezbranie, o ile szczere, czyste i zwięzłe, stanowi psychiczną
wartość jego spowiedzi. Szkoła je uwzględnia i ceni wysoce,
albowiem liryzm, jako taki, tryskając samorzutnie ze źródeł,
ogarnia olbrzymie obszary przestrzeni i czasu, mieni się barwy
licznymi, stanowi potrzebę żywotną i osłodę ludów, więc też
zasługuje na uwagę mistrzów, skoro mocen jest rozlewem tre-
ści rozmaitej a świeżej odżywiać i wzbogacać państwo ideału.
Jak Moniuszko podniósł, odrodził i wykształcił formę pieśnianą
w Polsce, co usunął, a co dał, o tem słówko czytelnik znaj-
dzie w Części ostatniej. Tu, pomijając na chwilę znakomitą
względem muzy ojczystej zasługę reformatora, zauważmy, że
pieśń wielce się przyczyniła do rozbudzenia w Wilnie ruchu
zamierzonego. Jej całostki cenne ustanowiły skarbiec muzyki
domowej, o tyle sympatycznej i pobudliwej, o ile wyrazistej

i obejmującej psychologię znamion narodowych, aż do wszech
różnic i odcieni. Liczba też klejnotów wzrastała szybko i obfi-
cie, bo w pracowni mistrza czuwał duch prawdy, bo tu nie
brakło nigdy pomysłów co do oprawy, ani natchnień co do
wartości idealnej.

Pieśniarz-kompozytor, pozbawiony głosu, przyzywa wy-
konawcę. Tak sobie radzili pieśniarze rycerscy, tak improwi-
zacye Schubert'a, nim popłynęły korytem szerokim, głoszone
były przez towarzysza wycieczek, śpiewaka z zawodu, a de-
mokratycznie, wśród biesiadnych grup z miasta i wobec mło-
dzieży rozochoconej. To też i Moniuszce fantazyja odmówiła
by wzlotu, gdyby jej wciąż nie budził wirtuoz dzielny, jako
towarzysz od serca, który umiał pieśń każdą czarem głosu
odtworzyć i piękność następnej uświadomieniem poprzedniej
wywołać. Wykonawcą polskiej, zawsze najpierwszym, jako naj-
bliższej wtajemniczonym, był Józef Bonoldi, włoch, brat zna-
nego w Paryżu kompozytora Franciszka, człowiek wykształ-
cony, poeta i muzyk wyborowy, zaś przeważnie barytonista
pierwszorzędny, wyćwiczony w szkole deklamacyi i nie skory
holdować italianizmowi. Skąd mu wypadło ożenić się z polką,
zamieszkać w Wilnie i spolszczyć naturę swą szczerze, bez
żalu, a niemal do gruntu, nie wiemy. Śpiewakowi-poecie po-
trzebny był kompozytor-poeta; temu zaś niezmiernie dogodził
artysta, który skończoną poprawność śpiewu zastosuje do wy-
magań twórczości oryginalnej i, nie wykraczając przeciw me-
todzie własnej, potrafi pieśń polską wyłożyć nie tylko umie-
jętnie, lecz i znamienne. Stąd spotkanie; stąd też wspólka
czynna, estetycznie zbratana i wielce płodna.

Jakkolwiek sprawa rozpowszechnienia utworów szła opor-
nie, ile że pieśniarz miał do zwalczania moc uprzedzeń i na-
wyków, to jednak pojaw liry nowej a sympatycznej był, jako
fakt doniosły, stwierdzony z zapalem przez kółko znawców.
Jakaż to nuta miała dotychczas oficjalną w Wilnie powagę?
Żadna, jeśli nie włoska, francuska, rzadziej niemiecka, wszy-
stkie starej daty, ubogie, to sielankowe, to lubieżne, to sen-
timentalne, gdzie nędzną melodyę wspierała harmonia pierwo-
cinna, gdzie forma zbyt prosta zdradzała naiwność fantazyi,
brak polotu i treści głębszej. O Stefanim, Elsnerze i Kurpiń-
skim mało kto słyszał na Litwie. Skądże więc szal, spowodo-
wany „Dumą o hetmanie Kosińskim?“ Dziwaczną pieśń Ko-

złowskiego odznaczał układ swawolny, rzekłbyś igraszka warchoła, który chciał dowieść, że do każdej strofy, z liczby podanych przez Bohdana Zaleskiego, potrafi dobrać motyw odrębny, niepodobny do innych i bez związku z całością; że umie naśladować tętent konia, jęk dzwonu i huk wystrzałów. Więc czemu dziwoląg ten, pomimo trywialną i niesmaczną robotę, mógł zająć publiczność? Oto pomysłem oryginalnym i humorem kompozytora, tudzież plastyczną typą swojskiego charakterystyką. Słuchaczy zdumiewał zwłaszcza opisowy ostatniej strofy akompaniament. Podziw tedy miał wartość wskazówki, uprzedzającej wydanie utworów inaczej znamiennych, „Chochlika“, „Łez“, a wręcz inaczej „Świtezianki“. Stanisław każe uwielbić Adama w muzyce!... To już nie fraszka; to ślubny dwu mistrzów podarunek, zapowiedź arcydzieł, mających uświetnić okres rozkwitu poetyckiego. Wprawdzie czoło kompozytora zasłaniały cienie złowrogie, z trzech stron wydłużone jednocześnie, jak gdyby chciały oznajmić ogółowi, że trójosobnik pospolity — organista, nauczyciel i kapelmajster, nie ma prawa do wieńców poety. Tak sądziło wsteczniectwo zakorzenione, tak nadto mniemał światek nieuków rozśpiewanych, zrażonych trudnościami techniki i nie znajdujących w „Dzienniku muzycznym“ chociażby wzmianki o Moniuszce. Dziennik, wydawany przez Weissą i Lewkowiczą, zamieszczał tańce i przedruki nuty śpiewnej, łatwej, przeważnie obcej. Czemuż panu organiście odmówił protekcyi? Znać na nią grąjek nie zasłużył. Ten wszelako, otoczony gronem zwolenników gorących, acz niezbyt licznych, gwiazdce swej ufał i otuchy nie tracił. Bogacza namaszczonego wiódł przed ołtarz głos przecucia silny, wieszczący, że, byle syn w obranym wytrwał kierunku, ojczyzna nie omieszka błogosławić mu i w pięknotwórcy powitać przedstawiciela prawdy. Głos nie mylił. Świadczą o tem cztery „Śpiewniki“, wydane drogą prenumeraty, a świadczą nie tylko o bohaterze woli i bogaczu, ale o zwycięzcy wobec coraz gromadniej i posłuszniej zrzeszonych wyznawców.

Waleczny atoli poeta nie mógł lekceważyć strony finansowej: na współzawodnictwo muzy z naturą Stanisław patrzył wzrokiem dobrego ojca i męża. Widok ów trwożył go bardzo. Gdy bowiem małżeństwu przybywał co rok dzieciaczek miły, a główki ładne, coraz mnożniej liczone, wołały usilnie,

jedne o naukę, inne o kolebkę, zaś wszystkie o chleb i przyodziewek, czemuż sztuka zdawała się być głuchą, czemu mistrzowi dawała pociechę idealną, bezpienną, jak gdyby chciała charakter pięknotwórcy wystawić na ciągłe doświadczenia? Lekcey płaciły mało; na wydawnictwie kompozytor mógłby tylko tracić. Śpiewniki nie mu nie przyniosły, oprócz kłopotu i zawodu ze strony materyjalnej. Co począć? Chyba ukrócić miłość własną i podążyć w świat trybem handlarzy wędrownych. W Warszawie, w Peterbugu — ludno jest przecież, zamożnie i ucieszenie. Może się co spodoba, może zysk wypadnie odczytać w przekazie na przyszłość. Myśl o tem ranila serce patryoty szczere i zacne, gotowe do poświęceń, lecz nie obojętne wobec smutnych objawów cywilizacyi. Wszak gdzieindziej autonomia mistrzów uznana została, pomimo nadużyć, za warunek konieczny, za prawo przodowników czciogodnych. We Włoszech, we Francyi, w Niemczech, zamiast biegać i prosić, zalecać swą umiejętność i dobijać się o posłuch, oni przyjmują ukłony i zaproszenia, zwłaszcza od czasu wyzwolin z pod opieki mecenasów, używają swobody i gromadzą mienie obfite, tak od uczestników jak od wydawców. Sąsiedzi bliscy, nieubodzy duchem, ani co do pomników, czemuż dziś stoimy nisko pod względem samowiedzy estetycznej? Na to pytanie Stanisław odpowiedzi nie znalazł, spakował chudobę i puścił się w drogę. Uczucie przemówiło za Warszawą. Ileż wspomnień ciągnęło je nad Wisłę! Tam Staś uczył się spostrzegać piękno i cenić wartość życia, poznawał typy, uzbierał dużo kojarznię sympatycznych i na swej tabliczce jał pierwsze z mocnych i trwałych kreślić znaki wezbrania. Ale znaki, jeśli były czytelne, to tylko dla podmiotu. Poetę Warszawa przyjęła obojętnie, wręcz niegościnnie, jak gdyby się drożyła wobec samozwańca z prowincyi, który zuchwale po wawrzyn stołeczny przybywa. Było to w roku 1847. Publiczność znała już „Loteryę“, graną cztery razy i usuniętą z powodu niepowodzenia. Autor miał ze sobą kilka innych oper, tusząc, że mu się uda przygotować wstęp dla „Halki“, tej dwuaktowej, którą znać uważał za niewykonalną, skoro zbiór pereł cennych wyszlifował później, pomnożył i oparł inaczej, wspaniale. Teatr nie nie zażądał, zachęty odmówił i nawet swej buty nadzieją układów nie złagodził. Dyrektorem był wówczas Tomasz Nidecki, następca

Kurpińskiego i, jak ten, zwolennik obczyzny, nie skłonny do protegowania talentów oryginalnych. Moniuszko też, rozżalony, lecz nie ugięty, pożegnał Warszawę, by wrócić do siebie, napisać „Mildę“, „Bajkę“ i kilka pieśni, a potem zabrać te płody i w towarzystwie Bonoldiego wyruszyć do Petersburga.

W stolicy Cesarstwa ruch muzyczny był już dość pokąźnie rozwinięty. Do bogatej i lśniącej przepychem zewnętrznym, więc gotowej spożywać dużo a płacić sownie, jęły ciągnąć zdawna coraz bardziej zwarte i rozmaite szeregi światowców, dostawców i przedstawicieli cywilizacji zachodniej. Ich osoby luzowały się często, lecz wpływ pozostawał, obejmując coraz szerzej zakreślaną warstwę arystokracji rodowej, pieniężnej i umysłowej. Stąd zróżnicowanie: charakterystyka rdzenna u spodu, barwa kosmopolityczna u wyżyn. Życie towarzyskie postępowało strojnie pod komendą naśladownictwa, tem strojniej, że pomiędzy czynnikami udział nie mały przypadał zawsze na muzykę. Znamstwo i lubownictwo, co do tej sztuki, rosły widocznie, a że klasycznie, to dzięki instytucjom publicznym, oraz mistrzom i kierownikom słynnym, których nad Nową sprowadzał wielce ożywiony ruch powierzechni. Ci przewodniczyli trybem akademickim, ucząc cenić piękno w stylu wielkim i w arcydziełach powszechnie uznanych. Wiemy, że Glinka, kompozytor znakomity i patriota, posłuszny realizmowi estetycznemu i prądom narodowościowym na Zachodzie, postanowił muzę rosyjską usamodzielnąć. Panowie wszelako powitali w nim odstępce, więc przedstawiciela charakterystyki pospolitej, brzydkiej. Na uznanie trzeba było czekać, dopóki sąd nie zmięknie, co też i nastąpiło pod wpływem krytycznej oceny ze strony Berlioza. W muzyce rzekomo „furmańskiej“ romantyk francuski odkrył pierwiastki macierzyste, opracowane umiejętnie i ujęte w karby techniki przepysznej. Mistrz w dziedzinie kolorytów, jakkolwiek również nowator, mógł przecież wydać sąd apodyktyczny. Odtąd też, że i podniet dziejowych nie brakowało, kierunek Glinki pozostał, tworząc stronnictwo coraz możniej głosujące. Lecz kierunek przeciwny, arystokratyczny, nie zwinął przeto swej pałacowej chorągwi; owszem, wystąpił do walki, a pod przewodnictwem bojownika tej miary co Rubinstein. Działacz nieustrudzony, wyznawca kosmopolityzmu i stylów wielkich w muzyce, pracował przez całe życie, usiłując w Państwie rosyj-

skiem umocnić cześć historyczną dla sztuki. Romantyk, ba, nawet skrajny w swych utworach, wielbiciel Chopin'a i Schumann'a, romantyzmowi nie ufał, ponieważ widzieć nie chciał, że po za granicą bezrządu i szalu powstawała piękność nowa, świeża, bogata i pełna prawdy psychicznej, organiczna i wieszczą, a nie mniej niż tamta zdolna zadość czynić wymaganiom porządku — piękność narodów. Bądź co bądź, głucha walka stronnictw nie szkodziła uprawie, skoro Petersburg zasłynął, jako środowisko wszechstronnie umuzykalnione, gdzie o przyjęcie gościnne napróżnoby kołatał artysta mierny lub nieznany.

Moniuszce ta wybredna gościnność obcą nie była. Wiedział on, że w wielkiem mieście protekcja — to wszechwładna pani, której pomijać nie należy. Czyż się jej pokłoni, czy ma do niej pismo polecające? W tłumoczku — nuty i odzież chudopacholska; może nawet patentu nie było, choć i to talizman nie do pogardzenia. Niech się dzieje co chce — artysta polski dźwignie ciężar własnem ramieniem, bez pomocy, zdobywanej pokorą, bez łaski, bez przeczenia sobie. Koncert ogłoszono. Afisz zamieścił utwory koncertanta na wielką orkiestrę, chór i drobniejsze do śpiewu. W przeddzień atoli wypadało odbyć próbę. Rozumieć się ma, że nowiniarzy ciekawych w sali nie zbrakło. Więc słuchają, jak słuchać zwykli śmiałków, zasługujących na chłostę, z uśmiechem szyderstwa i politowania. Tak rozpoczęli. Aliści twarze ich ogarnia zwolna wyraz inny, może zdziwienia; bo oto „Milda“ już ku końcowi bieży, a przecież dotąd, zamiast nastroczyć okazyę do przycinków i uwag złośliwych, roztaczała wciąż majestat kantaty wielkiej, kompozycji natchnionej i wysoce wytwornej. Tu Litwa przemówiła muzyką poezji mytycznej, spotęgowaną podług wymagań attycyzmu odrodzonego. Zaledwie tedy ostatnie dźwięki tej muzyki zwiastowały koniec, gdy w orkiestrze dał się słyszeć przeciągły i silny grzmot smyczków, jakim poczet artystów - wykonawców rad wita mistrzów i daje wstępującym do świątyni pierwszy, sympatyczny znak tryumfu. Moniuszko, już pełen otuchy, wystąpił naza jutrz wobec publiczności tłumnej i bardzo przychylnie usposobionej. Zarzucony wieńcami i prześlicznymi wiązkami kwiatów, przyjmował on dary tem milej, że w nich mógł cenić objaw czci szczerzej, nie zaś parady. Uczętę rozpoczynał

poemat symfoniczny p. t. „Bajka“, ów oryginalny i barwny, którego ramy zdają się mieścić osobę wieszczą polskiego, zaś dźwięki opowiadać symbolicznie treść dziejową, w pamięci wyrytą i w sercach utajoną. Zagadki rozwiązać nie próbowano; nie mniej przeto, jeśli „Milda“ pozyskała uznanie krytyki najpochlebniejsze, to całość programu, nie wyłączając „Kozaka“, uniosła świat znawców i lubowników po nad zwykły poziom uczestnictwa. I słusznie. Bo jakież tej całości układ mądry i wymowny, jak ona sama była już logicznie złożonym poematem! Chciejmy to dobrze rozważyć. Żądano powtórzenia. Drugi koncert mógł pierwszemu zarzucić miarę świetności nie dość okazałą. To też odwiedziny, grzeczności i dowody szacunku nie ustawały, a wszystko od możnowładztwa i dostojników, pomimo skromną kryjówkę artysty. Glinka i Dargomyżski witali w nim brata. Było to w roku 1849. Rubinstein, nie rozpoczynając dotąd reakcyi, zaledwie zamierzył wolność twórczą kielznać. Czemuż nie zauważył w porę, że geniusz posuwa sztukę naprzód i zmusza obozy zachowawcze do ustępstw wobec zadań nowych? Wszak kompozytorowi polskiemu dał on sławę nie za bezrząd i swawolę, lecz za doskonałą równowagę, za piękność formy, której nie zwicznęły pomysły oryginalne ani polot w duchu poezyi narodowej.

Syt chwały, Moniuszko jednak, wracając do Wilna, bynajmniej z workiem kłopotu nie miał. Sprzęt lekki i dziurawy, jak było dotąd, jak miało być zawsze, świadczył o pełni moralnej właściciela, który własną krwawicą opędził teraz wydatki występu i podróży, a miał serce litościwe, dłoń hojną i rachmistrza w sobie nie ścierpiałby nigdy. — Myśli czyste, drogie, wy, moje bogactwa jedyne, lećcie swobodnie a bez ustanku tam, ku wyżynom, gdzie żyje ludzkość wyzwolona, gdzie nie skrzypi kołowrot chuci brudnych! — Tak sobie podczas podróży dumając zapewne, pan Stanisław, zamiast liczyć złoto, pieścił swą „Halkę“. Jej postać nie odpowiadała nastrojowi chwili; jej dzieje zasługiwały na całokształt dramatu lirycznego, na spotęgowanie w dynamice gry i wyrazu, na stawiennictwo w stylu wielkim; zaś co do intrygi samej, ta powinna mieć wartość społeczną, głęboko odczuta, znamionną i dobroczynną. Co tedy postanowił mistrz uwieczniony, to spełnił bez zwłoki obywatel prawomyślny. Dramat

czterooaktowy, wykończony starannie, z osobliwym nakładem miłości, powędrował do Warszawy, by przez lat dziesięć znośić kurz biblioteki teatralnej i czekać na słuchaczy.

Sprawy wydawnictwa natomiast jeły iść lepiej. Krytyka wielkomięjska otrąbiła pobudkę; mieliżby nakładcy zachować się biernie? Najpierwej wystąpił miejscowy, zacny Zawadzki; za nim w Warszawie poszedł Friedlein. Jak na początek, to już wróżyło dobrze, przynajmniej co do rozgłosu. Moniuszko bowiem utworów swoich spieniężać nie umiał, a ścieżki, wydeptywane stopami handlarzy, nie zawsze biedz mogą po linii prostej, zwłaszcza gdy chodzi o sztukę, panię kapryśną w stosunku do ekonomii. Ceniąc swe dzieła poważnie w domu, lecz na wagę igraszek wobec interesu, żartując z przyjaciół zaniepokojonych, mistrz przemawiał jak stoik, przekonany, że głodu nie dopuści mocą twórczą i dobrobyt rodziny swej zabezpieczyć potrafi majątkiem idealnym. Śpiewał łatwo i obficie; wykończał również bez trudu. Stąd waga igraszek; stąd spokój co do zarobku.

W roku 1851 pieśniarz i śpiewak koncertowali z powodzeniem w Druskienikach. Brac litewska umiała już odczuwać piękno muzyki i dziękować gospodarzowi za odkrycie skarbow. On też, nie poprzestając na działalności dotychczasowej, wziął objawy sympatyj za wskazówkę ze strony mocodawców, którym brak instytucji nie pozwalał używać samodzielnie, trybem bogaczy wykształconych. W roku 1854 Moniuszko otwiera Towarzystwo Muzyczne pod wezwaniem św. Cecylii, staje na czele rzeszy, już nie przygodnej, lecz stałej i rozpoczyna w Wilnie pracę najbardziej owocną i wpływową, tę żywą, pobudliwą, poprawczą, jakiej wymaga higiena społeczna, o jaką woła świadomość i żądza harmonii. Ale świadomość nie ręczy za wolę. Można pojmować, chcieć nawet dużo, a nie módz, gdy trzeba wytrwać w spójni przewidzianej, ziścić mianowicie harmonię rzeczywistą, uwarunkowaną konieczniami ze strony osób ofiarami. Pomyślny Towarzystwa Muzycznego rozwój polega na uprawie sztuki, jako umiejętności poważnej, zdolnej uczestników uszlachetniać. Bawidłem ona nie jest i dlatego odmawia zniżenia na wezwanie lekkoduchów, prześladowanych fatalnie przez widmo rozterki. To też od kierownika zależy wybór: ustąpić naturze i wraz z otoczeniem wpaść haniebnie w zasadzkę, albo przeciwnie,

opanować żywioł i w sprawie zjednoczenia dawać głos jaźni rozumnej, miłującej zgodę dla celów ludzkich. Że przedstawiciel harmonii polskiej przystępował do dzieła z namaszczeniem mistrza i z dobrą wolą patrioty, o tem świadczyć miało Wilno osierocone, wdzięczne za dary i pomne uczt w stylu wzniosłym. Miejsce zebrań, acz nie jedynem, była kaplica św. Cecylii w kościele Świętojańskim, fundowana przez dyrektora, który, przyzywając na pomoc patronkę muzyków, rozstrzygnął najpraktyczniej sprawę kierownictwa. Pomysł Oratorianów włoskich nie zaginał. Zastosowywany rozlicznie, on zawsze i wszędzie umoralniającą powagę muzyki łączył z powagą przybytku. Do wymienionej też epoki zebrań wileńskich odnieść należy poczet natchnień, znamionujących stany wewnętrzne pieśniarza i dramaturga przed wyobrażeniem poetki zachwyconej.

Pracę żywotną Moniuszko z żalem przerwać musiał, gdyż zasłużonego ziomkom wzywali coraz natrętniej posłowie z Warszawy. Jakżeby opuszczał siedzibę długoletnią? Że nie z lekkim sercem — wiemy. Uroczę położenie Wilna pan Stanisław cenił. — „I nie być że tu litwinem!“ — zawołał raz, podziwiając podczas przechadzki wspaniały krajobraz. Łzy przeszkodziły poecie mówić; lecz towarzysz zrozumiał treść wykrzyknika i nie próbował koić duszy, która w chwilach smutku szuka ulgi przez zwrot myśli i uczuć ku krainie piękna, a znajduje tem większą pociechę, gdy krainę wyróżnić ma prawo zaimkiem macierzy.

VII.

Blask, jakim zajaśniała gwiazda poety na Północy, zaczął sięgać do Warszawy. Nie dziw, że dyrekcya teatru, zestawiając wypadki, przypomniła sobie partyce „Halki“ i postanowiła wyczuć, ażali dzieło dramaturga, snem przez lat dziesięć złożone, nie umarło, ażali opera usprawiedliwi coraz wymowniej brzmiące pochwały o kompozytorze. Próby wypadły na korzyść uwiecznionej. Więc ją zwolnić, zawołano, wystroić i wystawić wspaniale, a w dzień Nowego Roku, z oznaczeniem, podług zwyczaju. Niech ów pierwszy 1858 będzie pamiętnym dla teatru, który wobec zarzutu co do opieszałości

pokaże datę uroczystą, na karcie historyi zapisaną. Sprawiedliwości stało się zadość. Dzień „Halki“ upamiętnionym został, a nie tylko w kronice teatralnej, nie tylko w sercu Warszawy, skoro jej postać żyje w łonie narodu i, nie starzejąc, wciąż młoda, wciąż pełna mocy, gromadzi wokoło siebie zastępy pokoleń, by wszystkie obdarzyć klejnotami niezwykłej ceny, zadowoleniem estetycznem i społecznem. Tak — wartości arcydzieła, biorąc je ze stanowiska socjologii, nie przesądzam bynajmniej. Za dowód niech posłuży powitanie pierwsze, serdeczne, gorące, zgoła takie, jakiem naród odpowiada na słowa wieszcze, przenikające w głąb duszy, a dobroczynne i sympatyczne, o ile tchnące moralnym wyrazem piękna, dobra i prawdy. To właśnie powitanie, powtarzane długo, a potem przerwy, spoczynki i wezbrania perypodyczne, świadczą na korzyść poety, albowiem prowadzą do wniosku, że dzieło jego posiada moc niespożyta, dar nieśmiertelnych górowania nad świadomością uczestników. Znamyż „Halke“, jak sprzęt zużyty? Dość że nam jej? By się nią nacieszyć, pójdziesz raz setny, a nie pożałujesz, albowiem nową poweźmiesz syntezę gry, pominięte spostrzeżesz piękności, lekceważoną przejmiesz logikę związków, słabe uczestnictwo wzmocnisz nateżeniem uwagi świeżej i poglądem bardziej złożonym, bardziej doświadczonej. A gra artystów, za każdą zmianą obsady, czyż nie wydobędzie z „Halki“ odcieni i nacisków nieznanych, więzi i żywotności inaczej pojętych? Gdy wobec bezspornej wartości dzieła odczuwasz znużenie lub prześyt, strzeż się obwiniać przedmiot i złorzeczyć pomnikowi; nie on się bowiem wyczerpał, raczej twój organizm wątły, twój umysł ubogi, ciasny i w rzeczach sztuki wręcz ciemny. Ni poeta, ni biegły technicznie, ni mędrzec, ni artysta w życiu, masz że prawo wymagać, używać w imię pełni pożądanej? Przypuśćmy, że czytasz trylogię Sofoklesa. Nie wzrusza cię ona, zachwiewa w sądzie, wywołuje pytania bez odpowiedzi i ciekawość leniwą odprawia milezieniem grobowem. O jej wartości, jeśli nia powtarzasz zdań cudzych, wątpisz. Czy dlatego, że tragedia martwym jest pomnikiem, zużytym i wstecznym wobec dążeń cywilizacyi nowoczesnej? Nie. Tyś się przeżył i cierpisz rozdwojenie; zapomniałeś jak wygląda człowiek zupełny i bohater woli, skruszyłeś cel swój w kawałki i pocichu wyznajesz zasadę egoizmu, a w dziedzinie

ideału szukasz sam nie wiesz czego, raz tajemnie wymarzonych, raz piękności oderwanej, to ułamków zmysłowych, najczęściej zabawy i zadowolnień samolubnych. Właśnie dlatego nie rozumiesz prawdy wielkiej, całkowitej, wszechludzkiej, którą na podziw świata przyoblekł w kształty geniusz syntetycznie myślącej Hellady.

Kiedy „Halka“ jęła do głębi wzruszać duszę narodu, co jej wypadło zastąpić, zwalczyć, wymieść? Nuta swojska znana tu już była; lecz jako dźwięk niemowlęcia bezkształtny, pierwocinny i ustawicznie urywany. Tę noworodka biedę tłumiły melodye włoskie, dość rozpanoszone, ażeby polskie, zamiast rozwijać się swobodnie, cierpiały ucisk. Elsner i Kurpiński biorą treść z życia narodowego; w kształtowaniu jej wszakże zatracają znamiona i nie wstydzą się naśladownictwa. Naszem wychowaniem muzycznym kierowała przeważnie szkoła italska, ta uprzejma, która wysadza wirtuoza z ujmą dla kompozytora, lekceważy poezję, ośnowę, grę i dramatyczną jedność sceny, a jeśli pozwala wzruszać, to tylko mechanicznie. Kierunek taki, dogadzając lenistwu umysłowemu, trafiał do przekonania arystokracji, oddanej zabawie, opętanej przez cudzoziemczyznę, więc obojętnej i głuchej, ilekroć sztuka wymaga nakładu, a dobro wspólne wzywa pod sztandar wyrobny, braterski. Publiczność w operze nawykła cenić przeprawnych wystawy, popis śpiewaków, blaski, wdzięki i stroje własne. Tak było ongi. Jakże jest teraz, gdy historia muzyki prawi nam grzeczność i, wymawiając ze czcią imię mistrza, twórcy okresu, zdaje się nie widzieć grzechów dawnych? Ona ma słuszość kroniki małomówniej. Moniuszko istotnie twórcą jest okresu, lecz zmuszonym działać wśród popłochu, powodzi i złych a uporeczywych nawyków, przeto za słabym w przodowaniu i za mało władnym wobec ogółu, który w stosunku do sztuki uwłaszczonej opierać się potrzebuje na współzawodnictwie mistrzów. Stąd wyczekiwanie i objawy znużenia, sądy zawieszone i uczestnictwo chwiejne. Powitaniem serdecznem i gorącym naród dowiódł, że mowa wieszczów nie jest dlań obojętną. Powitanie atoli miało cechę intuicji, nie zaś świadomości. W psychologii władz obie czynią jakoby na krańcach linii długiej, o tyle przecież niewymiernej, o ile świadomość sama, od przeblysku do samowiedzy ustalonej, mniej lub więcej zupełnej, przedstawia liczbę stopni

tudzież odmian, której za wykazalną uważać nie można. Wobec mocy twórczej jakież mędrzec zamknie księgę żywota, odtrąci pomniki i pomyśli: wiem wszystko, badać skończyłem? Pomniki prawdy, genialnie poczęte i powszechnie uznane, żyją, a symfonia życia, jakkolwiek przez nas obramowywana, w żadnej chwili skończoną być nie może.

Zarząd Teatrów Warszawskich, ujęty powodzeniem „Halki“ i posłuszny wskazówce dziejowej, przedstawił kompozytorowi myśl przymierza. Niech on zamieszka w stolicy, niech obejmie nawet dyrekcyę opery. Mistrz, jeśli ma być twórcą okresu, powinien działalność swą rozwijać w środowisku samem, a nie tylko z po za sceny, lecz jako kierownik czynny i wielostronny, zainteresowany i odpowiedzialny. Że powołanie takie, pozornie słuszne i logicznie wyrozumowane, zamiast wyjść na korzyść okresu, wpłynęło nań ujemnie, o tem przekonało doświadczenie. Kierownikiem dzielnym Moniuszko być nie umiał, bo dwu uzdolnień sprzecznych pogodzić w sobie nie mógł. Rytmiczny ruch ręki trzyma w odwodzie energię nateżeń umysłowych. Nie dość tego. Jaż twórcza, kładąc za warunek spotęgowania władzy ciszę okólną oraz ustanie wrażeń żywych, wzywa mechanizm ciała do ustępstw na rzecz pracy dynamicznej, zawiesza posyłki i rozkazy czynne, zamyka swą pracownię i nie cierpi wołań natrętnych ze strony żywostanu. Beethoven nie jadał, nie spał podczas gorączki twórczej. Gdy tedy kompozytor nawyka do działalności wewnętrznej, intuicyjnej i syntetycznej, to wykonawca do rozbiorowej i reprodukcyjnej, do zewnętrznej i uplastyczniającej. Jakkolwiek jedność i całokształt utworu stanowią dla obu ostoję artystyczną, przecież nie w jednakiej mierze. Zadaniem wykonawcy — odtwarzać pięknie, nawet indywidualnie, ale tylko odtwarzać, miarkując indywidualizm hamulcem posłuszeństwa, co nie krępuje swobody mechanicznej, ani uwagi w stosunku do szczegółów, ani woli w zakresie zleceń obmyślanych. Kompozytor przeciwnie, pan samowładny, lecz nie na zewnątrz, przyzwyczajony grać idealnie, raczej na nerwach własnych niż na instrumencie, a zawsze wierny posłannictwu wynalazcy i dbały o nastrój oryginalny, nie zdoła fantazyi ukrócić ani samokrytyce nakazać milczenia. Moc twórcza drga w nim i rozlewa ustawicznie, pobudzając do skojarzeń nowych, lepszych bądź inaczej pomysłanych niż

te, jakie on w danej chwili, występując czynnie, do wykonania przekazuje. A jeśli on zajęty jest snowaniem pracy odmiennej, rozpoczętej w domu, kto mu przy pulpicie zdmuchnie ciężar z mózgu? Zresztą obowiązek niemal codzienny, ścisły a ciężki, nie uwzględnia wypoczynków psychicznych. Stąd dyrekcyja bezwładna i popłoch nieunikniony. Schumann niedołęztwem psychopaty rozluźnił orkiestrę Düsseldorfską. Mendelssohn śmiercią przedwczesną opłacił niezmierne wysiłki pieśniarza natchnionego i kapelmistrza. Moniuszko, acz wprawny, wciąż atoli kierownik słaby, o ile łagodny, miłujący spokój i do ustępstw skłonny, tworzył za mało w stosunku do niewyczerpanych zasobów swej muzy. Że jednak wezwania przyjął i stanowiska nie opuścił, należy w tem uszanować obywatelską cnotę działacza, który zwyczajów zagranicznych za przykład nie brał i biedę, co do podziału pracy, usiłował zażegnać ofiarą niezależności własnej.

Dyrektorowie scen radzi są odbywać zwiady zagraniczne. Nowomianowanym zwłaszcza wypada poznać wszechstronnie umiejętność trudną, ocenić metody rozliczne i wypracować najstosowniejszą, nadto zawiązać stosunki, wstąpić w świat artystyczny i zjednać dla swych ognisk szacunek należny. Taki właśnie był cel przedsięwziętej przez pana Stanisława wyprawy do Paryża. Wszak miał połączyć godność kierownika z kompozytorską. Pozbawiony wtajemniczenia i świadectw poważnych, nie chciał on rozpoczynać pracy bez planu i na dowód zaufania odpowiedzieć wykazem samochwalstwa. Pojechał tedy, mocny zasiłkiem pieniężnym z koncertu, oraz protekcyą swej wielbicielki Maryi Kalergis. Lecz jakimże on powrócić mógł z Nowego Babilonu? Co stamtąd przywiózł? Z listów i zapisek wiemy, że twórca „Halki” pozyskał przyjaźń bądź uznanie takich gospodarzy, jak Liszt, Meyerbeer i Rossini; że śledził poruszenia Opery Wielkiej i scen mniejszych; że nie żałował trudu ani nakładu, jako poseł sumienny i zręczny. Z pobieżnych atoli wzmianek wnosimy, że gościa nie zachwycaly osoby ani ich grzeczności formalne; że majestat mistrzów nie olśniewał natury prostej i zdrowej, którą też sztuka wielkoświatowa razila hałasem i przyborem raczej jaskrawym niż estetycznym. Co było do pokazania wielbicielom geniuszu — chowano, bo Cesarstwo lubiło obłudę w stylu wielkim i próżnię błyskotliwą. Nie

dziw, że badacz, poszukujący piękności rzetelnej, spotykał wysnurowaną; nie dziw, że rad był zamykać się w sobie, nawet na oczy mieszkania spuszczać zasłony, jak gdyby chciał bodaj przez chwilę żyć złudzeniem domu. Wtedy to mógł wyobraźnię ugłaskać, serce uspokoić i przez szkło tęsknoty zobaczyć osoby drogie, usłyszeć szum Wisły i Niemna, powitać lud i mowę ojczystą, a więc i zaśpiewać po swojemu. Zamiast czezych dymów dyrektora, Moniuszko przywiózł scenie warszawskiej podarunek cenny — „Flisa”.

W szczupłym kole wydarzeń rok 1858 zaznaczonym został nie tylko z powodu wystawienia „Halki”. Wycieczka jej twórcy do Paryża, powrót, pożegnanie Wilna, przyjazd rodziny całej na mieszkanie do Warszawy i objęcie przez Stanisława posady zaszczytnej, a nadto wystawienie „Flisa”, opery jednoaktowej do słów Bogusławskiego — oto garść faktów, niby drobnych, a jednak połączonych z odnową rzeczy niepośledniej w treści i formie. Moniuszkowie rozpoczynają byt inaczej uwarunkowany; sztuka polska odrzuca sukienkę kopciuszka i wstępuje w świat, jako dziewczę strojne, hoże i pełne wdzięku. Wypadki współrzędne jakże się rozwiną i ustalą, czy nie zawiodą nadziei, czy nie utoną pod napływem innych, możniejszych? W pytaniu tem, rzuconem w przyszłość przez jaźń narodu, wszak głównie tkwił los dziewczęcia. Po za niem mistrz sam nie pragnął nic dla siebie. Aż dotąd pracował on wśród warunków, które człowiekowi i artyście pozwalały zachować spokój, równowagę i moc charakteru, podniosłość umysłu i dobrą wiarę. Lecz nie długo, właśnie w lat parę po osiedleniu się w Warszawie, nastąpiły wręcz inne, spowodowane przez konieczność dziejową, zdolne wykoleić jednostki, zniekształcić ludzi pozornie dzielnych i, pogrążając organizm społeczny w otchłań nędzy, płodzić istoty zwyrodniałe. Mistrz-patryota czy ulegnie? Czy sceny tragedii narodowej, rozpoczętej w roku 1861, zakończonej porażką i rozsnutej w dal, jako łańcuch skutków, oddziałają ujemnie na szlachetną duszę Moniuszki, czy bodaj zmieniają kierunek twórczy i oszpeca lirę pieśniarza?

Moniuszko umiłował w Warszawie ciszę domową, życie odosobnione i statek dni mniej lub więcej pogodnych w kółku rodzinnem. Tej ucieczki zbawiennej, oczywiście dla umysłu, który wobec wypadków smutnych, dotyczących ogół, nie chce

przeczyć sobie, poeta nie przerywał nigdy, nie zdradził do końca. Odwiedzać go też zwykła szczupła garstka krewniaków i przyjaciół serdecznych, głównie brać litewska, zawsze mile i sympatycznie witana. Wesołość warszawską ów człowiek-artysta zaledwie mógł znosić zdaleka i sądzić pobłażliwie. Odosobnienie zresztą było dlań potrzebą mocy twórczej, warunkiem poglądów humanitarnych i sprawiedliwości w stosunku do ojczyzny ukochanej. Znał on wartość samotni i dlatego chronił się przed wrzawą kołowrotów, zmuszających do wnioskania z nikłych i zmiennych wypadków codzienności. Wszak mistrz głębokomyślny i równoważny, postawiony w samem roisku zjawisk społecznych, spostrzega tłum różnie drobnych i szczegółów, objawy samolubstwa, zatargi, nieporozumienia i spójnię formalną, podziwia grę opinii, raczej obmowy, którą dyktuje interes błahy, zawiść, prywata i upór, widzi dnie życia ludzkiego i nieprzebraną liczbę tkaczy, lecz nie obejmuje lat, nie spotyka człowieka, nie może oglądać tkani. Gdyby tu pozostał, musiałby stracić swą niezależność i, hołdując płytkowidztwu, wpadłby niechybnie w zgubną zasadzkę naturalizmu. Ale nasz artysta był patriotą lepszym, niż zagraniczni zwolennicy uniesień i „upadku“, niż nawet polscy wrogowie filozofii. Znając swą społeczność ze zmarszczek drobnych i barwy zmiennej, on nie wątpił, że fale powierzchni kryją skarby cenne, stałe, stwierdzone przez historię i widoczne z oddalenia; rzut bowiem górny, szeroki a przenikliwy pozwalał mu widzieć duszę narodu, jej kryształową czystość i walkę z żywiołem, jej pracę wyrobną i ustawiczną, jej dążność szlachetną, utrudnioną przez otoczenie i stopy przyczyn dziejowych. Nie dziw, że podczas ciężkich dni milczenia, wstydu i popłochu, jakie zaciążyły na powierzchni życia narodowego, z zamkniętej pracowni mistrza wyszły arcydzieła wymowne, niby świadectwa i głosy z głębi: „Hrabina“, „Straszny Dwór“ i „Verbum nobile“, „Widma“ i „Sonety Krymskie“.

W utworach wymienionych bratanek Dominika Moniuszki nie odstąpił ani na cal od wytkniętej przez się drogi. Zawsze go zajmuje idea nowa, wyrobną, to jest demokratyczna, poczęta w Europie przez Wielką Rewolucję, lecz z dziwną tu i ówdzie zaciekłością zwalczana przez reakcję, obozy zachowawcze i wsteczne, zaś krzywiona przez socya-

lizm i anarchię. Ponieważ wśród społeczności polskiej żyją tradycje tej idei, jako zaczątki dawne, dość prawowicie odczuwane, ażeby czoło stawiać mogły zachciankom możnowładztwa i rachubom kosmopolityzmu, ponieważ namiętność złowroga, ślepa i krwi żądna, wędrując z Zachodu na Wschód słowiański, słabnie i traci siłę wybuchową, dlatego proces odrodzenia, byle nie trafiał na brak energii, lenistwo umysłowe tudzież opieszałość bądź chwiejność woli, znajduje tu warunki korzystne — wrodzoną łagodność, dobroć i ludzkość charakteru, przywiązanie do ziemi i wspaniałomyślną gotowość do ofiar. Otóż, jak Dominik Moniuszko dał piękny tej ofiarności przykład w dziedzinie czynu, tak Stanisław, wsłuchany zresztą we współczesny rytm literatury i sztuki polskiej, wykazał wartość humanizmu w dziedzinie pieśni. W jego dramatach opisowo-lirycznych napróżno byśmy szukali zderzeń gwałtownych, pocisków śmiertelnych, hańbiącej pogardy. Tu postacie z ludu, sympatycznie wypogodzone, nie służalcze, przemawiają tonem swobody i życzliwości; tu dwór nie gnębi chałupy, owszem, przygarnia ją ku sobie, podnosi i uzacnia dostojenstwem własnym; tu, zamiast zemsty i groźby, słyszysz słowa przebaczenia i wyrazy braterstwa. Wszak to mądrość ludu prosta, intuicyjna a sprawiedliwa skłoniła pieśniarza do muzycznego spotęgowania w „Widmach“ scen, nakreślonych przez genialnego poetę słowianofila. Chcielibyśmy twórcę „Halki“, „Flisa“, „Hrabiny“, „Straszego Dworu“ i „Verbum nobile“ mało cenić z powodu, że on nas nie porywa, nie olśniewa, nie poraża, jak twórca „Nieszporów Sycylijskich“, „Makbeta“, „Rigoletta“, „Balu maskowego“, „Aidy“, „Otella“ i wielu scen podobnie złowieszczych? Toć Verdi przedstawicielem jest południowców namiętnych i mściwych. Jego chudo-pacholstwo, jeśli góruje w zatargu z feudalizmem, to nienawiścią, podstępem i skrytobójstwem; jego psychologia wstrętną jest, hałaśliwą, grubo niemoralną i bezwstydną. Stokroć miłszą nam być powinna gra spokojna, intryga łatwa i więź harmonijna, rozwiązywana potęgą miłości, niż rzuty straszliwe i zbrodnie, wrzawa, rozdźwięki szału i upadek godności ludzkiej. Objawami zwyrodniałości oszukiwać siebie nie pozwólmy. Stokroć też wyżej stawiać nam wypada poezję muzyki wzniosłą, wciąż śpiewną i niewyczerpaną w pomysłach, niż ubóstwo

natchnień i mistrzowanie za pośrednictwem efektów teatralnych, rozwiązyli a mechanicznie silnych.

Nastroj pesymistyczny, na chwilę wywołany przez grozę wypadków, zdradził w „Parii” pieśniarza, który zapragnął raz dźwięki swej liry wynaturzyć, pogwałcić. Do pogodnej wdrożonej wieszczby, dźwięki te odmówiły posługi, gdy im nerw błędny kazał udawać rozpacz i trwogę, wyrażać ogrom niedoli, opiewać duszę rozdartą i szaleć trybem rozpusty wschodniej. Stąd rażące muzyki z tekstem rozdwojenie. Polski Idamor nie rozczuła słuchaczy, bo nawet kłamać nie umie. A szkoda. Utwór piękny, skończony w formie, razi klótnią, wszczętą pomiędzy uczuciem głębokim i szczerem a zadaniem obcym, o tyle niesympatycznym, o ile przez zbłąkaną narzuconem fantazyę. Iż rzecznik Idamora, zawsze trzeźwy, cierpiał i słabował nieraz w Warszawie, o tem świadczą, oprócz „Parii”, utwory małej wartości lub niedokończone, jak „Jawnuta”, „Rokiczana”, „Trea”, „Beata”. Za luźniejszą atoli strunę, za chwilę zwątpienia i rozrzutność chcieliżbyśmy mistrzowi ująć prawa do czci wielkiej, oskarżyć przed nim człowieka? Wszak struna ta, zaledwie niedociągnięta, znamionuje, bądź co bądź, wnętrze zdrowe, wolę nieugiętą i miłość niezmienną. Moniuszko grzeszy marnotrawstwem, trwoni swe skarby pod wpływem gorączki ogólnej, więc dorabia muzykę do baletów, wtrąca swój śpiew w ramy melodramatu i tragedii, wyładowywa swą pełnię w dziedzinie drobiazgów, a po kilku rzutach ślicznych uchodzi stąd, jak gdyby się wstydził przed majestatem mocodawczym, który mu przecież siły męskiej nie skąpił. Patryota rozsądny mógłże się oprzeć wpływowi manifestacji? Ruchy świąteczne, hymny błagalne i objawy jedności mistycznej musiały oddziaływać na delikatną duszę artysty, który też natchnieniem rzewnem, czystem i pełnem prostoty pokrzepia muzę religijną, już od dość dawnej daty usposobioną dramatycznie i koncertowo. Jego „Modlitwy”, zamiast obniżyć przewagą formy, podnoszą bożostan wytwornym wyrazem treści; jego „Msze”, „Pieśni naszego Kościoła”, „Hymny”, zgoła wielce bogaty i rozmaity zbiór liryki nabożnej odznacza się katolicyzmem polskim, bardziej moralnym niż dogmatycznym, przypominając tu i ówdzie ołtarz polowy oraz wiarę rycerstwa cichą, szczerą, podniosłą, nie obłudną, nie pozorną ani okazałą. Co się zaś

tyczy kompozycji, wyróżnionej pięknnością formy skończonej acz małej, tej pieśniarz nie zaniedbał w Warszawie. Zbiór jego poematów śpiewnych rośnie na całość wielką, wspaniałą, niby na zwierciadło, odbijające nieprzebrany poczet znamion i różnic, jakimi historia obdarzyła duszę narodu. Na rozrzutność mógł sobie pozwolić mistrz, który tworzył łatwo i bez wysiłku, bo czuł i myślał muzycznie, umiał rządzić w swem wnętrzu i służyć ojczyźnie w imię ideału, lecz nie rad był, wobec codzienności, trzymać się wręcz odpornie, odmawiać posługi i drażnić opinię lekceważeniem.

Przy końcu roku 1861 pan Stanisław jeździł powtórnie do Paryża. Z czem i po co? Nad Sekwaną powstało od dawna i zabiegiem ambicji utrwalonem było rozdawnictwo patentów na sławę wszechświatową. Tu ją dowcipnie zdobył Rossini, ciężko wywalczył Meyerbeer, napróżno pozyskać usiłował Wagner. Ale Moniuszko nie chodziło wcale o wziętość osobistą wyłącznie. Próżność i samolubstwo nie były dźwigami patryoty, któremu przecież samo poczucie nakazywało strzedz się spowicia przez skromność nadmierną. Znał on i cenił swą wartość. Jeśli jednak dla dzieł swoich pragnął sceny szerokiej, krytyki poważnej i pomieszczenia wśród płodów geniuszu, to głównie przez wzgląd na posłannictwo narodowe. Niech przez muzykę kompozytora świat pozna charakterystykę rzeszy, sądzonej dotąd powierzchownie, częstokroć fałszywie. Mickiewicz uczynił wyłom. Czemużby za nim podążać nie mieli poeci, malarze i muzycy polscy? Że wódza usłuchali, że polskość dziś im zawdzięcza pewną miarę szacunku po za granicami kraju, któż z nas o tem nie wie? Lecz przed laty było inaczej; oczy historii patrzyły nieraz na obłudne wyzyskiwanie przyjaźni, dobrej wiary i bohaterstwa. To też Moniuszko w Paryżu uzyskał tyle, co każdy zuchwalec, zasługujący na obojętność, jeśli nie na chłostę. Słowianin, przedstawiciel społeczności zacofanej jak śmie ze swą lirą stawać tu, wobec Akademii i arcykapłanów sztuki!? Pieśniarz powrócił z niczem. Na wystawienie jednak „Halki” zażądały zezwolenia miasta umuzykalnione: Petersburg, Moskwa, Praga, Kraków i Lwów. Że więc rytmy rycerskie i melodye serdeczne nie zaginą, o tem przekonywał mistrza zapal sasiadów. Włosi znają również „Halke”. A jeśli twórca „Nibelungów”, znienawidzony wśród cywilizacji romańskiej,

dziś otrzymuje wysokie z tej strony uznanie, to spodziewać się należy, iż dramaturg i wieszcz inaczej mocny nie długo na powszechny czekać będzie posłuch.

Jak było w Wilnie, tak też i w Warszawie charakter obywatela nie pozwalał kompozytorowi poprzestawać na działalności wyłącznie twórczej. Moniuszko, powołany na profesora, postanowił wykładem umiejętnym i starannym umocnić w kraju wiedzę muzyczną. Dlatego objął katedrę harmonii i kompozycji w Instytucie, założonym przez Apolinarego Kątskiego, objął zaś pomimo utrudnień w pracy, jakie przewidywał ze strony dyrekcji nie dość spokojnej. Profesor, znosząc cierpliwie dużo goryczy, umiał dawki łagodzić pociechą ze strony uczniów. Dobrych, pilnych i wdzięcznych nie brakło też nigdy teoretykowi, który baczył, iżby techniczne dźwignie sztuki, wielce złożone i zawiłe, trafiały do umysłów drogą prostą, przez wyobraźnię i poczucie piękna, nie zaś przez pamięć i spekulację suchą. Chcąc umiejętność rozpowszechnić, wydał on znany, lecz tylko z bibliografii, „Pamiętnik do nauki harmonii“. Wdzięczność, jako jedyną za trud zapłatę, zbierał Moniuszko obficie w kraju, gdzie młodzież, wyróżniona szlachectwem, dawała zawsze, w serdecznym z dobroczyńcą stosunku, miarę woli patryotycznej. Studenci uniwersytetu czcili osobę mistrza. Wszak on ich ratował przed nędzą i ciemnotą, urządzając na korzyść biednych koncerty, których cel i powaga gromadziły corocznie zastępy uczestników życzliwych. Nie dziw, że młodzież odczuła najdzielniej wewnętrzną muzykę poety; nie dziw, że młode rycerstwo stanowi policję, wciąż baczną, by płomień, wzniecony przez mistrza, nie stracił blasku ni ciepłoty, by dzieł jego nie tknęła rdza obojętności.

Ów mistrz jednak, obarczony obowiązkami nad siły, a zawsze gorliwy na stanowiskach przeciwnych — w domu jako mąż i ojciec, walczący z niedostatkiem, więc zaniepokojony o byt rzeszy najdroższej i bardzo licznej, zaś po za domem jako działacz społeczny, mało wynagradzany i zmuszony zasłaniać pierś swą przeciw pociskom intrygi, zawiści lub nieporozumienia — mistrz ów, mówię, dożyć lat późnych nie mógł. Potomek dobroczyńców lubił świadczyć pomoc i potrzebującym jej dawać dużo, bez zwrotu, bez rachuby. To już był narów, jeśli tak nazwać wolno altruizm zbyt

czuły, mało rozważny w stosunku do słusznych wymagań egoizmu. Stąd sprzeczność drażliwa. Artysta skromny, zajęty ideałami, niezdolny przeto swej pracy spieniężać, przeczył wciąż socjaliście, który bez ceremonii ogołacał współnika z chudoby. Ten czerpał z kalety ubogiej, tamten pozwalał, lecz biadał i na niezbędne potrzeby domu zaciągał długi. Od roku 1870 serce Stanisława zaczęło bić coraz kapryśniej, zdradzać niemoc i budzić obawę. Powolnemu rozstrojowi dała początek śmierć ojca. Odtąd drobiazg wszelaki jął ranić duszę czułą; lada ukłócie zdawało się jej być cięciem ostrem, boleśnem, nie do wytrzymania. Celem ulżenia sobie profesor postanawia ustąpić z posady, którą uważał za nader zaszczytną. Czemuż się waha i swój zamiar ukrywa? Bo on go wtrąca w stan zeznań przykrych, bo mąż samodzielny wstydzi się niemocy własnej. Że jednak ustąpić postanowił, zeznając słabość przed sobą — tem gorzej. Świadomość rozstroju, wciąż rozczulona i bez otuchy ze strony samodzielności zachowawczej, złym jest przewodnikiem w dziedzinie procesów fizjologicznych. Ona obniża stopień woli, skąd rozkaz sięga do ośrodków żywotnych, krzepi je i zapobiega upadkowi sił w ogóle. Dnia 4 czerwca 1872 roku Stanisław Moniuszko, wracając z kościoła, wchodził do mieszkania. O własnych atoli siłach już nie wszedł. Serce odmówiło posługi, a żywota objaśnił lekarza i rodzinę, że ratunek nie pomoże. O godzinie 6 po południu zgasł tedy pracownik zacny, polak prawomyślny i poeta genialny.

Człowiekiem pięknie zbudowanym pan Stanisław nie był. Szkielet obsadny, kość gruba, głowa duża, plecy szerokie, pierś wydatna, lecz wzrost prawie niski, widocznie zatrzymany, szyja, kończyny i palce krótkie, przeto rubaszne, tułów zbyt krępy, objętość czaszki nadmierna i nie dość prawidłowo w liniach głównych uwypuklona — cały zresztą układ ciała zdradzał rzeźbiarza, który danych sobie sił rozwinąć nie umiał i, zamiast dbać o symetryę, puścił wodze dowolności mechanicznej. Stąd niezręczność w poruszeniach, mechanizm rozbieżny i słabowity, statura bez wdzięku. Znamy

budowę posagową, jakiej dziad pieśniarza zawdzięczał zdrowie i równowagę. Na brak też pierwiastków atawistycznych, jak wnosić należy z niedomiarów samych, wnuk uskarżać się nie mógł. Skądże brak mocy zachowawczej, zdolnej zapobiegać wypadkom życia i wpływom zewnętrznym, przewidywać i uprzedzać zwyrodniałość rasy? Strzeżmy się obwiniać spadkobiercę. Moc bryły kształtująca zależy od wychowania. Ona spoczywa w niemowlęciu i, zanim z powijków wyzwołona zostanie, woła o pomoc. Pieszczoty ją gnębią, puchy obezwładniają. Jej potrzeba ruchów rytmicznych, wszechstronnych, mniej lub więcej statecznych i koniecznie pod kierunkiem opieki usamodzielnianych. Staś tymczasem, chowany na panie, nawykał do bierności i lenistwa fizycznego, mięśni swych krzepić ruchem nie lubił i gimnastyki młodzieńców wręcz nie uprawiał. Staś niedomiar wzrostu i układ wadliwy. Polski atoli przedstawiciel harmonii, chybiony cielesnie, uprzedzał obliczem, że godność mistrza piastuje nie przez pomyłkę. Genialny, a bez plastycznych oznak majestatu, on był jednym z wielu okazów chwili przełomowej, co w rozwoju ras ostrzega przed skutkami intelektualizmu. Na twarzy sympatycznej jakże strojny i zrównoważony widniał wielodźwięk muzyki wewnętrznej! Czoło wyniosłe i pogodne, wzrok pełny, jasny i głęboki, krój nasady zgotowanej falisty i rozigrany, o ile obejmował skalę zmian, od uśmiechów radości tudzież oznak dobroci, współczucia i żalu, aż do fizyognomiki żartu, ironii i rozkazów wewnętrznych — cały rysunek uobliczenia wyrażał przymioty duszy wysokie i rozmaite: powagę męską i rozum, intuicję płomienną i szlachectwo, słodycz i uwrażliwienie delikatne, dociep i wesołość, cierpliwość i wytrwałość, władztwo moralne i spokój klasyczny. Że rysunek ten był dziełem mistrza, wątpić nie należy. Uczcijmy tedy pamięć rzeźbiarza, który wypadkom życia i wpływom zewnętrznym zapobiedz nie mógł, lecz od usterek całokształtu umiał uwagę badacza odciągać dynamiczną potęgą wyrazu, malowidłem duszy.

CZEŚĆ TRZECIA.

Muzyka.

I.

W miarę, jak rozliczne formy muzyki wstępowały w okres wykończenia, geniusz sztuki ożywiał je treścią, bacząc na złożoność piękna coraz doskonalszą, coraz bardziej zgodną z psychofizjologią artysty w kompozycji. Suchą i wyrobną scholastykę jąła przenikać moc natchnień; gra pomysłów mniej lub więcej ładnych, lecz zdradzających robotę, idzie w posługę władzy twórczej, która też materiałem rządzić nie omieszka, ukróci samowolę mechanizmu i wyda na podziw postacie zupełnie, zdolne coraz dzielniej wyrażać znamiona ludzkie, różnice dążeń, procesy życia. Okres uwłaszczeń rozwijał się powolnie i trwał długo. Postępując drogą, wytkniętą przez cywilizację, sztuka muzyczna, zanim objęła dziedzinę realizmu, powołaną wprzód była do uświetnienia ideału wiary. Odrodzenie atoli daje odprawę polifonii gregoriańskiej, bo misticzm ustępuje przed racjonalizmem, zaś ten dojrzeva pod wpływem pracy organicznej i coraz usilniej wymaga, by zwierciadła odbijały prawdę ruchów wewnętrznych, rozdźwięki i harmonie społeczne, dramaty w stylu wielkim, zgoła poczet zderzeń i sprzeczności, żądz i celów ludzkich. Styl dramatyczny przeważa i otrzymuje sankcję fantazyi, gotowej rozszerzać ramy przedstawienia na korzyść głębi wewnętrznej, doświadczać i spostrzegać, gromadzić szczegóły różne, zestawiać i ważyć analitycznie, a zatem, układając kompozycje coraz indywidu-

alniej pomyślane, bogacie państwo dźwięków bez końca, bez wyczerpania typów. Nad formami sztuki zapanowuje jaźń mistrza, a to w imię prawdy rzeczywistej, spoczywającej w jaźni narodu, który mu daje materiał na typy dość oryginalny i samodzielnie wypracowany, ażeby moc twórcza przestała swych uczestników obrażać zapożyczaniem, naśladownictwem, chwiejnością woli lub brakiem intuicji. Organizm bowiem zbiorowy, o ile spójny i swych praw świadomy, stanowi osobę, tę dziejowo można i niespożyta, która byt swój pragnie odznaczyć dziełami i nie ustąpi z widowni, zanim swej duszy nie zaklnie w chwały godnych pomnikach. Dlatego piękno-twórca, uniesiony genialnością obcą i usiłujący do swych mocodawców przemówić stylem zapożyczonym, obraża ich, bo ośmiesza i cześć pozbawia, zdradzając ze swej strony raczej manię wielkości, zarozumiałość i egotyzm, niż intuicję swobodną i miłość szczerą. Poezie polskiemu wszak nie przystoi bajronizm szalony ani też rozbujała więź Shakespeare'a. Spuścizny bardów on nie otrzymał; rycerzem podług miary normandzkiej bądź anglo-saksońskiej on być nie potrafi; dzieje zresztą oraz ideały W. Brytanii, jeśli go obchodzą, to zaledwie ze stanowiska socjologii ogólnej. Po cóż rymstunek, po co wysiłek? Uważmy jak śmiesznie wyglądają zwolennicy wagneryzmu, zwłaszcza italscy. Twórca „Nibelungów” olśnił ich indywidualizmem olbrzyma. Czemuż nie chcą baczyć, że harmonie głośnego dramaturga określają zanadto wyraźnie wnętrza germanizmu, ażeby symbolizować mogły inne, wręcz nie podobne, jak romańskie bądź słowiańskie. Wagner, podnosząc operę do godności dramatu lirycznego, zobowiązał wszech mistrzów jedynie pod względem reformy ogólnej; zastrzegł się jednak przeciw naśladowcom, stawiając na pograniczu bezmierną jedność i głębię duszy niemieckiej, której mowa rozległa, szeroko wezbrana i posągowa nie może służyć za wzór, ilekroć chodzi o wyraz stanów odmiennych, o charakterystykę nie epicką, o głos poezji inaczej nastrojony.

Mistrz tedy postępowy, posłuszny wskazówkom realizmu estetycznego, szanując akademicką skończoność formy, wolen jest przecie, nawet powinien mieć technikę własną, jako dźwięgnię osobliwą, o tyle oryginalną w układzie i odrębną w dynamice postaciowej, o ile prawami rozwoju określoną jest żywotna organizmu zbiorowego technika. W dziedzinie piękna

technika jest sztuką samą. Ona obejmuje całokształt przedmiotu, przedstawia strony obie — wewnętrzną i zewnętrzną, duchową i cielesną — przeto nie może być bez szkody uprawianą mechanicznie, jako abstrakcja. Jej zaletą — spójnia dwu stron doskonała, zdolna konkretnie ujawniać złożoność rzeczy, więc nie tylko pojaw sam, wzięty oddzielnie i powierzchownie, lecz jego prawo, przyczyny i skutki, jego moc idealną, jako też stosunek do pojawów innych. To też artysta, skłonny do mistrzowania za pośrednictwem abstrakcji formalnej, nie jest mistrzem-poetą, przedstawicielem syntezy estetycznej; jest raczej akademikiem głuchym i krótkowzroczym, jeśli nie fałszerzem zuchwałym, szerzącym w dziedzinie sztuki obłąd jednostronności. Wszak pseudoklasyczną jedność miejsca, czasu i gry realizm zniósł nie kwoli uprzedzeń szkoły nowej. On wymaga, ażeby mistrz uwzględniał właściwe tym dźwięgom różnice kolorytu, badając wprzód naturę, instytucje, rysy szczególne, obyczaje i zwyczaje, zgoła fizykę i psychologię kraju, nim wzięty stąd materiał przedstawi pięknie, wytwornie, w warunkach pełni estetycznej. O ile samodzielny, wieszce i natchniony, on korzysta z prawa swobody osobistej; sam jednak świadom nie koniecznie bywa, jako członek rzeszy, iż działa pod wpływem ideomocy zbiorowej i, acz swobodny w pomysłach i potęgowaniu, przecie w technice swej duży procent zależności narzuconym sobie miewa przez indywidualizm gromady. Zauważmy wartość techniki realistycznej w poezji. Geniusz narodu, w miarę czynionych zabiegów w kierunku samodzielności, wyodrębniał też znaki, mające wyrażać jego duszę, określać charakter, wykazywać stosunek wyobraźni do przedmiotowości, zgoła tłómaczyć psychologię zabiegów i stanowić o stopniu wyzwoleń cywilizacyjnych a rzeczywistych. Stąd wykształt mowy, której składnię osobliwą oraz ideologię słów oryginalną poeta przyjąć musi posłusznie, jeśli jasnym i trzeźwym, pojętym i uwielbionym być pragnie. „Pan Tadeusz” traci wiele w przekładzie na obce języki; żaden bowiem nie posiada siły obrazowej polskiego; a nadto, co w mowie polskiej nazwanem i orzeczonem zostało, może nie istnieć wcale lub istnieć inaczej u cudzoziemców. Gdy tedy o wartości dzieła stanowi bogactwo barw i odcieni, wybór porównań i przenośni, dynamika planów, skróceń i ściśłości, wieloraka moc rytmów i nacisków, to spodziewać się

należy, iż krytyka nowoczesna przestanie cenić bądź przyjmować pobłażliwie odstępczą w technice swawolę pięknotwórców.

Ale na wskazówkach ogólnych filozofia sztuki poprzestawać nie powinna. Ona pouczy artystę, że jego technika zajmować ma stanowisko pośrednie pomiędzy władzami i przedstawiać kojarzenie wymierną idealizmu ze zmysłowością. Gdy bowiem przewaga inteligencji pozbawia fantazyę ostoi materialnej, prowadzi twórczość drogą bezmiarów i dopuszcza bezład, kalektwo lub niedokładność formy, to przewaga uwrażliwienia i czynników określających, nawet wykształconych, znamionuje piękno akademickie, jednostronne, pozbawione powagi moralnej i niepobudliwe. Niech tedy czynniki wyobraźni gromadzą budulec obfity dla myśli i wspierają fantazyę ze strony formalnej; niech myśl przenika wskrós bierczą służbę i doświadcza robotę czynników; niech żądom i uniesieniom uczuciowym towarzyszy wola trzeźwa i w sztuce życia wyćwiczona; niech samokrytyka czuwa ustawicznie, by technikę utworu zalecała złożoność zupełna, organiczna i wybornie zjednoczona. Wszak mistrze niemieccy, skorzy do wyłączności intelektualnej, wielokroć dowiedli, że sensualizmu lekceważyć nie można; wszak operę włoską, polegającą na zmysłowych powabach formy, idealnie wyposażoną powołaną została szkoła francuska. Otóż, pomimo dokonanych tu i ówdzie sprostowań, historia sztuki przedstawia jeden ciąg wykroczeń przeciw prawu, którego powagi attyckiej nie uznaje indywidualizm nowoczesny, chorobliwy i rozkiełznany. Czyżby przeto równowaga, jako wyraz dążeń i poduszczeń pod hasłem poprawy, nie miała pięknotwórców obowiązywać wcale? Jej wartość etiologia nie dla próżnej ujawnia ciekawości. Prawem dla neurasteników nie przestaje być to, co stanowi o zdrowiu pokoleń. Teoria zbytku, krzewiąc zgubne pojęcie sztuki, nie usuwa potrzeby co do zadowolenia organicznych. Zwyródniałość, skutek wychowania, nie usprawiedliwia swawoli twórczej. Że ogół znajduje przyjemność w anarchii estetycznej, przekłada „rozkosz w cierpieniu“ nad uczestnictwo moralne, lubi przesadę, porywy i omdlenia, że w zwierciadłach szuka przeważnie rysów własnych, więc linii krzywych, rozstroju, nadmiarów i niedomiarów — należy w tem widzieć raczej wynik fatalny niż wskazówkę, raczej objaw woli słabej niż upoważnienie. Głos prawdy, acz

stłumiony, zaprotestował nieraz przeciw nadużyciom. Beethoven, mąż głębokomyślny, mocarz rzetelny i wieszcz serdeczny, długo niepojęty i odpychany, odniósł nad niedołęztwem ogółu zwycięstwo świetne, skoro uwielbionym jest przez coraz większy poczet uczestników. Lecz przywilej — to zdobycz cenna. On wyróżnia artystę urokiem tajemnicy, której badać nie pozwala teoria „geniuszów oryginalnych“, dość jednak wygodnej wobec obowiązków, jakimi nie-artystę obarcza kodeks społeczny, ażeby większość zuchwalców nie dała sobie miłej wydrzeć zasłony. Przywilej darzy artystę aureolą cudotwórcy. Stąd opór i obstawanie przy zdobyczy łatwej. Boć żaden z humanistów nauczać chyba nie zechce, że przedstawicielowi harmonii przystoi być wyłącznie specjalistą od wzruszeń i gry bezpłodnej; przeciwnie, każdy z nich, byle szczery i światły, samodzielny i nie wpłątany w matnię spekulacji oderwanej, wyzna, że ów przedstawiciel, zanim kwoli pożytkowi wnosić do skarbnicy zdoła utwory skończone, poczęte podług wymagań prawa, więc istotnie piękne, musi wprzód ponieść trud ludzki, odczuć i poznać wiele, wypracować w sobie człowieka i stanąć na wyżynie rzeczywistej, nie złudnej. Równowaga techniki w państwie ideału zależy od ziszczonej w praktyce życia. Jak społeczność nie zwalnia wybrańców sztuki od służby uczciwej, tak genialność nie kwituje ich z doświadczeń zmysłowych, z pracy wewnętrznej, tudzież z zabiegów osobistych na rzecz zjednoczenia. Dar odgadywania, oparty na spostrzeżeniach samych, zawodzi i traci obłudą; on nigdy nie zastąpi dźwigni żywej, jako potęgi moralnej.

Poznaliśmy pierwiastki, znamionujące osobę Moniuszki. Wiemy, jak usilnie pracował on, ażeby zdobyć tę syntezę władz, więc tę jedność jaźni, która jest prawem najwyższem istoty myślącej, warunkiem uczłowieczenia, ostoją powagi i samodzielności, cnotą geniuszów twórczych. Artysta, zanim jał śpiewać i zadość czynić potrzebie płodzenia, gromadził wprzód materiał psychiczny; lecz ów artysta urabiał przez całe życie muzykę wewnętrzną, zestawiał pierwiastki rozmaite i słuchał wciąż, ażali w akordzie nuty dźwięczą zgodnie i wyraziście, czy w nim fałsz się nie ukrywa, czy mu nie grozi ubóstwo i chwiejność, jednostajność i rozkład. To też krytyka, oceniając ogólną wartość dzieł jego, odsłonić na podziw przedewszystkiem powinna organiczną syntezę pełnię i żywotność, spój-

nię i poprawność. Czy taką jest ona ściśle — rzecz inna. Syntezie doskonałej, gdyby podobnie ziszczoną ktoś chciał sobie wyobrazić, odpowiadałyby koniecznie objawy bezwładu. Mozeszże wymagać znierruchomienia mocy twórczej, więc fatalnego spowicia energii, co powstawać i czynić zwykła nie inaczej, tylko przez kolizye pierwiastków, przez ustawiczną dążność jaźni do uchylenia staré na korzyść harmonii możliwie najznośniejszej? Coraz doskonalszym działacz ambitny być pragnie; gdyby jednak uwzględniać chciał zawsze granice potęgi ludzkiej i prawa rozwoju, unikał by przesady w obawie zastoju, martwoty i bezwładności zupełnej. Jeżeli tedy z powodu siły twórczej, tak w dziedzinie piękna, jak dobra i prawdy, cheemy wyróżnić osobliwą i podziwu godną, to oczywiście, zamiast cenić doskonałość bezwzględna, sąd swój zatrzymamy instynktownie na mocy, z jaką człowiek-mistrz zdolen jest kojarznię swą uczynić dość złożoną i spójną, dość giętką i wyrobną, ażeby starczyć mogła na znaczną liczbę procesów i przeobrażeń. Dwie chwile przedstawia historia powstawania dzieł wartościowych: intuicyi samorzutnej i pracy samokrytycznej, rozsądkowej. Niech pierwszy lub drugi z czynników chybi, wtedy braki głośno i bez odwołania oskarżają twórcę o lekkomyślność lub ubóstwo. Poza tem, jakkolwiek w płodach najlepszych cenimy udział tych właśnie dwu czynników, to przecież względnie, ile że nikt z nas nie widział arcydzieł bez wad mniej lub więcej ukrytych, bez usterek mniej lub więcej jawnych. To stanowi zaiste ich skazitelnosc, lecz zarazem objaw niezbędny żywotności, psychiczny warunek prawdy. Poprawiać naturę, unikać popłochu — nie znaczy tyle, co gładzić powierzchnię do ostatka i unikać ruchu. O pewien procent samorzutności w grze linii i rytmów zmysły nasze wołają ustawicznie; a jeśli od ideału coraz prawomocniej wymagamy wcieleń realnych, nie zaś fikcyjnych, to w wydatkach fantazyi cenimy raczej ogień i swobodę uprawnioną, niż chłód i więzy. Kładę tedy nacisk i utrzymuję, że najwyższą mistrza zaletę estetyka upatrywać powinna nie tylko w bogactwie materiału, w wyborze i w spójni, lecz w zdolności odnowień i przeobrażeń organicznych, w dążeniu do coraz lepszej równowagi wszech pierwiastków i działów, jako też w zabiegu o moc twórczości dwuokresowej. Uważmy. Oto oryginalnie wyrobiona w życiu synteza artysty. Ona spoczywa w głębi-

nach jaźni. Jej stanem normalnym — stan bezwiedzy uczuciowej. Lecz oto kryzys. W jaźni artysty błysnęła nagle myśl jakaś — wynik wypadku, traf szczęśliwy, spotkanie przygodne. Płomyczek wędrowny i migotliwy czy sięgnie w głąb duszy, czy zainteresuje uczucie? Tak, jeśli posiada siłę dotknięcia i przyciągania, jako wątek pożądany i odpowiedni, acz nowy. Przyjęty z radością, on też rozpoczyna proces, zwany gorączką twórczą. Pierwiastki syntezy ulegają rozkładowi, co sprawia ból nieznośny, jak każde zaburzenie porządku; lecz ulegając, dążą one jednocześnie w kierunku krystalizacyi nowej, by pod wpływem ideomocy, która je rozłożyła, ustanowić grupę oryginalną i wydać na jaw kompozycję osobliwą. Tę artysta wita rozpromienionym wzrokiem bohatera i zdobywcy. Chciałżeby teraz spocząć i owocu używać bezczynnie? Byle nie zaślepiony a wciąż czujny, on prędko spostrzeże kalectwo utworu, niby ktoś z boku, niby sędzia trzeźwy i nieubłagany. Więc rozpocząć mu teraz wypada pracę ciężką i trudną, móżół o tyle tytaniczny, o ile pięknotwórca samorzutny wezwać ma w pomoc artystę-człowieka, obdarzonego pełnią świadomości, rozwagi i spokoju, więc mistrza, który nie znosi bezładu i miarę piękna istotną znajduje w sobie. By przed takim móżółem nie zadrzeć, by takiemu poddać, trzeba mieć charakter dzielny i wyrobiony. Dodać należy, iż wprawa pozwala dwa okresy zbliżać, nawet łączyć, a to na korzyść twórczości udokładnionej, mocnej odrazu płodzić poprawnie, wykończać bez ciężkiej cenzury, zgola mistrzować coraz karniej, uprzedzając podział pracy zbyt kosztowny a niebezpieczny.

Takim mistrzem był twórca „Halki“, poczynający wzrost swój od kompozycyi wymienionej, którą poprawiał, rozwijał i kształcił z ambicyą miłości najpierwszej, najbardziej ognistej i najpoetyczniej o dobro swego kochania troskliwej. Nie dziw, że ów wydatek myśli i serca, bezwątpienia świetny, wspaniały i wielce bogaty, grzeszy zbytkiem, przeładowaniem. Obfity wytrysk motywów nie uwzględnia czasu w sprawie uczestnictwa; piękności przemijają nie dość uchwytnie dla słuchacza, który postać każdą wolałby oglądać niż gonić. Już dokładniej pod względem spójni dynamicznej i doraźniej wykończoną znajdujemy „Hrabinę“. Przedmiot to trudny, jako złożony z kontrastów dziejowych, niby obraz, pełen gry obyczajowej, gdzie

należało przedstawić dwa tła odmienne, zarysować postacie odpowiednie, uwzględnić wybór różnic i odcieni. Matnia groźna dla artyzmu, co zwykł prawdę lekceważyć. Moniuszko atoli dał jej wyraz jasny a pełen wytwornej prostoty, jak mistrz, który umie różnice łączyć i grę odcieniowywać, nie tracąc z uwagi rysów, znamionujących obozy i osoby. Lecz o wiele łatwiej, doraźniej i skończonej zdaje się być przez dojrzałego dramaturga „Straszny Dwór“ poczętym. Ażeby syntezę, mającą wyobrażać polskie z wieku XVIII obyczaje, ba, wybór szlacheckich z pomiędzy znamion rycerskości narodowej wogóle, ażeby syntezę taką powziąć umiejętnie, zaś rozwinać opisowo i lirycznie, bacząc na uczestnika, który usłyszeć ma istotną czasów minionych muzykę, trzeba być nie tylko pięknotwórcą znakomitą, lecz patryotą światłym i możnowładcą w dziedzinie przeobrażeń psycho-estetycznych. Toż samo rzecz można o twórcy obrazu scenicznego p. t. „Verbum nobile“. Co do „Widm“, jakież mistrz, pozbawiony potęgi kojarzniorodnej, potrafiłby w melologu zachować koloryt, co przenosi słuchacza w serce litewskiego sioła i przewodniczy mu w głąb duszy ludowej, zachować, mówić, tak rzetelnie i sympatycznie, a tak zgodnie z roztoczeniem akcji i stawieniem działaczy, jak to podziwiamy w arcydziele naszego pieśniarza? On widoków Krymu nie oglądał, nie podziwiał w naturze. Skądże ta moc przedstawienia w „Sonetach“, gdzie każdy obraz, malowany przedmiotowo, jako całość odrębna, żyje przez rysunek i rytm, przez harmonię słów i dźwięków, o tyle prawdziwą i wyrazistą, o ile podniosłą i piękną? Dar osobliwy mistrza należy pojąć ze stanowiska psychologii. Był on nie tylko muzykiem, lecz poetą i malarzem; był nadto panem swych skarbów i artystą-aktorem, zdolnym wytwarzać w sobie uosobienia rozmaite.

Wydawnictwo całokształtów syntetycznie różnych, świadczenie od czasu do czasu o zmianie w dziedzinie uosobień, które dojrzewać zwykły mniej lub więcej powolnie a długo, nie ręczy bynajmniej za wartość dzieł samych, gdzie całość obejmować ma różnice szczegółowe, hierarchię czynników, bogactwo motywów, dobór części organicznych i porządek. Wydałem poemat. Rok upłynął — więc wydałem drugi; lepszy czy gorszy — nie wiem, dość że inaczej o mojem autorstwie świadczący. Zadanie odmienne spowodowało więc pierwiastków

również odmienną. Lecz oto bezstronnej krytyki analiza. Ona mi wciąż zarzuca ubóstwo materiału, jednostajność w obrobieniu i grę wadliwą, a chociaż przyznaje wpływ czasu na wykształt kojarzni, to jednak chłoszcze za jej rozwięzłość i brak samodzielności, za niedołęztwo fantazyi i niepoprawność techniki, a co najsmutniejsze, to, że o niemądrej wspomina teorii. Dziwaków płodnych a nieuleczalnych, graczy słabomyślnych a zuchwałych jakże liczny poczet dziś przeczy zdrowiu w literaturze i sztuce! Muzyka liczy ich legion krzykliwy. Boć tajemnicą kompozytorów wielkich jest niewątpliwie to, że każdy z nich kryje w sobie poetę, malarza i aktora, czego właśnie wymaga rozwój sztuki w kierunku dramatycznym. W symfoniach Beethovena motywy żyją i czynią, mienią się w rysach i postaciowaniu, dialogują i grają, niby osoby zidealizowane, pełne powagi i rozlicznych znamion, mocne energią męstwa, to słodyczą dobroci, pobudliwe z powodu ironii, żartu i wzniosłej prostoty. Co one mówią, jaką treść rozwijają — dokładnie wiedzieć nie możemy. Tem lepiej. Na tajemnicy bowiem polega potęga syntezy, którą mistrz rozłącza pod wymowną osłoną dźwięków, jak gdyby chciał oddalić pospolitą znaków myślowych codzienność, dać słuchaczowi swobodę odtwórczą i porozumieć się z nim za pośrednictwem wytwornie pomyślanych formuł uczuciowych. Chopin lubił improwizować na temat ballad oryginalnych, które, nim wśród grona młodzieży zasiadł do fortepianu, zarysowywał wprzód głośną swadą poety. To też ów arystokrata uczuć, ów geniusz niewieści, nie tyle trzeźwy i poprawny, ile wrażliwy i podniosły, przeczysty i subtelny, jeśli nas w wielu z piękniejszych utworów swą polszczyzną unosi, to dlatego, że w każdy włożył jakąś historię miłości, żalu lub tęsknoty, jakąś z życia scenę wesołą, smutną lub wręcz tragiczną, jakiś epizod rycerski lub sielankę z pod mazowieckiej strzechy. Jeśli tedy kierunek dzisiejszy zmusza już symfonistę do syntetycznego różnicowania szczegółów, to dramaturga obowiązują z tej strony przepisy ścisłe i kategoryczne. Wieluż liczymy posłusznych, wielu do posłuszeństwa przygotowanych?

Zobaczmy jak to pan Stanisław zrozumiał i dźwignął. Otóż jego „Halka“ wzruszać nas nie przestaje, albowiem posiada nie tylko moc syntezy żywej, lecz moce szczególne wielu z życia wydobytych skojarzeń. Mistrz je powołał do rozegra-

nia smutnej w założeniu historyi. Nim jednak stanęły, jako wcielenia znamienne i zupełne, on je całem jestestwem przeżywać musiał, bacząc na ciężenia pierwiastków własnych i unikając zamętu w grze, gdzie pomiędzy postaciami należy wyróżniać główne od podrzędnych, bohaterskie od pomocniczych, zaś nie zapominać o planach i scenach, o roli chórów, jako też o budowie opery i o logicznie pięknym rozwoju akcji. Para bohatera z kraju, gdzie „szumią jodły na gór szczytów“, czyżby nas tak sympatycznie ujęła, gdyby Moniuszko, świadomy poezji i obyczajów miejscowych, nie był przez chwilę Jontkiem rzeczywistym, zdolnym odczuć nieszczęście kochanki i boleć świadomie nad jej stanem pożałowania godnym? Stąd i względem niej samej autorstwo mistrza psychicznie prawdziwe i samorzutnie całkowite. Jej syntezę wiary i żalu, cierpienia i obłędu, groźby i przebaczenia, syntezę wielce złożoną i tragiczną on z własnej wydobył duszy, z własnych uwil przeczucie i doświadczeń, z altruizmu i przeobrażeń wewnętrznych. Toć postacie inne, coraz mniejszej wagi, nagłone parciem siły rozplodowej, powstawały, jako całości żywe, z nastroju ogólnego i za przyczyną ideomocy, która wydała więź główną, bohatera. Zauważmy scenę ze „Strasznego Dworu“. „Cisza dokoła, noc jasna, czyste niebo, księżyc płynie po przestrzeni bez chmur“. Tak swą bezsenność opisuje Stefan, wzruszony pasmem wspomnień z życia na łonie rodziny, zaś obecnie tknięty przez gościa, który ma czarowne oczy i zmusza rycerza do zerwania przysięgi na stan bezzenny. Położenie to wydatne, tragi-liryczne, lecz łatwo rozwiązane przez płomienny wzrok Hanny, czarodziejki, co towarzysza pancernego umiała rozbroić i do ślubowania miłości nakłonić. Byłaby ta scena tak malowniczą i lirycznie wzniosłą, tak żywą i pobudliwą, gdyby Moniuszko nie wydobył jej z najgłębszej skrytki swego jestestwa, gdyby tu nie wystąpił jako Stefan rzeczywisty, bohater niesklamany ani naśladowany, działacz nie z ramienia fantazji oderwanej? Scenie też wymienionej zawdzięczamy wstecz wspaniałe chór towarzyszy, opiewających rozkosze „wolnego stanu;“ za jej również przyczyną, acz nieco oddaloną, podziwiasz wystąpienie dworu oraz biesiadę chóralną przy krosnach i laniu wosku. Są to niewątpliwie drogocenne perły, które na dnie głębi wybranej geniusz sztuki urabiał z wątków cierpienia i radości, z substancji or-

ganicznej, dając im pełnię wytworną, barwę i połysk szlachetny.

Znając pierwiastki osobiste, ich dobór i wartość moralną, zrozumiemy łatwo, dlaczego mistrzowi tej miary co Moniuszko geniusz odmówił sankcji na dramaturga w stylu wielkim, na przedstawiciela zwierciadeł, odbijających grę fatalizmu i walkę prawa z bezprawiem. Nasz pieśniarz nie znał żądź silnych, wołających o zadowolenie. Jako człowiek, on nigdy nie potrzebował zwalczać w sobie skojarzeń ujemnych, bo w żywotności jego szczątki i zarazki stanowiły procent niezmiernie mały. Jakkolwiek z pod prawa wszechplenności organicznej nie wyjęty, on zdobyć by się nie mógł na syntezę złoczyńcy, zbrodniarza, bodaj nawet szkodnika o rysach troszkę skrzywionych, o barwie nieco szarej. Poduszczeń przez skrajny kontrast on w sztuce nie cenił, może unikał instynktem prawdomówcy. Wadą li to, czy zaletą — nie rozstrzygam; dość że Moniuszko, słowianin, spełniał wiernie posłannictwo narodu, który zawsze zdradzał skłonność raczej do butnej własności i warcholstwa, do ustępstw i zgody, niż do nienawiści, walki zaciętej i służby w szeregach złej woli. Więc nie tytuł dramaturga, jako mistrza zderzeń, przystoi właściwie twórcy opery polskiej. On mistrzem stylu, gdzie przeważa ruch harmonii opisowo-lirycznej, poetą i malarzem, twórcą obrazów muzycznych. Jeśli tedy w jego technice mileżą głosy namietności rozpasanej, jeśli rozdzźwięki straszne, hałas rytmów wzburzonych, zgoła rwące potoki polifonii nie ogłuszają tu słuchaczy pod hasłem zachwyty neurastenicznych, to o ileż radośniej witamy w przedstawieniu świat uczuć i związków sympatycznych, ruchy dobrane i hierarchię postaci dobroczynnych! Hygiena sztuki wymaga, by pieśń miała przewagę nad zgielkiem i wrzawą. Pieśń bowiem — to wydatek myśli, która nie znosi zgielku i wrzawy. Taką wyznając zasadę, nasz poeta nigdy nie użył maczugi, by do ziemi obiecanej prowadzić uczestnika przez ocean, pustynię i bezdroża. Z powodu sceny, gdzie Telramund z Ortrudą spiskują za szkaradnie, za długo przeciw Lohengrinowi i Elzie, on by nie umiał genialnego pochwalić kolegę. Toć on był bogaczem w niezgłęzionym ośrodku myśli, władcą w dziedzinie uczuć i wyobraźni. Stąd śpiewność wymowna i ciągła, styl jasny i wytwornie prosty; stąd porządek nawet wśród wezbrań chóralnych i panowanie rytmu w rozruchu samym.

Gdy górale obżalują Halkę, czemuż, zamiast złorzeczyć i grozić paniczowi, poprzestają na biernej obronie dziewczęcia uwiedzionego, więc na tem czynniejszych objawach współczucia dla ofiary? W odbiciu tkwi prawda, która mistrzowi pozwoliła roztoczyć niezwykłą piękność motywu i wzruszyć słuchaczy harmonijnym a wzniosłym wyrazem humanizmu. Miejskańców Podhala cechuje istotnie mir przebaczenia, ów wobec nieszczęścia altruizm, co umie żałować spokojnie, bez zgryzoty i zemsty.

Słuchając uważnie, wszak przyznasz, że kontrasty Moniuszki, podobnie jak Mozart'owskie, zamiast przedstawiać typy i potęgi dwu światów przeciwnych, każą ukochać świat różnic i odcieni ludzkich, znamienne złożonych, lecz nie kwoli zdezeń i pogromu, raczej w imię spotkań i rozejmu, w myśl pojednania i przymierza. Z łatwych bowiem sporów i zamieszek, z porywów wolności niedojrzałej strzeż się wnosić jakoby u Polaków przybytek czei, życzliwości i cnoty stał na grząskim gruncie interesów ekonomicznych. To też do takich wniosków nie skory, kompozytor polski ślicznie swą teorię przeciwnieństw zastosował w „Hrabinie“. Dwie strony wiążą tu grę dążeń i uczuć. Jedna — to państwo możne i pieniądze, dumne z tytułów i przywilejów, beczynne a przybrane modnie i z cudzoziemską, upojone czarem zbytku i zabaw. Na czele tej grupy stoi wdowa młoda i piękna, hrabina, otoczona licznym orszakiem służby, dworaków i pochlebców, ubiegających się zawzięcie i tłumnie — ci o serce, tamci o łaski rozdawczyni hojnej. Stroje, bale i niespodzianki stanowią tu główny koloryt życia. Strona druga — to państwo inaczej możne, dostatnie, lecz poważne i pełne godności szlacheckiej, przybrane w strój przodków i zdolne swój klejnot uchować przed zmazą błazeństwa, szalu lub swawoli. Na czele jej stoi Choraży, otoczony gronem braci-rycerzy, skorych do zabawy w polu i do kieliszka, lecz również do pracy i do wymiany uczuć najserdeczniejszych. Tu więcej treści niż blasku. Totum-fackim hrabiny jest jej kuzynek Dzidzi, istny wiercipięta, wciąż wesoły i kochliwy. On gromadzi baloniki towarzyskie, układa i puszcza w ruch, bacząc, ażeby zawsze były lekkie a przejrzyste, puste a różnobarwne. Natomiast Choraży ma pieszczotkę Bronię, wnuczę osierocone i tem bardziej kochane, że stanowi jedyną a niezmiernie cenną pociechę dziadunia. Tę przy-

lepkę właściciel dworku wiejskiego, troskliwy o wychowanie, wpływ kobiecy i rozrywkę, porucił hrabinie, właścicielce pałacu w Warszawie. Pokrewny czy powinowaty nie odstąpił w tem od zwyczaju przodków, a czyniąc zadość potrzebie, strzegł się brakiem zaufania obrazić wdowę. Że dziewczyny nie zajmą baloniki, że ona zateśni do dziadunia, do swobody i poezyi, któż mógł przewidzieć? Widzimy tedy, iż obie strony, dalekie od przeciwstawień wrogich, wnoszą do gry różnice słabe, nie formalnie i powierzchownie, jak w komizmie, lecz gruntownie i wewnętrznie, jak w życiu. Hrabina, acz lubi zbytek i pochlebstwa, nie jest przecież złą panią, ani obłudnicą występłą, ani arystokratką pogardliwą. Dla wszystkich grzeczna i w stylu salonowym uprzejma, kto wie czy z Ichmościami kontuszowymi trwałego nie zawrze sojuszu. Wszak na głowę Kazimierza zręcznie zarzuca złotą siatkę miłości, ceniąc zalety moralne, dobroć młodzieńca. Pachnie wprowadzie ta miłość trochę romantycznie, odurzająco, jak bukiet z kwiatów cieplarnianych. Znać w niej marzycielstwo, gorączkę zmysłów, upojenie pianką belletrystyki francuskiej. Któż jednak zaręczy, że Kazimierz nie wytrzeźwi marzycielki? On wszelako, wpłątany mocą pajęczej zręczności, lecz przejęty obawą i zwątpieniem, a potem wyzwolony przez czas, oddalenie i dyscyplinę wojskową, wolał opuścić wdowę bogatą dla panny ubogiej, dla pełnej serca i wdzięku, szczerzej i rzewnej dziewczycy, dla „rumianiutki“ Broni. Z takiej kolizyi czemuż nie skorzystał dramaturg, by wysnuć szereg zderzeń fatalnych? Szlachcianeczka upokorzyła możnowładczynię; szaraczek śmiał odtrącić wypieszczoną rękę kobiety. Toć grzechy śmiertelne, zasługujące na karę, na pomstę bez litości. Ale Moniuszko nie chciał swej bohaterki speścić uczuciem tak dla rozumu wstrętnem jak zazdrość; nie chciał, ponieważ na ciele arystokracji widział raczej pewne oznaki zboczenia, niż czarne plamy samolubstwa, pychy i zdrady. Nie zapomnijmy zauważyć, iż rola Podczaszyca nie jest przypadkową. Wynikła ona z zabiegu mistrza o zbliżenie stron, o środek pojednawczy. Podżyły wielbiciel płci pięknej i salonowiec nie gardzi sztuką łowiecką i zieleniaczkim. Wszak Choraży pobił go w duecie, niby w pojedynku, jaki podczas przygotowań do maskarady wypadło błazeństwu odbyć z powagą rycerską. Nie dziw, iż lekko- duch, postać dwubarwna, zatem komicznie poważna, ujmuje

nas przyjemnie, zwłaszcza od chwili, gdy mu wypadło porzucić blaski pałacowe, przystać do szlachty i serdecznem oświadczeniem połączyć porucznika z „różyczką“. On się na niej poznał i wartość anioła umiał gorącym stwierdzić animuszem. Hrabina boleje. Podziwiamy ją w aryi wysokiego nastroju, wyrażającej cierpienie dumy obrażonej; podziwiamy zaś dlatego, że zbłąkana „budzi się z uludnych snów“, odzyskuje serce kobiety polskiej i, nie obwiniając nikogo, odchodzi, by nie przeszkadzać wynurzeniom radości, która też staropolskiem „Kochajmy się“ rozwiązuje intrygę lekko, naturalnie, bez wyszukanych efektów finału.

Takie pojęcie różnie zwolniło kompozytora od płużenia w ciężkiej glebie fatalizmu. Mógł on nie tylko zachować stopnie na skali, gdzie widnieją postacie mniej lub więcej sympatyczne, mniej lub więcej szlachetne i zgodnie z prawdą upięknione, lecz przedstawić wiązkę dźwigni życiowych, o ile umiał zespolić wesołość ze smutkiem, powagę z żartem i dowcipem, dając nam odczuć poezję rzeczywistości, poczętą życiowie z pierwiastków zdrowia. „Hrabinę“ odznaczają rysy ironii i satyry; lecz nie jaskrawe, a chociaż wypukłe, to nie znamionami ciętości, szyderstwa i goryczy, lecz odcieni delikatnych i sympatii szczerej, czem przejęty, mistrz roztoczył prześliczne humoru polskiego barwy. Patrzenie — zdaje się wołać dramaturg rozpromieniony, wskazując na „siupryzy“, „turniure“ salonową, gazy, fraki i pachnidła — jaka to na początku wieku przyleciała do nas chmura owadów. Leciuchne, różnokolorowe i pierzchliwe, one osiadły na mózgach i dokazują bezkarnie, strojąc igraszki tak miłe i niewinne, że ich nikt spłoszyć nie usiłuje. Dotknięte niemi osoby wyglądają zabawnie, trochę nawet śmiesznie, ale nie ekliwie, nie bezrozumnie, nie wyrodnie. Czas je łatwo wyleczy; bo dworactwo, moda i czułościowość wkroczyły w granice rycerstwa, więc trafiły na grunt, który zwykł inne wydawać plony. Wszak wstęp do trzeciego aktu, na poły jasny i smętny, jakoby powstać wieszczby, zwróconej w przeszłość, wskazuje rytmem poloneza nieco osłabionym, że nie umarła cnota, którą czas przyemił i złożył w skarbcu. Wieszczbę Chorążego precudnie śpiewają wiolonczyle. Głęboka dobroć, zaklęta w dźwiękach dramatu, czy się wyczerpie, czy straci z czasem moc oddziaływania? Chyba, gdy jej źródło wyschnie w sercach słuchaczy.

Wspomniałem o łączniku sympatycznym, który twórcę „Hrabiny“ ciągnął, jeszcze podczas święceń berlińskich, ku twórcy „Don Żuana“. Tu zaznaczyć śpieszę, że łącznik ów, jeśli zbliżał później dwu mistrzów usamodzielnionych, to już względnie, zaledwie od stopnia do stopnia na jednej linii rozwoju. Mozart nie zdobył by się na „Halke“, ani na „Widma“, ani na „Sonety“. Jego optymizm miły, pełen słodczy naturalnej, technie naiwnością niemal dziecięcą. Głębokim on nie był nigdy, bo nie znał siebie, nie znał też ludzi. Dla wszystkich jednak życzliwy, on nie wiedział jaką mu do rąk wiać przystoi lirę: niemiecką, francuską czy włoską. Lecz dość oceny. Tych kilku słów chyba wystarczy, ażeby czytelnik zrozumiał, lepiej niż dotąd, czem była dobroć naszego pieśniarza.

II.

W dziedzinie sztuki zapanowała anarchia widoczna, nie mniej smutna niż ta, jaką spostrzegamy wśród ruchów cywilizacji starzejącej, zwyrodniałej. To też trybunały wiedzy, zajęte sprawami prawdy, tracą spokój, powagę i jedność sądu, gdy chodzi o działalność pięknotwórczą. Jaki objawom zbytku przystoi dać kącik w sferze determinizmu? Czem jest właściwie uwodzicielka, zwana sztuką? Tradycja szepce, że jej niegdyś stawiano świątynie, że ona uszczęśliwia i uzacnia ludzkość, że przedstawia ideał harmonii powszechnej, że jest długą, nieskończoną, nieśmiertelną. Określenia wzniosłe, przyjęte przez umysł, czemuż rozbrzmiewają w znaczeniu ogólników, niby oddźwięki z przeszłości, które uszanować należy bez rozbioru, ze stanowiska metafizyki? Nauka, zmuszona sprawy wszelakie poddawać analizie, przeczy i na półko, wyznaczone dla poetów, muzyków, malarzy, nie bez szyderczych spogląda uśmiechów. Uprzedzona, że sztuka ma sama sobie być celem, że jest tylko grą sił zbytkujących, niepotrzebnych do utrzymania życia, nauka widzi tu grono chłopiąt swawolnych, rozigranych swobodnie, bez dozoru, bez hamulca. Któż atoli tej rozpusty winnym być może, jeśli nie ciż sami przedstawiciele wiedzy, którzy nie chcieli widzieć, że życie samo jest sztuką? Istotę piękna wyłączono, jako kategorię osobną, nie mającą

nie wspólnego z innemi — dobra i prawdy. Wszak mędracy nowocześni utrzymują, że moce charakteru, synteza uczuć, rozumu i woli, zgola ludzkość w człowieku, zrównoważona praca, nie stanowi artysty, nie wydaje gracza w dziedzinie fantazyi. Wszak ów gracz ma być specjalistą od wzruszeń i zabawy, więc poniekąd osobnikiem chorym, jak kwiat wśród liści, ma być przedstawicielem nadezłości rzutkim, kapryśnym i wciąż oryginalnym. W pohulance któż mu przeszkadzać ze chce, skoro on mocen jest oddalić na chwilę ciężary żywota i dać miarkę zadowoleń bezinteresownych, samolubnie pożądanym? Otóż istota błędu tkwi w psychologicznym określeniu władztwa. Pięknótwórca ma posiadać swobodę fantazyi, ma czarować, nie troszcząc się wiele o zależność swej dźwigni od rozumu i woli, od czynników poważnych, które studzą ogień i tamują rozpęd odpływu. Ale fantazyja sama nie zdoła czynić syntetycznie. Skora do igraszek i podskoków, ona strzela na oślep, puszcza ogniki błędne i dymy różnobarwne, nie dba o rytmy i symetrye, więc płodzi zamęt iskier, istne wśród nocy okazy pyrotechniki błyskotliwej. Stąd dziwaczenie. Dzieła, poczęte przez fantazyję wyłączoną, ukrywają słabość geniuszu, nieuctwo, stek przesądów, dążność do działalności cudotwórczej, zgola ciemnotę mistyczną, bądź niezgłębione darów wynalazczych zuchwalstwo. Nie dość jej zbyt kować pod osłoną symbolizmu i hyperbolizmu, przesadzać w alegoryi i baśni; ona swym płodom nadaje chętnie miano własne, zwąc fantazyami dziwolągi osobliwe, najmniej podlegające prawom myślenia.

Rozważmy jej wartość ze stanowiska praktyki. Że igraszki fantazyi są wynikiem słabości, że ona służy za płaszczyk wygodny dla niedołęstwa, nieuctwa i lenistwa, to prawda ogólna. Lecz przez alegoryę tworzą częstokroć mistrze rzetelni; symbolizm nie jedną osłonił prawdę głęboką. Gdy bowiem tej dać wyraz jasny i prosty zabrania polityka artysty, wzgląd na przesady i drażliwość uczestnika, wtedy on w pomoc wzywa władzę lotną, by dotknąć opornych za pośrednictwem mistyfikacyi. Dotknięcie łagodne nie wyklucza akcji potężnej i skutków zamierzonych. Jeśli z powodu „Balladyny” lub „Lilli Wenedy” o żadnej polityce mowy być nie może, jeśli igraszki, jak „Flet zaczarowany”, „Oberon” i wiele podobnych, świadczą ujemnie o kompozytorach, to już w „Śnie nocy le-

tniej” Shakespeare’owska przeziara ciętość satyry, zaś w legendach Wagnera widnieje przeczyste oblicze etyki niemieckiej. Sofokles przedstawił zagadkowo pożegnanie, wieszczbę i śmierć Edypa, ponieważ nie chciał objawem silnej woli i zwrotem humanitarnym obruszyć ciemnoty Tebańskiej, dość jeszcze żywej i możnej wśród Aten odrodzonych. Toć arabeski powstały za przyczyną teokracji, która postaci ludzkie wyobrażać zabroniła. A ileż zakazów podobnych sztuka omija za pośrednictwem fantazyi, ilu wymaganiom przesadnym zadość czyni mocą hyperbolizmu! Bądź co bądź, mistrzowanie takie usprawiedliwionem być może jedynie koniecznością uroku tudzież potrzeby przyćmień wobec zmysłów, które nie łatwo znoszą blask słońca i rytm porządku, a wzniosłość rade są imać romantycznie, przez pewien nieład w przedstawieniu. Chcąc ściśłość syntezy oddalić w imię nadzwyczajności, wprost przez zamiłowanie potęg dla nichże samych, trzeba być odstępca zuchwałym.

Otóż Moniuszko, zawsze szczery, pełen treści i prawdomówny, nie potrzebując omijać zakazów i kwoli potęgowaniu pokrywać swej logiki pianką nielogiczności, okazywał wstręt do wybryków fantazyi. Stąd przedziwna prostota, jasność i zwiększość stylu. Ani jeden wystrzał bezcelowy nie szpeci jego muzyki płynnej i śpiewnej, potężnej wyrazem jedności i natchnienia; ani jednym domyślnikiem mistrz nie kłopotuje uwagi, nie zakłóca pożądanego w uczestnictwie porządku. Mocen w swych utworach zachować trzeźwość spostrzegacza i psychologa, unikać przesady i nie wychodzić poza granice poprawności estetycznej, on nas zajmuje muzyką tej poezyi polskiej, którą cenimy najbardziej z powodu charakterystyki wręcz narodowej, oryginalnej, żadną nieoszczędzonej przymieszką pierwiastków obcych. Twórca „Flisa” nie stanąłby nigdy na poziomie muzyki podkasanej a beziecnie śmiesznej, co płodzi farsy i operetki. Moniuszce w pieśni przewodniczy poczet poetów wybranych, równie szczerych i wzniosłych, prawomyślnych, oryginalnych i wytwornych jak on. Mickiewicz stoi tuż przy nim, najbliżej, jako człowiek-mistrz, zdolny w głąb jaźni narodowej zapuszczać orli wzrok serca. Lecz strun do wieszczby prometeuszowej nasz pieśniarz użyć nie próbował. Nie wiem, ażali zdołał by on kiedy wyśpiewać „Ode do młodości” lub muzycznie odtworzyć „Improwizacyę Konrada”. Natomiast arcydzieło w stylu opisowym, tak pełne życia jak „Pan Tadeusz”,

pociągało go urokiem rzeczywistości, zniewalając do bezwiednych uwłaszczeń co do nastroju i postaciowania. Hrabia Horeszko z hrabiną wdową mogliby ustanowić stadło stylowo modne. Dzidzi z Telimeną — to również para dobrana, jak sądzić wolno z uwagi na odcień i gatunek. A Bronia czyż nie podobna do Zosi, Kazimierz czyż nie przypomina Tadeusza? Biesiadnicy w Soplicowie: Sędzia, Podkomorzy, Wojski, Protazy, Klucznik — to, rzec można, bezwiednie wzięte pierwowzory typów tak sympatycznych, jak Stolnik, Chorąży, Miecznik, Maciej, Skołuba, pan Marcin i Serwacy.

Opera bez uprzedniej osnowy poetyckiej powstać nie może. Tę osnowę kompozytor zawdzięcza zwykle współpracownikowi, zwanemu *librecistą*. Lecz jakże sobie radził Moniuszko, nie skory do posłuszeństwa względem pomysłów obcych? Czy mu służyła jedynie wolność wyboru, mniej co do przedmiotu, niż co do rzeczy gotowej, jak to weszło w praktykę z powodu nieuctwa i niedoświadczenia muzyków? Wagner łączył w sobie dwu mistrzów: poecie dźwięków podawał osnowę skończoną, pięknie na tle teutonizmu opracowaną, poeta słów. Był tedy twórca „Nibelungów” rzeczywistym przedstawicielem etyki narodowej, wspartej na cennych, lecz rozbieżnych podaniach „Pieśni”. Twórca „Halki” nie władał wierszem. Na karcie tytułowej czytamy nazwisko współpracownika. Jakaż więc część chwały zasłużonej przypada Wolskiemu? Czem się on następnie przyczynił do powodzenia „Hrabiny”? A za „Straszny Dwór” i „Verbum nobile” ileż z wieńca uszczknięto listków, by obdarzyć Chęcińskiego? Nazwiska librecistów, jak Metastasio, Quinault i Scribe, zapisane zostały na kartach historii. Byli to współpracownicy rzetelni, znawcy prozody poetyckiej i figuryczności śpiewnej, baczni na piękność całokształtu, gdzie nie wszystko, co wyraża poezja, może być wyrażone przez muzykę. Czemż we współpracownictwie z Mozartem zmalał Da Ponte, jak wobec mistrza zwykł maleńko wyglądać pomocnik lub zbieracz usług? On geniuszowi przyniósł rzecz, wyjętą z zabytków literatury hiszpańskiej. Stąd powstał „Don Żuan”, ów wspaniały, który olśnił Byrona pięknnością syntezy całkowitej, nie zaś wyłącznie dźwięcznej. Mozart, poeta wykształcony, rządził tu prawem samodzielności niemal zupełnej. Podobnie na wyżynę prawdy prowadził muzykę Gluck. Śpiewający Bellini zmuszał uporczywie Romani’ego do popra-

wek w tekście, dopóki dla swej liry nie znalazł oparcia bez zarzutu. Więc nie jednakie stosunki łączą kompozytorów z dostarczycielami podkładów. Gdy Metastasio dogadzał italiani-zmowi wyłącznie w sprawie architektoniki muzycznej, to już Quinault mógł nieuctwu Lulli’ego przyjść z pomocą wyższą w sprawie reformy. Scribe, rad Auber’owi wskazywać na budowę sceny, pracował inaczej pod zwierzchnią wolą takiego dramaturga jak Meyerbeer. Wolski i Chęciński, znani zaszczytnie w literaturze, zasłużyli niewątpliwie na szczerą wdzięczność Moniuszki, a więc i na pamięć historii. Bez wyraźnej przecieź woli mistrza, bez porozumień, utrzymanych w granicach przewagi pięknotwórczej, nie powstałyby arcydzieła muzyki: „Halka” i „Hrabina”, „Straszny Dwór” i „Verbum nobile”.

Na czem-że, wobec tekstów ładnych i oryginalnych, polega genialna pana Stanisława samodzielność? Rozprawa o stosunku muzyki do poezji, zarówno pod względem formy jak treści, zaprowadziła by nas zbyt daleko poza granice przedmiotu. Poprzestańmy na krótkim określeniu, zmierzając wprost do odpowiedzi na postawione pytanie.

Umysłem badawczym nie tajną jest różnica czasowania, jaka zachodzi pomiędzy mową zwyczajną a deklamacją. Ruch w drugiej jest powolniejszy i bardziej ciągły niż w pierwszej, co pochodzi stąd, że załatwianie potrzeb towarzyskich za pośrednictwem rozmowy postępuje lekko, automatycznie, bez większej troski o formę, któraby tamowała szybkość i łatwą wymianę zdań. Myśli, powstając ze zbliżeń, poduszczeń i starć codziennych, mkną jak błyskawice, to nikną w przestworzu, to się krzyżują, to węzłowatym igrają korowodem, a zawsze kwoli jedynej celowości, jaką stanowią ma łącznik samorzutny. Lecz nieład ustaje, ilekroć na umysł podziała moc uczucia mniej zwykła, mniej codzienna. Niech cię tylko wzruszy światło sympatyczne, niech we wnętrzu twem powstanie pełnia oraz gotowość wezbranej do odpływu, a wnet przybędzie dar twórczy, jakoby pośrednik uprzejmy, zdolny rytmicznie powstrzymywać tłoczące się słowa i wyrazy. Znaki te cechować ma wybór. Ich wartość ujawnisz za pośrednictwem nacisków rozlicznie ustopniowanych, dając dźwiękom czasowanie wymierne i bacząc, by nie miały jako puste i znikome. Wszak każdy wyraz ma posiadać odpowiednią w układzie powagę i siłę, każdemu przypada rola żywa, mniej lub więcej w ca-

łokształcie wydatna. Więc nie dopuścisz zamętu tam, gdzie na wyżynę prawdy pięknej sztuka prowadzi za pośrednictwem potęg wszelakich: barw i odcieni, nacisków i skrótów, przenosi i figur, okresów i podziałów. Wszak w deklamacji spoczynki nawet mówią dużo, ponieważ, zatrzymując uwagę w kierunku wstecznym, przygotowują słuchacza do wrażeń nowych. Proza pospolita, że ma łożysko płytke, bieży tem lotniej, im mniej spotyka zawał ze strony świadomości i uwagi; poezya, że wyraża wezbranie uczuć i pogłębienie myśli, woła, w obawie rozbiegania fantazyi, o więź i cugle.

Otóż, podobne co do czasowania różnice znajdujemy pomiędzy ruchem mowy wiązanej a ruchem melodyi. Chór sylabiczny, jeśli dziś używanym bywa, to jedynie w operach bohaterkich i w nabożeństwie, o ile przypominać ma charakterystykę starożytności, lub wynika z zabiegów kościoła o utrzymanie tradycji. Melopeę muzyka już nie jest. Jej dźwięki, jej ruchy dawno uniezależnionemi zostały; jej niewola w stosunku do prozodyjnej miary wiersza, obowiązującej kiedyś głosowanie pieśniarzy, nie istnieje. Wyzwolenie to zawdzięcza ona egzaltacji chrześcijańskiej, dla której formuły greckie były za ciężkie, za ciasne, skoro nie sprzyjały romantycznemu wzlotom ku Niebu. Toć wzniosłe hymny powstały z nutek dodatkowych, niby z ognistych płomyków, wystrzelających w górę z kruchej podstawy, jaką dawała zgłoska. Pod *melismaty* podkładano słowa. I oto pierwszy przykład intuicji wprost liryecznej, narzucającej poecie swą autonomię pod względem natchnienia. Wyzwalając się, muzyka jęła dla śpiewu wypracowywać dźwięki własne, wielce złożone a spowodowane zwrotem sztuki pod hasłem dramaturgii: różnaitość rytmów, podstawę harmoniczną, symfonię, jedność taktu i symetrię. Dźwięki te w poezji nowoczesnej ani być ścisłemi ani w składzie tytułów wymienionych istnieć nie mogą. Miałyby słowa wykonywać ruchy symetryczne ze szkodą powagi intelektualnej? Z paralelizmem myśli należy być ostrożnym, ażeby nie wpaść w styl biblijny. To też, co do porządku w poezji, ten dziś przedstawia miarę możliwie płynną i poprawną, jej wdzięk, różnaitość i giętkość, podziały trafne tudzież ładne następstwo zgłosek mocnych i słabych, danych językowi, a więc odstępowanie od posagowo kutej jednostajności. Rytmikę z wymaganiami uczucia i logiki potrafił godzić artystyczna zręczność.

Pomimo to, w nowoczesnej muzyce słów piękno nie polega wcale na jedności taktu. Gdyby kompozytor chciał okresy śpiewne uzależnić od formy prozodyjnej, dał by nam wizerunek raczej psalmodyi niż muzyki, uraczył by nas figurycznością zwieczną, połamaną. Wolno mu przeto poddać wiersze podziałowi iloczynowemu. Rozluźniając słowa, odejmując im spójnię formalną, zewnętrzną, on je pozbawi płynności pozornej; co jednak odjął z tej strony, to wynagrodzi sownie, usiłując zachować harmonię idealną, zaś nie tylko zachować, lecz ukrytą uwidocznić i do potęgi podnieść.

Na tej właśnie różnicy w zakresie dźwięku polega samodzielność mistrza-pieśniarza. On podanym sobie słowom każe postępować podług muzycznych prawideł rytmiki, taktu i harmonii. Stąd czasowanie o tyle powolne i rozciągnięte, o ile złożone i pogłębione. Motyw lekki i tempo szybkie nie stanowią wyjątku. Pieśniarz rozwijać ma swą melodię wyraziście i znamienne, opierając się na obrotach wielodźwięczności, na podstawie basowej, na akordach i modulacjach, a nawet na kolorycie symfonicznym. O ileż przeto dłużej on daną kojarznię myśli wyśpiewywa, niż poeta wymawia. Wiedząc o tem, cóż librecista do opracowania winien podać kompozytorowi? Nie wątpi, że formę poezji muzycznej, o tyle jednak skróconą, o ile on uwzględniać ma polot oryginalny i swobodę mistrza. Autor książeczki daje umówioną całość przedmiotu, podziały, plany i role, daje nawet charakterystykę i koloryty; lecz wszystko to kreśli w znaczeniu zarysów, jako pomocnik, któremu na wodzy trzymać przystoi uczucie, wyobraźnię i fantazyę. Na tę skromność poeta dźwięków rachować ma koniecznie. Uwzględniając bowiem całokształt, szczegóły i dane języka, zgola wartość zewnętrzną poematu, on głównie skierowywa uwagę na wartość wewnętrzną syntezy, którą powinien rozwijać, spotęgować i uplastycznić. Nie dziw, iż wprzód bada i zgłębia przedmiot, aż do szczegółów nieujawnionych, jako psycholog mądry, spostrzegawczy i przenikliwy, nim zacząć śpiewać i swych potęg zażywać. Wolno mu wtedy postępować swobodnie i zamorzutnie, jakkolwiek ostrożnie i rozsądnie. Jeżeli rozciągnie słowa, wyrazy i zdania, jeżeli nawet, zatroskany o naciski i progresję liryczną, powtórzy ułamek myśli kwoli wewnętrznym głosom prawdy, cóż na tem straci poezya? Chyba zyska, a nie mało.

Tak szerokie pole geniusz sztuki zakresił poecie dźwięków. Kto je zacieśnia, kto je wyzyskuje lekliwie lub lekko-myślnie, ten ostrzy na siebie narzędzie krytyki. Na ów bowiem obszar ona baczny uważnie, usiłując wyrzec, jak dalece kompozytor wart jest cześci lub chłosty, jest-li mistrzem poważnym, wypracowanym i myślącym, czy tylko zuchwalcem lub wprost niedołągą. Więć baczmy. Chcąc tytuł Moniuszki oznaczyć i usprawiedliwić, przytoczę jego natchnień chwile ciekawe, oraz pomysłowości okazy najbardziej znamienne. Podziwimy tu silną wolę, rozum i głębię człowieka, który przełamywał trudności olbrzymie i nie wahał się pominąć przepisu drobnozgowego, bodaj wykroczyć przeciw formalizmowi, byle dać prawdziwe świadectwo wymowne.

Proszę zauważyć śpiew Jontka: „Szumią jodły“... Co tu mówi muzyka? Jaki ujawnia stan duszy, jak rozwija wezbranie uczucia i jakim wzrusza nas procesem psychicznym? Wszak tekst marny i ubogi zaledwie słabą abstrakcją znaków wskazuje na wewnętrzną moc żalu. Lecz mistrz śpiewa. W niezbyt szerokich ramach monologu zawarł on nieledwie wszystko, co znamionuje położenie podmiotowe górala zakochanego: jego szlachetny charakter, głęboki ból i smutek, zwrot jasny wspomnień do lat bezchmurnych i tem większe zwątpienie wobec nieszczęścia, zawarł tedy historię miłości przedziwnie pięknej, bo silnej i stałej, czystej i prawdziwej. Nie na tem jednak chcę głównie zatrzymać uwagę. Chodzi mi o szczegół doniosły, o błąd rzekomy, wytknięty przez krytykę, a zdolny o samodzielności kompozytora zaświadczyć statycznie. Gdy Jontek wygłasza słowa: „Moja Halko, ty jedyna dziewczyno moja“ — dlaczego kaleczy język, uderzając, niby pięścią w stół, na zgłoski ostatnie, słabe? Jakiem mianowicie prawem śmie on wymawiać „dziēwczynō mōjā“ zamiast „dziēwczynō mōjā“? Z zarzutem krytyka przycichła. Ktoś ją uspokoił, tłumacząc błąd zwyczajem, jaki odznacza mowę podhalań. Więć chłostę schowano, bo sprawiedliwość orzekła, że mistrz chciał w danej chwili uwzględnić gwarę ludową. Tłómaczenie słuszne. Czy jednak dość oględne i prawowite — rzecz inna. Co mogło skłonić Moniuszkę do wykroczenia w tej wyłącznie chwili monologu? Dlaczego, uwzględniając nawyk nie dał mu skali szerokiej, zupełnej? Wszak poprawność języka zachował on we wszystkich wystąpieniach górali, co

uczynić nakazywał mu obowiązek pięknotwórcy, dbałego bardziej o wybór rysów niż o drobiazgi.

Nim zamiar pieśniarza z innej przedstawię strony, przypomnę wprzód, że nie on właściwie wynalazcą jest wykroczeń przeciw formalizmowi. Pomijając Beethovena, weźmy, jako przykład, chwilę z „Ifigenii“ Glucka. Agamemnon, poduszczony przez ambicję, uczynił ślub nierozważny. Przyrzekł on bogom, że na ofiarę poświęci córkę, gdyby ofiar wymagała opieka nad wyprawą. Zuchwalec waleczny rachował oczywiście na powodzenie. Wojownicy tymczasem, rozjątrzeni długim wśród drogi spoczynkiem, napierają o spełnienie ślubu, albowiem wiatr przeciwny uniemożliwia żeglugę i gotowych do boju ubezwładnia. Chór cierpki, sylabiczny rozbrzmiewa groźnie i nagli. Co począć, by gniewne i objat chciwe dało się przebłagać bóstwo? Król królów miałżeby dziecię drogie życia pozbawić? Tak doradza demon samolubstwa i pychy. Lecz ojciec, odkąd mu Ifigenię chcą wydrzeć, kocha ją silniej niż kiedykolwiek. On nie chce być katem bez cześci i serca. Stąd położenie wielce tragiczne. Agamemnon daje odpowiedź odporną: „Ja nie usłucham rozkazu tak nieludzkiego!“ Otóż śpiewak ma na pierwszej zgłosce, na francuskim *je* utrzymać nutę mocną, ma spełnić gwałt prozodyjny, surowo karcony przez geniusz języka. Błąd wszelako pozostał i nie bez racji. Słuchacze bowiem, wzruszeni do głębi, przyznali śpiesznie, że Agamemnon był w tej chwili bohaterem istotnym, człowiekiem dzielnym, osobą, w której wnętrzu miłość i ludzkość zapanały nad ciemnotą i przesądem. Wykrzyknik *ja*, o ile silny i przeciągły, samorzutny i stanowczy, czyż nie znamionuje woli niezłomnej, duszy szlachetnej? Eschylos poucza, że wielki wódz zaprzeczył sobie, że samolub pokonał w nim ojca. Tak. Że jednak w epoce junaictwa nie brakło pierwiastków dobra, o tem powinien był pamiętać poeta samodzielny i wszechstronny, tyle baczny na powagę prawdy co Gluck.

Przejdźmy do „Halki“. Opera ta nie jest klasyczną; bohaterem miłości prostej i szczerzej jest mieszkaniec gór, urodzony poeta, rozkochany we wspaniałych pięknościach natury, zatem nieujarzmiony przez fatalizm i nie skory do czynów kwoli pobudkom ze strony żądz. Tem prawowiciej przeto wyraża Jontek siłę swej jaźni. On kocha Halkę dawno, całem jestestwem i stale. To *jego* dziewczyna, *jego* jedyna, nie zaś

panicza, który łatwowierną uwiódł i biednemu skarb haniebnie wydarł. Prawo do niej on odczuwa sercem zranionem i dlatego, śpiewając „moja Halko“, wybucha żalem ogromnym, kojarznią zobopólnej urazy, skargi i protestu; naciskając zaś ostatnie w „dziewczyno moja“ zgłoski, dogadza rozpędowi głosu podniesionego, a tem samem potrzebie wynurzeń ostrych, bolesnych, nie cierpiących jarzma ani namysłu. Pierś wezbrana, rytm serca nadmierny, obieg krwi szybki i gorączka nerwów — wszak to stan muzyki wewnętrznej, której odpływ tamowanym być nie może. Jakże by pieśń skłamała brzydko, gdyby kompozytor baczył na przepis prozody! Wykrzykniki stłumione przedstawiły by nam postać bladą i lękliwą, nie zaś bohatera, co umie o swe prawo walczyć odważnie. A takim właśnie chciał go mistrz naszej polecić uwadze. Nie dość wyrzutu. Niech Jontek dwa razy uderzy na zgłoski słabe; niech zaimkiem stwierdzi mocniej to, co już raz stwierdził. Lecz cóż oznacza powtórzenie całego okresu, od słów „Moja Halko?“ Zbolały góral przeczuwa, że wyrządzonej krzywdy nikt nie naprawi. Dlatego, acz te same wymawia słowa miłości prawowitej, to już słabiej, z wyrazem zwątpienia, zaś głosem opadającym, przeciągłym i nieco złamanym. Tak prawdę pojmował pieśniarz-psycholog; tak potęgą muzyki dawał przewagę genialny serc znawca.

Co może być przyczyną, że dwa chóry — śpiewany przez towarzyszy w prologu do „Strasznego Dworu“, oraz inny, wygłoszony przez lud dziękczynny we „Flisie“ — unoszą słuchaczy poza granice zadowolenia błahych? Tam radość uczestników bezbrzeżna, tu ich wzniosłe westchnienia i serce muzyka niebiańska. Zdaje się, jakoby ogień przeczysty przenikał wskrós powłoki cielesne i płodził niezwykle nadmiar życia. Toć przyczyną nie co innego, tylko płomienne ognisko mistrza, który swych potęg umie używać dzielnie, poetycznie i rozumnie. Mocny w dziedzinie rytmów i nacisków, harmonii i czasowania, on śpiewa, a geniusz baczy, by dźwięki liry nie rozbrzmiewały ubogo i jednostajnie, by pieśń posiadała wartość obrazu i połączyła dynamiczny wyraz uczucia z plastyką ruchu, z opisem stanów wewnętrznych. Towarzysze śpiewają, jak rycerzom polskim śpiewać przystoi — zgodnie, uroczyście i całą pełnią głosów. Ich rytm znamionuje odwagę i męstwo nieustraszone. Stefan i Zbigniew mają, jak wszyscy,

opuścić chorągiew i wrócić na zagon. Lecz bracia, przed rozpęką, ślubując dozgonną wierność broni, którą zabezpieczyć ma stan bezżenny. Na to ślubowanie mistrz uderza olbrzymią potęgą harmonii. Słowa: „Wiwat semper wolny stan“, wytrzymane przeciągle, promieniają w akordzie, który składem swym obwieszcza panowanie myśli szlachetnej i na całość kompozycji rzuca światło ogromne. Chór flisaków — to harmonia prostoty, wdzięczności i wiary w miłosierdzie Boże. Ona płynie spokojnie, równo, bez rozlewu, jak dusza ludu, który umie cierpieć pokryjomu i znosić krzywdy po ciemku. Lecz wdzięcznym on również być umie. Niech tylko wiara dobra zwolni więzy i pochylone podniesie czoła. Zauważmy jak flisacy, dziękując za powrót szczęśliwy, podnoszą głosy przed majestatem wielkim, przed Ojcem jedynym, który ich do dom prowadził przez toń, ochronił chaty i dał oglądać mienie drogie. „Boś Ty wielki tylko sam!“ Tu harmonia wzbiera, rośnie i pełnieje, zwiastując chwałę Niebios, a gdy już melodyę przewodnią dość długo na wyższych przeciągnęła stopniach, tworzy akord rozległy, silny a minorowy, niby stacyę wzniosłości, ponieważ chór ma odtąd opiewać już nie wielkość majestatu, lecz pokorne, nieco trwożne i stłumione, acz serdeczne biedaków podzięk. Modlitwę kończy zwrot do spokojnej i pogodnej prostoty. Tu nie znajdziesz gry fikcyjnej, oderwanej; tu swą powagę roztacza synteza psychologiczna.

Zamiar wyśpiewania „Sonetów“ nie powstałby w myśli Moniuszki, gdyby pierwotwórca nie był tyle co on poetą, muzykiem, malarzem i syntetycznie myślącym psychologiem. Młodzieńczy Adam bawił w Krymie i piękność rzeczy oglądał podmiotowym wzrokiem historyzofa i przyrodnika. Stąd wartość wyśpiewanych przezeń obrazków, gdzie nie wiesz co byś miał najwięcej ważyć — muzykę myśli czy też rysunek, koloryt i barwy czy też złożoną moc zestawień i porównań. Wszystko to Stanisław zważył na szali geniuszu, dzierżąc szalę prawdy ręką sztukmistrza. Proszę zauważyć jak on swych potęg użył w dwu Sonetach najpodnioslejszych, najbardziej dla muzyki trudnych — w „Ciszy morskiej“ i w „Bakeczesaraju“.

Ażeby w tej sprawie dopomódz skutecznie, muszę przynajmniej pierwszy przepisać dosłownie.

„Już wstażkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie;
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda:
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć i wnet znowu uśnie.

Żagle, naksztalt chorągwi gdy wojnę skończono,
Drżem na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytechnął, podróżne rozśmiało się grono.

O morze! pośród twoich wesołych żyjatek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długimi wywija ramiony;

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony“.

Tłem ogólnem obrazka — znieruchomienie, cisza pogodna, niby sen natury, która żywiołowi groźnemu pozwala załogę unosić spokojnie, bacząc, by fale kołysały statek lekko i pieszczotliwie kwoli strudzonym żeglarzom. Natura śpi i marzy rozkosznie. Niechajże ruch myśli ludzkiej będzie również senny i uroczy; niech poeta, głęboko zadumany, zaostrzy wzrok swój, sięgnie w otchłań i opowie światu co widział w dziedzinie tajemnic współrzędnych. Kołysanka na tle, gdzie wszystko śpi i marzy, gdzie tylko myśl zgłębia i porównywa dwie tonie wręcz niewidzialne, wszak to dla muzyki zbyt mało, ażeby ona mogła uniknąć szkopułu i nie wpaść w bezmiar statyki. Że jej rozbrzmiewać przystoi nie inaczej, tylko cicho, rozległe i spokojnie, bez różnic wyraźnych w ruchu i postaciowaniu, o tem kompozytora uprzedził poeta. Czyż przeto statyczna równowaga sił w sztuce, podobnie jak w życiu, nie nam objawić nie zdoła? To zależy od podmiotu, a więc rzekomo od treści, którą przed zmysłami ukrywa powłoka nie dość zmienna, plastyczna i wyrazista. Przecież wśród cichy morskiej, wziętej za tło przez poetę, spoczywają, a nie bez poruszeń, okazy i czynniki możne: kadłub okrętu, majtkowie, grono podróżnych i sam spostrzegacz. Od harmonisty tedy zależy moc jaźni, która mu pozwoli zająć stanowisko pierwotwórcy i odtworzyć obraz treściwie a pięknie, zgodnie z prawdą a nie jednostajnie.

Idąc za wskazówką myśli, mistrz dźwięków postanowił całość Sonetu w dwu wyłożyć częściach kompozycji, nie za-

pominając o zakończeniu. Częścią pierwszą objął on dwa czterowersze opisu, zaś drugą dwa trójwersze przeważnie liryczne, jako natchnienie z rodzaju widzeń, porównań i wynurzeń wieszczych.

Więc muzyka najprzód podziwić nam każe urok cichy niezwyklej, o tyle wspaniałej, o ile rozległej. Harmonia też, na bardzo szerokiej rozpięta skali, strzeże się zstępować w środek, wkraczać w granice ścisłości, określać, wykonywać zbyt dosadne obrotu i zmiany toniczne. Raczej prosta niż złożona, niby zakłęta czarem, dźwięgnia ta ma zakreślać przestrzeń, dawać wrażenie obszaru, nie zaś czasu. Nie dziw, że i melodia, wsparta na basach niskich a znieruchomionych, postępuje sennie, leniwie, a jeśli marzy śpiwnie, to chyba pod postacią figur nikłych, pierzechliwych, ledwie słabą związanych nicią porządku. To rozległe muzyki *pianissimo* mistrz powtarza, atoli nie bez zmiany w rysunku melodyjnym, skoro słowa: „Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda“ wypadało zaśpiewać wymowniej, czyniąc zadość piękności porównania. Otóż, gdyby nie to porównanie, sprawa rytmiczności ugrzęzła by w opisie niechybnie, jak pojęcie ruchu w pojęciu statyki przedmiotowej. Lecz mistrz nie omieszkiał skorzystać z potrącenia o podmiot. On wiedział, że zjawiska natury kształtnieją przez utajoną w człowieku muzykę organiczną; że zatem, jeśli poeta cichą grę wody zestawia z grą łona podczas snu marzącej o szczęściu narzeczonej, to nie bez racji. Należy mieć wyobrażenie o rytmie, jaki w danym wypadku wyróżniałby działalność mieszków ludzkich. Oczywiście spokojny, przeciągły, przeważnie trójdzielny, o ile czas wetchnień trwa nieco dłużej niż czas wytechnień. Należy też pamiętać o wpływie serca i nerwu sympatycznego. Kompozytor znać wiedział i pamiętał, skoro porządek części pierwszej utrzymał w takcie złożonym, dwoiście trójdzielnym. Czasując lekko polifonię głosów, on rytm przyjęty uwydatnił znamienne w przestankach symfonicznych. Czyż ci się wtedy nie zdaje, że istotnie „cichemi gra piersiami rozjaśniona woda, jak marząca o szczęściu narzeczona młoda?“ Odprawmy dalszy ciąg opisu wzmianką, pouczającą, że bardziej ożywioną postać przedmiotowości muzyka uposażyła dobozem potęg odpowiednich.

Wyśpiewanie części drugiej komuż mistrz poruczy? Ażaliż masie zbiorowej? Wszak tu wieszcz występuje. Nie dziw,

że ku estradzie słuch wyteżamy, by wiedzieć, jak jego na-
tehnienie wyłoży liryczny głos śpiewaka. On poprzestaje na
deklamacyi śpiewnej, którą odznacza taktem wielce powolnym
i uroczystym, pełnym i równym — taktem wieszczów. Jedy-
nie w chwilach, gdy poeta wskazuje na ruchy polipa i mówi
o hydrze pamiętek, głos wpada na stopień wysoki, by tem
namiętniej określić złe losy i burze ludzkie. Wykrzyniki do
morza i do myśli dają symetryę, ale nie równoległą. Ten,
do myśli, poważny jest i stłumiony, więc stosunkowo niski;
tamten, do morza, bardziej otwartym i mocnym, a zatem wy-
żej umieszczonym być winien. Za tą różnicą w położeniu
wykrzykników postępuje widzenie całe.

W zakończeniu kompozytor wraca do dwu czterowierszy
opisowych. Tego wymagała architektoniczna całość poematu.
Ale Moniuszko nie nużył słuchaczy nigdy lenistwem lub bra-
kiem pomysłowości. Artysta płodny powtarzać się nie zwykł.
To też kojarznię rozłożoną on tu zespolił i dał nam podzi-
wić przepiękną formę niby rozmowy, jaką z żywiołami pro-
wadzą czynniki uczłowieczone i organiczne — okręt i żagle,
majtek i grono podróżnych. Motywy te same; że jednak wy-
twornie na kształt dyalogu w udzielną całość ujęte, dlatego
podnoszą wartość sonetu do znaczenia sceny udratyzowanej.

Jeśli na koloryt do „Ciszy morskiej“ posłużył tryb ma-
jorowy, ów przewodnik zmysłu, co uprzedza o wnętrzu spo-
kojnym, pełnem otuchy i dobrej wiary, to na koloryt do
„Bakczesaraju“ wypadło wziąć rodzinę trybu minorowego, to
jest skalę złamaną, rozprężoną, której harmonia zwiastuje
rozstrój wewnętrzny, smutek, żal, aż do tragicznych odmian
grozy, a także przebieg walki i stan woli protestującej. Ta
gama wyrodna jakież mogła by tu mieć zastosowanie. Pój-
dźmy za myślą, uczuciem i wyobraźnią poety. On stoi przed
opustoszałą siedzibą Girajów. Stoi i, patrząc wzrokiem huma-
nisty, ubolewa nad poniewierką godności ludzkiej. Siedziba
wielka i świetna, zamieszkała dawniej przez Władzę, czemuż
dziś przedstawia smutny obraz zniszczenia? Sofy i trony —
schronienia potęgi i miłości — dziś przeskakuje szarańcza,
obwija gadzina. Na głucho ściany i sklepienia — na dzieło rąk
ludzkich — wspiera się powój. Wszędzie upadek i szafu zwy-
cięskiego groza straszliwa. Więc to „Ruina!“ Tak zgłoskami
Baltazara pisze moc przyrody, zajmując w posiadanie to, co

stworzył geniusz człowieka. Tu jaśniały obyczaje azyatyckie.
Oneż to zmiotły Władzę mozną, jak zgniliznę, jak łachman?
Poeta wspomina o czołach baszów, o wstrętnem służalstwie;
widzi też naczynie z marmuru, dotąd całe i sączące wodę,
niby świadek załzawiony. To fontanna haremu, co przez pu-
stynię woła: „Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało! Wy-
macie trwać na wieki, źródło szybko płynie. O hańbo! wy-
ście przeszły, a źródło zostało!“ Czyż na wołanie to niema
odpowiedzi? Echo pustynne powtarza i odbija smutki, ale nie
odpowiada. A jednak poeta zaznaczył wyraźnie, że sprawcą
znicestwienia był najsroższy wróg człowieka — duch despo-
tyzmu, samolubstwa i pychy, zbytków i rozkoszy. Tu królo-
wała miłość brudna, zmysłowa, nie zaś cześć ludzką promienna.
Więc Ruina! więc Hańba! Niech o tem głosi pustkowie, by
wobec fatalizmu wstyd ogarnął pokolenia młode, by przemoc
nie ujarzmiła rozumu.

Ten sonet żałosny, jakoby tren zbolełego serca, któż
ma wygłosić? O pieśń dla śpiewaka-wirtuoza zdaje się napie-
rać nastrój liryczny. Byłby to przecież błąd ze strony kom-
pozytora, który niebacznie odjąłby osnowie wartość akcyi dra-
matycznej, sceny żywej i malowniczej. On tego błędu nie
popęlnił, albowiem zrozumiał, że, rozwijając treść za pośre-
dnictwem działaczy samych, otrzyma jej muzykę jawną, po-
tężną, wspaniałą. Głównego działacza dramaturg przewidział
mocą intuicyi. Źródło, co szybko płynie — wszak to postać
czasu, co mknie przez wieki i fatalnie w przyszłość unosi ro-
botę teraźniejszości. Ale źródło zostaje i woła. Więc sprzecz-
ność? Bynajmniej. Przecież czas nie tylko leci na skrzydłach
materii bezwiednej; owszem, trwa, by oddzielać części świa-
domości zużyte i grześć je wobec pozostającej, nieużytej.
Ona to żalem i smutkiem żegna odpadki, lecz sama zostaje,
by istnieć dalej i pisać historię wieków. Z siedziby Girajów
czas uprzątnął zgniliznę, bacząc, by wśród natury rozpano-
szonej nie zmarniał żywioł odrodzeń. Niech on wciąż wytry-
ska, niech łyzy perliste sączy, a nie bez wiary, że na gruzach
powstanie gmach nowy, może piękniejszy, może i trwalszy.

Tak rzecz pojmując, mistrz akcyę rozwinał zbiorowo,
chóralnie. Wszystkie potęgi muzyki — liryzm i opisowość,
rytmiczność, symetryę, pełnię harmonii i jedność taktu —
przejmujemy tu przez doskonałą spójnię kompozycyi, która,

opiewając smutek, wzrusza nas złowieszczą plastyką czasowania, rytmem siły niszczącej, jako też rozdźwiękiem wołania i odbijaniem słów przez jakąś opokę. Harmonię minorową i ścisłą prowadzi takt powolny i równy, jako czynnik głuchy, niby poseł konieczności nieubłaganej. On wymierza pochód przemocy, obwieszcza zwycięstwo siły bezdusznej. Na jego rytmice wsparte, głosy polifonii postępują uroczyście, jak podczas tryumfu śmierci, wszakże nie bez wezbrań lirycznych, nie bez łkań, narzekań i westchnień głębokich. Nie dziw, że tu i owdzie dają sobie folgę, by wydobyć z piersi wykrzyknik silny, złożony, pełen wszechludzkiej zgrozy. „Ruina!” — wołają, tworząc akord rozdarty, rozdźwięczny. I oto echo wnet im oddaje co wpadło w przestwór, powtarzając niewyraźnie i słabo: „ruina!” Lecz rytm zniszczenia przemaga i na swobodne czasowanie żałoby nie pozwala. Stąd opór częsty. Chwil wezbrania, aż do wykrzykników mniej lub więcej silnych, wygłoszonych słownie bądź symfonicznie, liczymy kilka. One stanowią o symetrii, a jednocześnie o powadze świadomości, która, wzywając na świadka echo własne, wewnętrzne, wybuchu wciąż protestem wieszczym przeciw fatalizmowi.

Cześć dla pieśniarza polskiego nakazuje ujawnić szczegół doniosły. Poeta dźwięków nie poniżał swej techniki służbą w naturalizmie. On wiedział, że pomiędzy wrażeniami, jakie człowiek odbiera z otoczenia, są brzydkie, surowe, niegodne jaźni wykształconej, zgoła napływy, których sztuka odbijać nie powinna, jeśli pięknie zachować pragnie oblicze. Muzykę natury hałaśliwą i szpetną, jej głosy bezmyślne i szal ruchów bezmierny wszak porządkujemy, podnosząc zamęt od stopnia do stopnia na wyżynę wytrawności syntetycznej. To też, co do wrażeń pierwszych, sztuka brać winna nie z ich rozkładu, lecz z kojarzni psychicznej, nie z głuchej pamięci zmysłów, lecz ze skarbcza woli rozumnej. Że na piękno baczyć uczy nas dobre wychowanie, świadczą formy języka, o tyle na konarzyć realizmu wyrobione, o ile przypomnienia wstrętne usiłujemy łagodzić za pośrednictwem przenośni, omówień zręcznych i uszlachetnionej przez naukę terminologii. Dziś w muzyce nawykliśmy cenić tak zwaną koloraturę, więc łamańce głosowe, melismaty, trele i biegniki, wykonywane przesadnie, częściej pod wpływem naśladownictwa i przez słabość dla sztuczki, niż w imię charakterystyki i rodzaju. W przedstawi-

cielu powagi lirycznej podziwiamy ptasią giętkość krtani, wytrzymałość oddechu lub mechaniczną siłę wyrzutu. Zwichrzenie wszelakie nie razi nas. Zdawałoby się, że w muzyce, podobnie jak w malarstwie, szukamy nie człowieka, lecz żywiołów samych, nie mocy rozumnej, odpornej i zwycięskiej, lecz puszczy i otchłani. Poszukiwaniom sztuka czyni zadość, bo tak chce romantyczny cywilizacji nowoczesnej pesymizm. Miałażby krytyka znosić obojętnie stan chorobliwy w dziedzinie wymagań i zadowoleń estetycznych? Ona skwapliwie podnieść winna zasługę mistrza, który w naturze zwykł cenić jedynie tło, jako widnokrag istoty czynnej, zdolnej na obszarze upodwładnionym rozwinąć dramat życiowy, wyłożyć treść swoich zabiegów i walk, wyróżnić tknię pracy owocnej, wykazać dążność jaźni do panowania wśród beżjaźniowości. W jednym z Sonetów Mickiewicz odmalował „Burzę”, bacząc, by wobec strasznego popłochu spostrzegacz nie zapomniał o posłannictwie wieszcza i humanisty. Chcąc tej powadze dać świadectwo głośnie, jakże potęg muzycznych użył Moniuszko? Natura szaleje, przeraża wyciem i łoskotem, zamierza skruszyć przytułek ludzki, otwiera paszczę otchłani i na falach spiętrzonych ukazuje okropne widmo śmierci. Otóż, gdyby muzyka chciała opisać to mechanicznie, ze stanowiska spostrzeżeń i doświadczeń naturalistycznych, dałaby nam puste i bezmyślne zwichrzenie dźwięków. Lecz pieśniarz usiłuje nas wzruszyć czemś innym — burzą wewnętrzną żeglarzy, trwogą rzeszy zagrożonej, stanem myśli i uczuć, których rytm spokojny został zakłócony. Kto jednak myśli i czuje, czyż nie znajdzie ucieczki, nie poskromi szalu, nie oddali strachu i widzeń złowrogich? Poeta wierzył w moc modlitwy i odporności biernej. Jemu też zawtórzyl pieśniarz nieodstępny.

III.

Pomiędzy zasadami, jakie wyznaje estetyka nowoczesna, znajdujemy ogólnik, dotyczący jakości. Coś stworzyć nie sztuka; jak tworzyć — oto zadanie mistrza. Jego fantazji krępować nie ma wybór przedmiotu. Nie rzecz bowiem sama obchodzić winna poetę czy malarza, lecz sposób przedstawienia, dar, umiejętność, zgoła moc twórcza, która niczem co

bytuje, bodaj drobnostką błahą nie gardzi, skoro nas zainteresować potrafi za pośrednictwem gry i zestawień technicznych, akeyi, charakterystyki i wyróżnień przedmiotowych. Przeciw tak wygłoszonemu ogólnikowi któż z powodztwem wystąpi? Sąd słuszny. Zauważmy jednak jego zastosowanie w praktyce. Oceniać rzeczywistą wartość przedmiotu można dwojako: raz ze stanowiska biologii, fizyki i mechaniki, raz ze stanowiska psychosocjologii i humanizmu. Względ pierwszy pozwala do sztuki wprowadzać naturę całą, nie tylko jej wdzięki i krasę, lecz przypadkowość wszelaką, okazy szpetne, ułomne, wyrodne i dzikie, zgola fizyokraeyę fatalizmu, bodaj ujemną, byle podatną w sprawie efektów estetycznych. Moralność — fraszka. Tej pani wybrednej natura nie zna. Więc i sztukmistrz o jej prawa troszczyć się nie powinien. Dając do podziwienia typ złoicy lub zbrodniarza, jakieś kalectwo, jakiś wyciąg z mętów, on baczy, ażali dość nagromadził rysów, dość zręcznie i silnie swe postacie uzmysłowił, ażeby uczestnik zadrżał i dla prawdy nagiej zjednanym został. Po za granice takiej ambicyi jego zabieg nie wykracza. Atoli inne cechowanie rzeczy wynika z poglądu, który artystę prowadzi drogą sympatii. Przejęty wiarą w harmonię powszechną, przyznając jestestwom niższym rolę społeczną, on nie gardzi żadnym z mieszkańców ziemi, ani żyjątkiem, ani roślinką, bo w ich pracy odczuwa duszę jakoby własną, w ich rozwoju spostrzega dążność jakoby ludzką, z ich stosunków wnosi o istnieniu życzliwości, chociażby tak maluczkiej, jak męzka uprzejmość pnia względem wiotkiej łodygi wiciokrzewu. Taki artysta jest niewątpliwie arystokratą sztuki, wyznawcą etyki, mistrzem, który zrozumiał, że najdzielniejszą w oddziaływaniu potęgę twórczości stanowi pogląd moralny, szczerze podmiotowy, dobroczynny i sympatyczny.

W dziełach mistrza-fizyokraty uderza przewaga analizy zewnętrznej. System rozkładowy pozwala mu udoskonalać stronę sztuki formalną, roztaczać przepych barw i odcieni, interesować układem kompozycji i nagromadzeniem szczegółów, zdumiewać znawstwem w dziedzinie geometrii, anatomii i fizjologii, usidlać jakością wyszukaną i subtelną, posuniętą aż do granic kunsztowności wymarzonej. Jego zadaniem — nie tyle kojarzyć, ile doświadczać i badać; jego piękno polega na świadectwach zmysłu; jego prawda wynika całkowi-

cie i wyłącznie ze spostrzeżeń blizkich, z postawy wśród ciasnych granic przestrzeni i czasu. On każdy przedmiot zwykł rozkładać na części, ażeby potem, unikając siły wyższej, jednoczyć tem złudniej za pośrednictwem połączeń mechanicznych. Sztukmistrz-fizyokrata rozłożył już dawno rzecz wszelaką, nie tylko swój widnokrąg niemy i otoczenie bezduszne, lecz osobę człowieka. Biegły to fizyolog i zręczny technik, lecz myśliciel płytki i działacz podstępny. Nie dziw, że się wyczerpał prędko, że nadto, widząc zakres działalności zamkniętym, skończonym, wpadł na bezdroża naturalizmu, okaleczył wzrok swój i w brzydocie przedmiotowej jał widzieć piękno. Czytelnik odgadnie łatwo, że mówię o kierunku, nadanym sztuce przez rasę romańską.

Mądrość polska nie zdobyła się dotąd na teorię sztuki własną, oryginalną. Nie skorzy do pracy na systemat, nie dajemy myślicielom swojaczym wskazówek żadnych. Postępujemy, jak gdybyśmy chcieli wniknąć dla obczyzny otworzyć naościę. Radzili tu lub radzą hegeljaniści wymowni, to obrońcy kierunków wstecznych, jeśli nie pomysłów nowych, posuniętych aż do dziwactwa i szaleństwa; dopuszczamy, by hasło zwodnicze szerzył Taine, ów badacz i mąż nauki, co usiłował estetykę oprzeć na prawach z dziedziny przyrodoznawstwa; lecz nikt nie umiał ichmościom z Zachodu dać odprawy imieniem powagi uniezależnionej. Ogół też, pozbawion sądu i światła przewodnich, majaczy i błądzi, jak tłum dziatwy rozigranej. Wpływ bałamutny poznasz łatwo, ilekroć w towarzystwie pragniesz ułoić wskazówkę, zdolną pouczyć, że istnieje jakiś smak polski, samodzielnie wyrobiony i nie chwiejny. A jednak któżby śmiał twierdzić, że pierwiastki samodzielności estetycznej nie istnieją wcale w ojczyźnie Mickiewicza, Matejki i Moniuszki? Wskazówkę pożądaną daje nam poczet artystów szczerze polskich, nie opętanych teorią zbytku i wołających, że o potędze sztuki stanowi pogląd moralny i sympatyczny, stanowisko miłości ludzkiej i spójni społecznej. Zauważ ich psychologię, jako wyraz stosunków, zachowywanych pomiędzy jaźnią narodu a ziemią zamieszkaną. Tę polak miłuje całym jestestwem swoim, szczerze i bezinteresownie, pomimo znój i biedę, nie bacząc na dary ubogie i kolce dotkliwe. Wycieczki pouczają go, że obcokrajowiec żyje wygodniej i okazalej, że ma otoczenie wspanialsze,

widoki bardziej urocze, plony obfitsze i urzządzenia wzorowe. I owszem — niech używa, jeśli przeważnie o materyalne zabiega korzyści. Chudobę swą polak nawykł cenić przez sympatyę ludzką, przez cześć dla pracy rolnej, przez związek braterski, którego moc spoczywa na dnie prawem dziedzictwa i tradycyi niewzruszonej. Tę moc podkopywały poduszczenia napływowe, upatrując interes ogółu w interesie jednostki. Stąd popłoch i odstępstwa na powierzchni życia narodowego; postać bowiem pożytku, o ile samolubna, psuła staropolską harmonię uczuć szlachetnych i wiary dobrej. Przeciw hasłu *ko-chajmy się* jęły występować inne — zawistne *veto*, oraz głoszone na usprawiedliwienie pieniactwa i buty. Czyż przeto stanów chorobliwych nie napiętnowała samokrytyka bezstronna? Czy wyznawcom braterstwa przestał być miłym wyraz życzliwości bezinteresownej? Że patryotyzm cierpiał wciąż na suchoty po za obrębem chwały rycerskiej, że nie uwzględniał gospodarki, ładu i zabiegów ekonomicznych — szkoda to wielka. Że jednak rolnika przywiązują do ziemi pierwiastki moralne, że posiadacz włości widzi w swem otoczeniu nie warsztat martwy, nie sam materyał, lecz ima rzeczy zmysłem poety, rozmawia z macierzą, chowa i pielęgnuje jestestwa niższe, jakoby stworzony przez się światek przyjaciół i współników, stąd podścielisko drogie i zapowiedź przyszłości lepszej, stąd też korzyść dla sztuki. Związek bowiem, błogosławiony przez dobroć wrodzoną, przetrwał czasy zapędów burzliwych i dziś piękne otwiera pole dla działalności artystycznej.

Powieściopisarze polscy nie jedną „pieśnią o ziemi naszej“ zdobyli sławę. To samo rzecz można o przedstawicielach poezyi właściwej i malarstwa, którzy usiłowali poznać duszę narodu i przemówić jej stylem rzetelnym, nie zepsutym przez wpływy złowrogie. W ich dziełach spostrzeżesz łatwo tę lub ową z usterek technicznych. Chciałżebyś pominąć psychologię, lekceważyć protest przeciw nagości, mało pochwalać wzgląd społeczny i dobroczynny? W ich obrazach uczestnik uważny podziwia naturę rzeczywistą, przecież nie inaczej, jak przez obecność osoby, która, ceniąc swe otoczenie z powodu wpływów źródłowych, uszlachetnia je pracą zapobiegliwą i nie przestaje wyróżniać władcy w stosunku do państwa. Taki realizm obowiązuje arystokrację pięknotwórczą, dbałą o poduszczenia zbawienne.

Nie inaczej też pieśń o ziemi naszej pojmował Moniuszko. W jego utworach rozpoznajemy muzykę tej przyrody łagodnej, spokojnej i cichej, w miarę słonecznej, w miarę wilgotnej, co o tyle na żywostany oddziaływa przyjemnie, o ile nie gwałci zdrowia, nie wytwarza zaburzeń, nie zmusza do wysiłków w sprawie oporu, przystosowań i walki o byt. Zamiast podsycać żądze, ona budzi humor wesoły; zamiast drażnić nerwy, zapalać do nienawiści i gniewu, ona dopuszcza lekkie, przemijające chmurki tęsknoty, zadumy i żalu. Macierz polska płodzi pokrzywę i piołun; ale też gorycz wszelaką wynagradza sownicami łąkami żyta i pszenicy złotej, dostatkiem traw, kwiecia i miodowników słodkich. Nie znajdziesz tu pomarańczy, ale chciej tylko, a będziesz miał gruszkę soczystą; nie natrafisz na gaje oliwne, ale spocznesz za to pod konarami lipy rozłożystej. W porze wiosennej pragniesz koncertu — wychyl się tylko po za próg domu, a usłyszysz jak bociek gawędzi z rodziną, jak dzwoni skowronek lub do samiczki mizdrzy się słowik przy akompaniamencie hołoty ptasiej, jak bębni dzieciół, jak wciąż pytaniem swą kryjówkę zdradza kukulka ciekawa. Kraj przeważnie płaski nie ubawi wzroku; ale też i nóg pielgrzymich nie zmęczy. Miejsce jednak uroczych w nim nie brak, a wszystkie miłe są, ludne i rozmowne, jakoby położone po za granicą zasadzek zgubnych, przepaści i ostępów głuchych. Wody, płynąc obficie wzdłuż i wszerek ziemicy, jeśli wybrzeżom coś na grzbiet fal zabiorą, to i zasiłek przyniosą, to i nowin przysporzą. Więc prawdę powiemy, twierdząc, że kto woli śmiać się i płakać raczej rzewnie, cicho i spokojnie, niż rozgłośnie i spazmatycznie, ten rad mieszkać w Polsce, bo w niej łatwo warunki pomysłowości znajduje.

Tę właśnie prawdę głosi Moniuszko, gdy do zeznań zaprasza typy mieszkańców samych. One dawno odbyły przed nim spowiedź wstępną, uprzedzając, że, jeśli on muzykę polskiej macierzy poznać pragnie, toć niech zajrzy do chaty i karczmy, do dworu i miasteczka; niech bada obyczaje i zwyczaje, mowę i pieśń samorzutną; niech słucha jak bazarz gra na nerwach gawiedzi, jak znów brat szlachcic roztaacza swadę. Nie mu pominąć nie wolno, ani chóru flisaków na tratwie, ani porannej nuty żniwiarzy, ani dumki stepowej, ani wariantów leśnych. Wszystkie zajęcia i poruszenia on

śledzić winien, bo w nich znajdzie łączniki żywe, zobaczy węzły trwałe, zadzierzgnięte pomiędzy naturą a świadomością. Owe węzły on spostrzeże nawet w licznych różnicach co do ubioru. Miałżeby lekceważyć ochotę taneczną, nie wiedzieć jakie pierwiastki złożyły się na rytm poloneza, skąd powstał mazur, czem się zaleca oberek, kujawiak, tan kozaczy i góralski? Wszak żywostany włożyły tu swoje ognie wewnętrzne, swoje dziedzictwa i porządki organiczne. To też baczyć na plastykę, fizyognomię i symbolikę mieszkańców znaczy tyle, co przejmować koloryt miejsca i czasu. Lecz nie dość na tem. Koloryt — to dopiero światło ogólne w obrazie, jedne dla sceny całej, niby przewodnik, zdolny rozjaśnić grę czynników możliwych i uwydatnić panowanie podmiotu. Boć świadomy co do tła, artysta nie jest mistrzem w dziedzinie indywidualizmu, dopóki swą fantazyę wyłącznie grą barw zaprzęta. Wiemy, że Moniuszko umiał tworzyć podmiotowo i syntetycznie, że, powołując do życia postacie rozliczne, poczynił je z pierwiastków uswojonych, mocą doświadczenia i miłości, potęgą patryoty i humanisty. Stąd żywa, rzetelna i treściwa piękność jego osobników i grup, scen i obrazów. Wszak zwierzeń „Lirnika wioskowego“ słuchamy, jak gdybyśmy tuż postępowali za pielgrzymem czcigodnym, za poetą, który pieścił swój instrument, grał rzewnie Bogu i ludziom, a miłując ziemię rodzinną, szukał braci, doświadczał słuchaczy, raz wierzył im i ufał, raz o ich sympatyj wątpił i cierpiał z powodu szyderezey obojętności; lecz czarodziejskiej liry nie rzucił aż do śmierci, bo ona go obdarzyła szczęściem większem niżli to, o jakie zabiega tłum małoduszny. Wszak wielkie kantaty: „Milda“, „Niola“, „Pani Twardowska“, sceny liryczne z Dziadów, cykle zaokrąglone, jak „Pieśni z Witoloraudy“, ballady i liczny zbiór natchnień do słów Mickiewicza, pieśni sielskie — obrzędowe, powszednie i przygodne — krakowiaki, dumki, treny, wybór chwil i scen z epopei społecznej, zgola nieprzebrane mnóstwo utworów pieśnianych, wielorako złożonych, gdzie różnice pod względem przedmiotu i jakości odpowiadają różnicom obszaru, uwarstwienia i pracy, świadczy dowodnie, że pieśniarz rządził swą techniką mądrze, usiłując wartość opisu utrzymać w granicach podstawy, by tem lepiej mógł uwydatnić powagę liryzmu. W jego pieśniach znać geografję kraju, podział na ziemie i powiaty, znać wieloraką

charakterystykę miejsc i zajęć, aż do przymiotów umysłowych i moralnych, które wieńczą kompozycję każdą wymownie natchnioną śpiewnością. Mistrz wie, że kujawiak — to nie mazur ani sandomierzanin, że podlasiak nie ustoi, pójdzie w kąt przed krakowiakiem, że litwin ukrywa swą duszę głębiej niż ukrainiec. On pamięta, że mieszczuch śpiewa inaczej niż wieśniak, hulaka w sukmanie inaczej niż surdutowy, że w spowiedzi żołnierza inne grają motywy niż w wynurzeniach oracza, owczarza, oryla, że jeśli dziewczynie miłemi są grzędy i kwiatki, to nie inaczej, jak w znaczeniu motywów, które należy uzupełnić odpowiednimi ze strony męskiej. Czemuż już pochwalić byśmy się mogli, jeśli nie bogactwem liry swojej, domowej, którą Moniuszko, biorąc z rąk ludu, postanowił wystroić pięknie i uzdolnić do wyrażania myśli i uczuć narodowych? Chyba odpowiedniem bogactwem swojskiego pióra i pędzla.

Boć nie reformatorem, jak Schubert w Niemczech, był w ojczyźnie swojej zacny pieśniarz polski. On tu nie prawie nie zastał, nie, mówię, z okazów muzy kształconej, krom cudzoziemczyzny lichej, krom aryj włoskich i romansów francuskich, gdzie melodye zwykły płynąć jednostajnie, ekliwie, bez różnic i odmian, niby woda ocukrzona, której organizm zdrowy nie pragnie w obawie mdłości. Śpiew jednaki, idealnie uogólniony, nie nie zarysowywał, ani osoby, ani jej stosunków do otoczenia, ani miejsca, ani czasu. Wciąż bezbarwny i biedny, tak co do harmonii, jak co do rytmiki i opisowości symfonicznej, on dogadzał zachciankom modnym, bo pieścił zmysł słuchaczy, rozmiłowanych w czułościowości chorobliwej. Lecz lira polska nie spoczywała. Na nizinach jej rozbrzmiewać wypadło. Iście „z czarodziejskiego wyrobiona drewna“, jak śpiewa poeta wioskowy, ona grała bez troski o sztukę, nie dość składnie i umiejętnie, ale za to treściwie, dobywając ze strun swych dźwięk prawdy i miłości, melodyę tęsknoty i żalu, radości i wiary, a zarazem wieszczbę swobody pożądanej. Któżby chciał od pieśni ludowej wymagać baczenia na indywidualizm? Wszak ją tworzy fantazyja gromady, nie jednostki. Ona żyje pamięcią i sercem pokoleń, wyobraźnią ogółu, natchnieniem woli bezosobowej. Nie dziw, że pojęcie podmiotu, ledwie zarysowane, przedstawia tu uwagę na różnice wieku i stanu, spójni rodzinnej i pracy zawodo-

wej. Panować nad sobą i wśród otoczenia kміć nie umie, bo mu wciąż drogę zaciemniają chmury przesądu, bo go ubezwładniają nawyki i brednie uświęcone. Stąd łatwa uległość względem zjawisk zewnętrznych. Wyrażać osoby liryzm nie zdoła tam, gdzie jaźń trwożną jest i niepewną siebie, mało odporną i pochłoniętą przez liczbę mnogą. To też śpiewny głos gromady rozlega strumieniem mętym, nieokreślonym, niepodzielnym i nie ujętym w karby porządku. Nie jedno z polskich siół przechowywa tradycje tonów gregoriańskich, o ile one dogadzają samorutności opieszalej, gnuśnej, bezrytmicznej. Tem raźniej atoli i ogniściej poczyną sobie chłopcy, im bardziej, z powodu natury hojnej, krewkości i uwrażliwienia, odczuwa potrzebę miary, podziałów i nacisków w melodii. Dziarski krakowiak śpiewa tanecznie, a tańczy, jak wicher, obalający rozstawione symetrycznie przeszkody; mazur również rad głos swój puszczać podług ruchów oberka; kto zaś zna dzieje okolic kresowych, duszę i zawodne tęsknice tuziemców, ten łatwo odgadnie przyczynę, która fantazji poddała myśl dumki wyrazistej, ładnie określonej. Lecz siła indywidualizmu, tu więcej, tam mniej wydatna, aczkolwiek o źródłosławie stanowi dużo, jeśli obchodzi sztukmistrza, to nie dla formy, raczej z powodu treści. On waży głównie blizki stosunek człowieka do macierzy, znajomość tajemnic i szczegółów, rozmowę ustawiczną, jaką ze swem otoczeniem prowadzi biesiadnik serdeczny. Nie ma pieśni tak nijakiej, ażeby w niej za mało starczyło rzutu na spowiedź wobec licznych świadków wesela bądź smutku, wobec domowników, przy współudziale flory i fauny miejscowej, gór i strumieni, gwiazd i księżyca, pór roku, pogody i słoty.

Otóż, gdy sztuka chromać poczęła, a sprawie odrodzenia, pomimo złudzeń romantycznych, sprzyjały dzieje realizmu, wówczas geniusz twórczy wskazał na nizinę, gdzie z mnogich źródeł tryskały zdroje żywe i samorodne, niewynaturzone a pełne pierwiastków dodatnich. Rozumieć się ma, że zaszczyt najpierwszych kroków w poselstwie wypadł na korzyść poetów. Im zawsze w polityce estetycznej przodować nakazuje rozum. Toć zanim lirę nową mogliby wziąć do rąk mistrze muzyczni, należało wprzód, uszlachetniając gwarę ubogą, wzbogacić język słownictwem przyrodoznawczem, ponazywać rzeczy wytwornie acz znamienne, oczyścić barwy, usunąć ja-

skrawość a wprowadzić cienie, należało opracować stanowisko psychologii i wygładzić formę, więc baczyć, by dziecinnie z pod strzechy nie zawstydziło swych chrzestnych na śliskich stopniach pałacu. Kto słyszał muzykę słów istotną, niekłamana w poezji dworactwa? Trzeba było ją stworzyć na modłę kompozycji samorodnej, gdzie słowo i dźwięk, związane w załączku, przedstawiają jakoby jedną dwu bliźniąt duszę. A podmiot, powaga i godność osoby? Tylko poeta potrafi jednostkę wylęknioną ośmielić, wyłączyć z gromady i dać jej oblicze samowładcy, wyraz jaźni świadomej na tle obrazu. Wiemy, że odkrycie źródeł sztuka polska zawdzięcza Kazimierzowi z Królówki. Na dane hasło powstaje wódz wielki, Adam, by stanąć na czele młodzieży, pokazać cud, ujawnić wartość rzeczy i nauczyć dotykania. Jak zaś nauczył, wie, kto poznał natchnienia pieśniarzy polskich nie w oderwaniu, lecz z rozlicznych odmian co do posłannictwa, kto je ocenił odnośnie do ziem i obszaru. Że Syrokomla śpiewał inaczej niż Lenartowicz, ten zaś inaczej niż Bohdan Zaleski — cześć im za dary, których wartości realnej nie pozbawił strychulec. Takich wyzwoleńców poczet nie mały. Nazwiska ich czytamy w nagłówkach, gdzie promienieje tytuł jeden, zwiastujący samodzielność różnostronną i twórczość genialną — tytuł Moniuszki.

Pamiętać należy, iż przodownictwo poetów, których utwory Stanisław potęgował muzycznie, wcale go nie zwalniało od zstępowania do źródeł. Poezya nie jest w stanie zastąpić muzyki żywej ani plastyki kształtnej. Ona je tylko natrąca, przypominając za pośrednictwem znaków oderwanych to, co zmysły przejęły, co umysł zidealizował. W symbolizmie języka, chociażby najbardziej do rzeczywistości zbliżonym, spostrzegamy zaledwie opis, nie zaś jakoś pojawów dotykającą, raczej słabe odzwierciedlenie natury, niż jej dźwięki i rytmy, ruchy i barwy istotne. Tej niemocy świadomi, poeci-pieśniarze nadają utworom swoim formę muzyczną, przyzywając w pomoc technikę kompozytorów. Ci spieszą, by uzupełniać i wykończać, o ile wezwanym nie brak intuicji i doświadczenia. Wszak muzykę natury, wraz z muzyką uczuć, lud odtworzył wprost, bezpośrednio w plastyce tanecznej i śpiewnej. Jego umysł ograniczony nie posiada dość formuł idealnych; jego słownictwo ubogie zdradza szczupły

zakres pojęć. Nie dziw, że swej pełni daje odpływ niezwłoczny, w czym właśnie sztuka muzyczna ceni materiał z pierwszej ręki. Jak śpiewa artysta nieuk, ów lirnik wioskowy, któremu czarodziejskie drogiem jest narzędzie? Toć nie inaczej, tylko powtarzając się i kołując myślą, jak gdyby brak znaków wynagrodzić sobie usiłował podkreśleniem motywu, to rysunkiem odbitym, to jakąś odmianą w nastroju. Tu, pod wpływem nie wielu wrażeń, otrzymanych z domownictwa, przeważa strona obrazowa. Więc, ponieważ poeta sielski abstrakcyjnie wywnętrzać się nie umie, przeto zbytkuje w onomatopei i w opisowości luźnej, byle mógł zakres liryizmu nieco rozszerzyć i zadość uczynić instynktowi, który poszukuje symetrii, taktu i nacisków dla uczucia. Że ich podług wymagań sztuki znaleźć nie zdoła i, postępując bez ładu, skalę śpiewności bezwłasnowolnie zacieśnia, nawet bojaźliwie ujednastajnia — wiemy. Mistrza tedy zadanie polega na umiejętności, z jaką on, wsparty przez literacką pracę przodowników, przystępuje do źródeł, ażeby je z mętów oczyścić, z pęt wyswobodzić, nie wynaturzając odpływu ze strony różnic i wdzięków przyrodzonych, nie lekceważąc prostoty i znamion, a nawet fantazyi, o ile geniusz sztuki pewną w rodzaju dopuszcza miarę samorzutności.

Długiem, nużącym i zbytecznym byłoby wykazywanie porządku oraz potęg technicznych, jakimi mistrz, stosując się do pierwowzorów, podniósł i unarodowił poezję muzyki w ojczyźnie. Każdy z jego poematów pozascenicznych należy obejmować wszechstronnie — zmysłami, wyobraźnią, uczuciem i powagą myśli. Wtedy słuchacz otrzyma zadowolenie całkowite, jak gdyby oglądał krajobrazy, a wśród nich sceny z życia, ujawnione za pośrednictwem wywnętrzeń lirycznych. Znajdzie on tu, przy wytwornej prostocie stylu, dar kolorysty, wykazany w stosunku do przedmiotu, miejsca i czasu, jako też moc psychologa, który umie grę uszlachetniać i postaciom nadawać wyraz o tyle sympatyczny o ile indywidualny i dobry, nie zacierając charakterystyki plemiennej ani też rysów szczególnych.

Kończąc pracę, poczętą przez cześć dla mistrza, pragnę zwrócić uwagę na sąd o „Halce”. Rzekłem, pomijając usprawiedliwienie, iż dramat ten jest arcydziełem niespożytem, godnym stanowiska, jakie zajmują wzniesione pracą narodów

pomniki wszechludzkie. Pochwała byłaby przesadną? Wszak uczestnictwo nie przeczy — owszem, stwierdza ją. Chodzi mi tylko o zasadę w znawstwie, a zatem o stopień podziwu, który, jeśli wynika z pojęcia sztuki wyosobnionej, nie zdoła trwać długo ani usprawiedliwić sądu. „Halka” — powiesz — wzniosła jest i piękną sama przez się, niezależnie od przedmiotu, jedynie dlatego, że nosi na sobie piętno artysty, który na scenie teatru umiał roztoczyć moce techniczne i dał nam całokształt muzyki wytworny, skończony, zdolny bardziej niż inne wzruszać słuchaczy. Zgoda. Artysta zaważył wiele pod względem daru i umiejętności. Ileż jednak dzieł, darowicie poczętych, zmarło wcześniej, bez śladu; ilu oportunistów genialnych pogrzebał czas, lub odsunęły w przeszłość prawa rozwoju! Znikome są dźwięki luźne, wystawione wyłącznie dla zbytku, znikome tem bardziej, skoro nie nie podpierają krom wieży chwiejnej. Ich przeznaczeniem przecież, dawno określonym przez mistrzów-humanistów — podpieścić budowę społeczną, poręczać trwałość jej, jako twierdzy, od której zależy dobro ludzkie, a więc o tyle niespożytej, o ile przez ogół cenionej zawsze, pomimo odstępstw i błędów dziejowych. Technika sztuki służyć ma prawdzie, tej wielkiej, co nie przemija nigdy, bo wyraża dążność ludzką po drodze ku ideałom, potrzebę harmonii powszechnej, cześć wiedzy, miłość swobody i wiarę w przyszłość. A właśnie dramat, zbyt skromnie przez mistrza ochrzczony imieniem biednej ofiary, święci jedną z tajemnic, jakie stanowią o społecznej wartości dzieła. Dramat ów wzrusza nas potęgą prawdy moralnej. Cenić w nim tedy należy nie samą umiejętność, nie dar wyłączny artysty, lecz pogląd człowieka, który umiał swój przedmiot wybrać, głęboko odczuć i dobroczynnie przedstawić. Ażeby mu z tej strony przyznać zasługę, trzeba zajrzeć w kąty ziemi, zamieszkane przez podhalan, poznać naturę górską, jako też charakterystykę tubylców. Krótki zarys wystarczy.

Na podgórzu Tatr, od Północy, siedzi od wieków odłam mazurów oryginalnie usamodzielniony, lud wielce darowity i zapobiegliwy, zadziwiający uporem i hartem, jako posiadacz. Ów poczet gazdów pyszni się swym kątem, siedzi w nim jak przykuty, nie szukając nigdzie lepszej doli, żywiąc pogardę względem wychodźców i lekceważąc zysk materialny, rzekłbyś, przez wstręt wobec objawów chciwości, co w dziedzinie

ekonomii kurczy serce ludzkie. Wyzbyć się polaci zajętej za żadną cenę nie śpieszy ów dziedzic, który do przekazania spadkobiercom posiada chałupę, parę morg gleby, szmat łąki i kilka smreków. Skądże to przywiązanie do ziemi? Jakim magnesem natura przyciąga tych bogaczy ubogich? Wszak o pożywienie organizm woła usilnie. Oszukać go nie można. Tymczasem macierz błogosławiona postępuje, jak gdyby działwę swą postanowiła głodem umorzyć, by tem przestronniej szalały duchy halne, mieszkańcy skał, by tem bezkarniej wzbierały potoki groźne, o ile nie powstrzymywane w pędzie, nieujarzmiane w rozlewie. Grunt jałowy nie znosi siejby ziar-nistej, mącznej. Łakniesz chleba — dostaniesz placek owsiany. Kapusta i ziemniaki dopełniają sprzętu, który, przy kubku mleka, ma zaspokoić pożądlivość żołądka. Tak marnej strawy czy zawsze przynajmniej on pewnym być może? Wiatr halny czuwa i nie dopuści rachowania na pomyślny pracy rolnej wynik. Wystarczy dzień podmuchu, ażeby kłos na pniu nie pozostał, ażeby na swem polu góral nie zobaczył snopka bądź pokosu. Wiatr mu chatę uszkodzi i smreczynę wywróci; potok również na jego dobro czyha, znosi mosty i kładki, podmywa budowle, uszczupla posiadłość. A deszcze przeciągłe i zimna czy go chętnym do pracy czynią? Tej przyjemności macierz nie skąpi.

Więc może siła przyciągająca tkwi w Tatrach samych, w tem środowisku, gdzie natura pobudowała sobie twierdze niedostępne, obwarowane przepaściami i otoczone strażą? Ona tu wzniosła olbrzymie łąki, turnie i szczyty, niby jakieś zamczyska i kościoły, to czatownie i strzelnice, to posterunki i wieże niebotyczne; ma też lejki i miednice, niby kwoli ochocie do kąpieli; a wciąż przegląda się w chmurach, jakoby w zwierciadłach, bacząc, by jej nagości nie zdradził orzeł, nie urzekł człowiek. Prózne zabiegi. Góral jest taternikiem zawołanym. On mięśnie swe od dzieciństwa krzepi, by mógł zręcznie wkroczyć w zakłete państwo, podziwić architekturę, spojrzeć z góry wgląd przepaści, zobaczyć spoczynek jezior i usłyszeć co mówi głos ciszy uroczystej. Błogo mu, gdy potworne zwalczy zapory; a chociaż jedyną zdobyczą z wy-cieczki bywa zwierzątko upolowane lub szarotka, to przecież dumnym się czuje, jak bohater, który wskoczył na wyżynę, oglądał przestrzeń rozległą i pozyskał wzrok przenikliwy.

Panuje w Tatrach urok majestatu, który dzikością swą straszny i zaciekawia, odpycha i pociąga, jak tragiczna walka sił wrogich. Wszak wewnątrz twierdzy nie brak dolin kwieci-stych, ani trawników i pastwisk, ani drzew i krzewów ład-nych, ani strumieni ożywczych. Owe schroniska pełni pogodnej stanowią właśnie stronę w kolizyi bezwstydu ze wstydlivością, martwoty z życiem, szarzyzny z barwą.

Dziś Podhale zasłynęło z powietrza, uzdrawiającego organizmy słabe, zmęczone pracą. Odkryciem Zakopanego szczytą się wdzięczni Chałubińskiemu lekarze polscy. I nie dziw. Mocą powietrza jest tu skład żywiołu równoważny, lekkość i czystość nieposzlakowana, więc synteza pierwiastków, której nie mącą drobnoustroje ani kurzawa. Natomiast syci ją roślinność obfita, wydzielająca tlen, a głównie cząsteczki substancji igliwiowej i żywicznej. Dodać należy procent wilgoci, utrzymywanej przez częste opady, tudzież przewiewy i wachlarze, które śpieszą usunąć warstwy zakażone, przywracając równowagę zasobem atmosfery świeżej. Wachlarze górskie nie próżnują. Gdy tedy ziemia gnębi, morzy i zmusza do przemysłowości niskiej, powietrze karmi jej cze-ladź z okładem, a dając strawę lotną, podnosi czoła, wypełnia piersi i potęguje sprężystość członków. Wychowanie żywiołu pozyskuje energię układu mięśniонерwowego, ba, jej zbytek i nadmiar do wyładowania. Więc inny kłopot. Napierany potrzebą, jak góral dzielności swej zadość uczyni? Gleba nie przyjmuje trudu; cywilizacya pominęła kąt, postępując ku Wschodowi z pogardą wielkomiejskiej pani. Że istnieje przemysł, rzemiosło, sztuka, kto uświadomi prostaka? Góry tymczasem wabia, a ładunek ciąży. Wyrzucić bez zwłoki trzeba to, co grozi udarem, hysteryą, zidioceniem, wyrzucać często, w miarę nagromadzenia, chociażby wypadło zawrzeć sojusz z wysłańcami dzikości, ze zbójnictwem. Taki stan trwał, zapewne z coraz mniejszem naprężeniem, aż do chwili niezbyt oddalonej, zapisanej w pamięci świadków osiwiałych. Napastnicza opryszków podhalskich broń długo dokuczała mieszkańcom okolicznym, zwłaszcza również do zaczepki skorym osiedleńcom po stronie węgierskiej. Myliłby się atoli srodze, ktoby w zbójniku kościeliskim chciał widzieć łotra-hajdąmakę, narzędzie nienawiści i zemsty, bądź złoczyńcę przez chciwość, czyhającego na cudze dobro. Reakcyja ukraińska nie nurto-

wała zapewne bez wpływu na ruch ludności karpackiej. Proces atoli, jaki wynikł na polu zapasów z pohańcami, z powodu waśni szlacheckiej i ucisku, nie obchodził osobiście podhalan. Sztuka tych junaków inne miała pobudki. Uprawiano ją dla zbytku, z rozmachem, niby sport góralski, wywołany koniecznością, sport dziki, niepohamowany, lecz nie skryty, nie bezecny, owszem, jawny, bo nieunikniony. Zasada tej sztuki — okazać zręczność i odwagę szaloną, nie zadrzeć wobec trudów i niebezpieczeństw najgroźniejszych, wyzwąć na rękę i pobić przeciwnika, co wszystko razem stanowiło powód do uciechy, do odzyskania równowagi zachwianej, a oczywiście i do zbiorowej chluby w obozie. Pobić liptaków, bodaj okrutnie, używając podejścia i zasadzek, wynaleźć przyczynę starcia i wygrać stawkę na życie lub śmierć — jakież stąd splendor dla zuchów, którym ironia pozwalała drwić z szubienicy i zapalać fajeczki u świec podczas nabożeństwa.

Ze sztuki nie hańbiły zamiary podłe, o tem świadczą pieśni, opiewające jej dzieje, pieśni hałaśliwe i jaskrawe, gdzie echo od skał wtrąca swą próżnię, przecież nie bez uwagi na motywy liryczne, których pozbawić nie zdoła ognia ani nacisków serdecznych. Wszak o jawności w grze występnej świadczy dziś i taniec, zwany *zbojeckim*, ów figuryczny, utrzymany w rytmie pochodu, a potem zamachu, potyczki i szału z powodu zwycięstwa, niby obraz żywy, jakim gości swych bawią górale zwinni, uzbrojeni w ciupagi. Zauważmy nadto jak każdy z nich swą postać wyrzeźbił, jakie ma ruchy, jakim uprzedza obliczem. Wylęgi psychiczne, jak złość i nienawiść ukrywana, chytrość, nawyk służalczy i chciwość, dość powszechne wśród tłuszczy uciemionej, znać obcemi były mieszkańcom podgórza, skoro nie przeszkadzały rodom dbać o całokształty poprawne, nie zostawiały śladu w liniach i rysach pokrzywionych, nie tamowały wzrostu przez wysuszenie źródeł. Gracza u podnóża Tatr polskich odznacza styl budowy szlachetnej: wymiary ciała dokładne, symetrye niepo-gwałcone, fizyognomia otwarta, harmonijnie zarysowana i sympatycznie wyrazista, spojrzenie śmiałe, jasne i bystre. Staturze normalnej odpowiadają ruchy lekkie a żywe, rytmiczne a stanowcze, niepozbawione wdzięku a znamionujące automatykę przezorności i doświadczeń atletycznych. Idąc do pracy lub powracając z pola, wesół góral postępuje skocznie a płynnie,

jak gdyby tańczył. Dużo jest rycerskości w plastycznym układzie podhalan.

Przejście od swobody wyuzdanej do porządku nie wymagało linii długiej, ani wielu starań i nakładów, ani stopni i procesu przez wiekowy szereg pokoleń. Starczyło na to kilku promieni światła i ciepła, przyniesionych przez ludzi dobrej woli. Tknięty różdżką przeświadczenia, zdolny i chwytliwy, lud spostrzegł, że nadmiar wyładowywać można inaczej, pożytecznie, spokojnie i prawowicie. Więc do dzieła, a z Bogiem. Wczoraj obojętni, dziś nawróceni, oto wznoszą świątynie, by mogli odprawiać modły gorące, błagając Niebo o przebaczenie i usiłując przez moc poduszczeń uświęconych zatrzeć do ostatka pamięć obłędu. Podhalanie jeśli wyzierać w świat szeroki, pragnąć wiedzy praktycznej i nauki szkolnej, zamieszkiwać swój kąt coraz rzadziej i gospodarniej, poszukiwać zarobków godziwych, przyciągać ku sobie dobrych panów i żywić rozsądne ludzi samodzielnych ambicje. Należy pilnować spójni, baczyć na interes ogółu. Rzesza gazdów już się nie boi poddaństwa i rozkładu, bo wciąż zdobywa prawo wolności organicznej — samorząd, pojmuje wartość pracy i odczuwa potęgę jedności we wzajemnej wymianie usług, w związku sympatycznym. Zechcij wnikać w stosunki podhalan, a zblizka, bez uprzedzeń. Już z samej rozmowy poznasz jaźń ludu, który o rzeczach sądzi trzeźwo i mądrze, ujmuje prostotą i altruizmem, zadziwia pojęciem sprawiedliwości, wiarą dobrą, gotowością do ustępstw i zgody, oraz panowaniem człowieka nad zwierzęciem. Więc to lud dobry — zawołasz — a dobry z gruntu, prawem wyższości przez samopoczucie, świadomość i dążność. Więc to nie chłopstwo, przeznaczone do dźwigania jarzma, wiecznie ciemne, podle i niskie, jak niby postanowić miała opatrność, jak żąda absolutyzm. Zagadnienia podobne rozwiąże socjologia, gdy zacznie dbać mniej o ścisłość naukową, gdy przeważnie wzięć na uwagę zechce złożoność natury ludzkiej, syntezę bytu, władze umysłowe, dążenia i cele, uznając stronę cielesną i za żywostan źródłowy i za narzędzie dla myśli. Nim to nastąpi w teorii, wszak prawodawstwo Chrystusa uczy nas ważyć objawy życia ze strony praktyki, usuwać samolubne względy polityki i przez powierzchnię złudną sięgać wgłąb człowieczeństwa, a pod przewodnictwem nie tylko rozumu, lecz do-

brej woli i miłości. Obywatelowi kraju, przejętemu życzliwością, wszak odrodzenie, o jakim mówię, nie wyda się bajką ani zjawiskiem nadzwyczajnem. Boć faktem jest, że wszelakie poselstwa, przedsiębrane jakoby w imię cywilizacyi, właściwie zaś pod jej tylko płaszczykiem, zamiast kształcić i poprawiać, drażnią, obrażają i szerzą zepsucie, utrwalając upór i złe nawyki. Z licznych doświadczeń co do ogłady, dokonywanej zbrojnie i przymusowo, wiemyż o ile dziczy afrykańskiej przeszkadza do wzrostu klimat złowrogi? Zamiast cywilizować, dorobkiewiczcy amerykańscy wywłaszczają i prześladują biedaków czerwono skórych. Wiemyż jaką Irokezi byliby zdolni wykazać kulturę? Więc do zmiany trybu pomogło biedakom na Podhalu nie samo powietrze. Lud dobry nie nawykał do poddaństwa; posiadaczowi jałowizny nikt nie macił w głowie, nie narzucał przekonań wraz z jarzmem, nie rozkazywał przez nadużycie władzy i oślepianie. To też ów posiadacz, że nie zaznał lęku ani chłosty, zwanej bezwstydnie uobyczajaniem, ocalał, zachowując nietkniętym pierwiastek piękna, dobra i prawdy.

Otóż, gdy poznasz gruntownie ubogich na Podhalu bogaczy, przestanieś się dziwić ich przywiązaniu do ziemi. Tu oni cenią swe państwo, ważą swe władztwo, tak dobrze fizyczne jak i moralne. Kąt zamknięty, obwarowany przez naturę, nieużyty, a przeto pomijany, dał przytułek drużynie dzielnej, pozwolił zachować swobodę ruchów, uchronił od wpływów szkodliwych i dziś wabi ku sobie przymiotami kołoby niewyglądzonej, ale zdrowotnej, rozłożystej i wręcz cudownie pod względem zjawisk uposażonej. Za Morskie Oko góral da życie, byle je w gminnem utrzymał posiadaniu. Nie dziw, że sadybę swą rad umieścić tak, ażeby uwagę mógł zajmować nie tylko widokiem własności przyległej, lecz krajobrazem mniej lub więcej uroczym — wieńcem wzgórz zadrzewionych i grą barw, wdziękiem linii na pierwszym planie i majestatem turni oddalonych, mnóstwem osad i domków, rozrzuconych fantazyjnie jakoby kwoli teatralnej zabawie, zgoła rozmaitością życia i ruchu, która wynagradzałaby mu znój, przypominając, że nie jest chłopem, że jest panem, umie patrzeć i podziwiać, posiada ogień twórczy i dar znawcy. On przecież poetą, oczywiście polskim, raz obrazowym, pełnym humoru i dowcipnej swady, raz nieco wieszczym, pro-

stodusznie czułym i nabożnie podniosłym, nie rzadko też skorym do uśmiechów satyrycznych i do szydreczych zwrotów ironii. Gdy jednak serce zaboli mocniej, on wezbraniem tragicznem przypomni, że ma łożę twarde a dolę smutną. Jego mowy oryginalnej, zwieżłej, rzutkiej, energicznej i rzeczokreślnej z niezwykłą słuchasz przyjemnością; jego ciekawe bajki i opowieści płyną potokiem improwizacyi barwnej, żywej i swobodnej. Magnat w kerpeciach lubi gawędę i biesiaduje chętnie z panami; wszakże nie inaczej, tylko na stopie równości, którą utrzymać umie w granicach odpowiednich. On pojmuje starszeństwo zasłużone, ceni przewagę wiedzy i doświadczenia, uznaje hierarchię społeczną i dlatego nigdy bodaj ruchem, bodaj słówkiem nie ubliży obywatelskiej postawie światowca. Natomiast w obejściu wymaga dowodów braterstwa i nie ścierpi pogardy, a tem mniej wyrządzonej sobie krzywdy moralnej. Strzeż się obrazić jego duszę szlachetną, dotknąć posądzeniem niesłusznem, brakiem zaufania lub nadużyciem zwierzchnictwa. Szorstkiej ręki on nie zapomni, a gotów wybuchnąć. Zasię, panoczku — rzeknie — kij ma dwa końce! Ale cierpieć i o zadanej ranie pamiętać można bez gniewu, bez nienawiści. Swą wartość moralną góral zdobywał dość walecznie, ażeby gadowi zemsty zetrzeć mógł głowę. On nie zna broni, używanej przez ciemnotę lub pychę. Dlatego, pomimo urazy, sędzi spokojnie i swemu napastnikowi nie odmawia szacunku, o ile sprawiedliwość nakazuje baczyć mniej na drobne wykroczenia niż na zalety. Przyznajmy, że samo to zachowanie się bierne stanowi śliczny rys charakteru. Spójrzmy wszelako głębiej, unikając analizy drobiazgowej i wnioskowania ze statystyki. Liczba odstępstw i wyjątków przygodnych nie powinna obciążać sądu, ilekroć on wynika ze spostrzeżeń syntetycznie zrównoważonych. Otóż w duszy słowiańskiej czytamy słowo wieloznaczne, wyrażające wzniosłość, jako ostoję wszechludzką — słowo: przebaczać. Tę ostoję biedak niegnębiony odczuwa intuicyą chrześcijanina i poety. Że zaś ona zabezpiecza go przed grozą upadku, zwątpienia i bezrządu, że mu ułatwia życie i smacznie nędzną pozwala spożywać strawę, o tem przekonywa go doświadczenie codzienne. Góral umie przebaczać — a to enota wielka.

Wiemy teraz chyba dlaczego Moniuszko pieścił, opracowywał i coraz staranniej swą „Halkę“ wykończył. Wybierając

przedmiot treściwy i bogaty, on zamierzył za pośrednictwem sztuki rozwiązać zagadnienie społeczne, co spełnił z tem większem namaszczeniem, że na osnovę dramatu wziął świadectwo żywotności rdzennie polskiej. W charakterystyce podhalan mistrz odczuł dobrą nowinę dla żyjących, prawdę wiekuiastą dla pokoleń, wskazówkę dla pięknotwórców. On pojął, że uczłowieczenie maluczkich, bezwzględnie pogardzanych i pozbawianych wstępu na uczty, jakie cywilizacya przygotowała dla rzeszy uprzywilejowanej, jest faktem doniosłym, zwiastującym przełom, jest tryumfem światła na zachmurzonym niebie pogaństwa. Że on to pojął, odczuł i genialnie przedstawił, dlatego w odtworzonych przezeń bohaterach witamy ludzi, których serdecznie uściskać nakazuje wzruszenie.

W kolorytach opery przeważa smętny i tkliwy, to głęboko żałobny i tragiczny. Stawiennictwo i grę postaci głównych poprzedza uwertura. Tu motyw przewodni, jakoby westchnienie długie a pogłębiane, zdaje się przed wyobraźnią słuchaczy uobecniać bazarza, który przez łzy i łkania jął opowiadać historję prawdziwą i nie odejdzie, zanim na świadectwo plastyczne nie nastąpi przyzwolenie sztuki. Ale w świadectwie nie brak kontrastu. Dzieje smutne miałyby ton właściwy, gdyby im rytm życia nie przeciwstawił wesela? Właśnie grupa odświętna — Stolnik, Janusz i Zofia, oraz grono przyjaciół — rozpoczyna dramat święceniem obyczajów staropolskich: gościnnością, błogosławieństwem nad pochyłonymi głowami nowożeńców, składaniem życzeń i hasłem do ochoty tanecznej. Polonez Stolnika i mazur — to pomysły wielkiej ceny, natchnienia ogniste i treściwe, jakeimi kompozytor uświetnił scenę w pokojach i uwydatnił piękne rysy braci kontuszowej. Boć Stolnik dobrym jest panem, właśnie jednym z powitanych na Podhalu imieniem przodownictwa, braterstwa i zgody. Ludzki i sprawiedliwy, on nie wie o tajnym związku Janusza z Halką i dlatego, pełen dobrej wiary, błogosławi spokojnie. Co się zaś tyczy zdrady ze strony uwodziciela, oraz występku ze strony dziewczęcia, nie należy sądem pośpiesznym rozstrzygać o prawach miłości. Jasio uwiódł Halinę i przyrzeczeń nie dotrzymał; więc zawinił ciężko, o ile obraził ludzkość w sobie, oszukał ofiarę i zawiódł zaufanie gromady. Nie dziw, że wygląda marnie i blado, jak człowiek, co stracił ostoję wewnętrzną — szacunek dla osoby własnej.

A jednak, kto zna obyczaje podhalan, ich wiarę w sakrament słowa, niezależny od przysięgi formalnej, ich pojęcie zupełnej przed ołtarzem równości, jakiej pomiędzy przedstawicielami dwu stanów cywilizacya nie uświęca, kto zresztą uwzględni barwę kochania, zależną od wpływów miejscowych, ten panicza posądzi słuszniej o lekkomyślność i obłąd, niż o pychę, samolubstwo i o zamiar nieszczęsny. Do połączenia się z Zofią zmusza go stanowisko, honor szlachecki, powaga zrękowin i opinia świadków. Pomimo to, on zachowuje się chwiejnie i stanowczą odprawą nie żegna Halki. Może ją kocha. Tem przeto serdeczniej cenić i żałować brankę swą każe. Taka czysta, choć występna, tak nadzieją promienna i Jasiowi oddana, choć oczami przepaść mierzy! Co Jontek wie? Niech sobie plecie o zdradzie. Jasio biednej nie opuści, bo ona go całą duszą kocha, a on dobry i uczciwy, acz bogaty i paniczem zwie się. Piękna dusza góralki wzrusza nas i gorącą przejmuje sympatją już podczas kolizyi, zanim rozwiązanie wykaże jej moc i wzniosłość, jej tytuł do rozgrzeszenia. Halka opiewa swą miłość rzewnie i tkliwie. Ona nie uroniła nici przewodniej w krainę widzeń najpiękniejszych. Jej przeto tkań — to nie arye lubieżnie czułościowych, zmysłowych i namiętnych; to poezya miłości złożonej, skryształizowanej, gdzie uczucie nie odpycha świadków z otoczenia, ani słoneczka, ani ptaszyny, ani kwiatka. Niech wszystko co żyje podzieli pełnię dziewczyny.

Ale Jontek nie plecie; on prawdę mówi. W jego głosie przejmujemy treść duszy czulej i bohaterskiej, przenikliwej i skłonnej do energicznych wystąpień w obronie praw, jakie służą ludziom szlachetnym. On do panicza przemówi z ironią, niby błagając o litość, przecież nie bez goryczy, jakiej da odpływ w zwróconych do Halki słowach: „I ty mu wierzysz...“ Że Janusz „skłamał“, o tem góralowi donosi miłość istotna, ludzka, gotowa wspaniałomyślnie wyrzec się wzajemności, byle swej karmicielce oszczędzić bólu i hańby. Jontek raz tylko otworzy serce kwoli spowiedzi osobistej, a nie inaczej, tylko potajemnie, przed sobą samym. Po za tem po dziwiamy go w roli rozjemcy pomiędzy Halką z jednej a dworem i gromadą ze strony drugiej. Mniej go obchodzi ból odtrąconego, niż sława dziewczyny; mniej dba on o własne dobro, niż o honor gromady i spokój ukochanej. Kogóż

ma skarżyć, kogo obwiniać? Taki szczęśliwy niegdyś, ilekroć Halince, będąc chłopięciem, przyniósł ptasze, to koraliki, teraz przed jakim sądem sprawę wytoczy? Jak gorący rzecznik, on nie ustaje w walce, raz zachęcając ofiarę niewinną do samoobrony trzeźwej, do zerwania z paniczem, raz cierpkiem oskarżeniem protestując przeciw przemocy i urokom, raz pełen odwagi wobec sprawiedliwości, widząc, jak uroczyście ona przybywa, ażeby apoteozę prawdy zwiazać z końcem tragicznym. Kochanek nieszczęśliwy, który „nie ma żalu do nikogo“, a ze szkodą własną spełnia trudne katechizmu społecznego przykazanie, wszak w dziedzinie ideału na cześć pokoleń zasługuje.

Każda ze scen, przewidzianych przez bazarza, gdzie historię smutną los ma uwieńczyć zwycięstwem najsmutniejszym, przypomina krajobrazy i obyczaje góralskie. Na poetyczne wejrzenia wzroku lud może sobie pozwolić, bo to Niedziela, dzień odpoczynku po pracy mozolnej a mało owocnej. Rozpoczęty dziekczynieniem nabożnem, ów siódmy błogosławi znój, zdejmując ciężary i sposobi serca do swobodnych wycieczek w krainę fantazyi. Po hymnie w kościele czemuż nie zaśpiewać w imię radości, nie powitać natury i jej majestatu, nie pobiesiadować wesoło, a nawet rytmem tanecznym nie odprawić na chwilę suchej rytmiczności tygodnia? Już słońce ma się ku zachodowi — słysząc dzwonek nieszporny. Lud napływa i przejmuje chórem motyw chłopięcia, co uwisło w oddali, u wierzchołka, by z wnętrza gór podać pobożnym hasło do harmonii szerokiej, pełnej, nie tłumionej uczuciem pokory. Urok pieśni, płynącej na falach od skał i jezior, ożywił gromadę, zbliżył serca, pobudził do wymiany uczuć i zaognił fantazyę. Polifonię wynurzeń przerwały tańce. Precz troski! Niech chwilka szalu wyrzuci je z głowy; niech w pohulance biedak rozkurczy mięśnie i pozwoli ciału hasać bujnie, z rozmachem, po taterniku. Taniec, zwany „góralskim“, nie jest ujęty w karby figuryczności stałej. To raczej improwizacja fantazyi męskiej, której chodzi o wykazanie zręczności i siły, chociażby wpaść miała w bezład ruchów hysterycznych. Znać tu tę samą ironię, co po ciehu wyśmiewa swobodę ziemianina w bajce i w gawędzie, zgola tam, gdzie on, usiłując zepchnąć ciężar dokuczliwy, dopuszcza się przesady i spycha za ostro. Dziś ów góralski

nie licuje z oglądą podhalan. Szczątka pozostała, by z dniem każdym tracić barwę, aż ustąpi przed powagą szkoły. Lecz oto Jontek wprowadza Halkę. W gromadzie, po objawach współczucia, cisza i posłuch uroczysty, bo oskarżyciel ma wystąpić z opowieścią, protestem i obroną pokrzywdzonej. Dziewczyna niewinna. Panicz opętał ją czarem jakiejś muzyki miękkiej, rozkosznej, ubezwładnił wymową miodopłynną, nieznaną mało pieśczonej i do gwary sielskiej nawykłym uszom. Dzielný góral mówi, jak gdyby wskazywał na postać obłudy romantycznej, co pod maską miłości wkłada się tam, gdzie może wyłudzić pocałunek dziewiczy i bezkarnie pastwę usunąć z drogi. Lud słucha z zajęciem, to otwiera oczy, jak gdyby pokusę chciał zobaczyć, to zaciska pięść ku obronie czci własnej, to już poruszeniom daje rytm bojowy; więc słucha czynnie, lecz burzę powściąga, albowiem rozum nie pozwala rozstrzygać stanowczo w sprawie miłosnej, ani wyrokować zaocznie, bez dwustronnego zbadania rzeczy. Uczuciom wszakże odpływ dać wolno. Wyłoży je mistrz chórów polskich, który tym razem, świadom tajemnic, rozwinię zbiórową treść żalu, bacząc na różnice i odcienia, o ile przedstawiciele harmonii, acz jednym połączeni motywem, nie tracą przecież praw do głosowania imiennego, jak w sejmie. Ogół ubolewa, gdy Halka śpiewa przez łyzy, zaś Jontek ciska wyrzuty pod adresem obłudy. Wreszcie motyw główny błednie i zanika, w miarę jak jedność ustępuje przed wytwarzaniem opinii, przed gawędą o wypadku doniosłym. Piękne to, bo ludzkie i rządne, nie hałaśliwe a głębokie.

Sceny ostatnie rozpoczyna Jontek zwrotem na siebie, spowiedzią, która duszę czystą wprowadza na wysoki stopień liryzmu i przez usta szczere, niepokalane fałszem, roztacza piękno muzyki wzniosłej. Słowa: „Już w dziecinne lata nasze“, mało same przez się wymowne, jakże promienny znalazły wyraz w melodii, jak młodzieńcem po nad nizinę wzleciały natchnieniem! Pomiedzy śpiewakiem a pieśnią chciałbyśmy widzieć przepaść? Góral słusznie zapanował w dramacie, jako bohater prawy. Zaledwie skończył, już lud się gromadzi, by powitać ślub i złożyć państwu życzenia chóralne. Na scenę wchodzi też Halka. Nikt jej powstrzymać nie zdołał. Dziewczynę uwiedzioną, nie baczna na wstyd, jakaż moc wlecze tu, gdzie święto weselne może być dla obecnej

powodem zgryzoty najdotkliwszej? Niechybnie moc paniecia, który łatwowierną ubezwładnił, wtrącił w stan obłąkania i ciągnie za sobą, jakoby na urągowisko. Po chóralnych powitaniach następuje areydzioło muzyki zbiorowej — sekstet. On w całość łączy wywnętrzania osobnicze — Halki błędne marzenie, Jontka ironię, Janusza wyrzuty sumienia, oraz pytania osób niewtajemniczonych. To scena porachunku przed trybunałem sprawiedliwości. Wyrażona słowami, przeto rozwlekła i płytka, ona przez uwagę słuchaczy przeszłaby trybem wydarzeń codziennych, nikłych. Harmonia podniosła ją do znaczenia faktów dramatycznie ważnych. Biedna dziewczyna zainteresowała Stolnika i Zofię. Co za jedna, skąd przybywa, dlaczego tak dziwnie wygląda? Odpowiedzi nie ma. Tajemnicę mógłby odsłonić Janusz, lecz winowajcę prowadzą dalej względy płocze, niby towarzyskie. Dość, że on, tknięty widokiem ofiary, żałuje pocichu. Naprawić krzywdę — nie czas; wyznać — zabrania słabość charakteru, stek uprzedzeń. — Idź z panną do ołtarza — radzi Januszowi sumienie lekkie — fraszkami głowy nie zaprzataj, o dziewczy nie zapomnij. Tak się też stało. Tymczasem świadomość uśpiona pozwala Halce żywić w dalszym ciągu wiarę obłubienicy. Jaki? Czyżby obłęd pozbawił ją uczuć silniejszych? A dzieciątko? Ono matkę budzi. Myśl o niem marszczy oblicze łagodne i zaostrza głos natury. „Matka tu, a ojciec tam! Czy ty słyszysz Jaśku?!“ Tak woła pierś rozdarta, zaś ręka chwyta zarzewie, by pomścić maleństwo. Czy jednak spełni zamach samowolny, wstrętny dla jaźni? Matka chciałaby zaprzeczyć zdradzonej żonie? Upadła w opinii świata miałażby upaść we własnej? O, nie! Poryw przeminął, jako błędny kurecz serca; ręka wypuściła narzędzie jędzy ognistej, bo we wnętrzu obrażonem przemówił głos zgody i miłości bliźniej — głos przebaczenia. Niech Jaśko żyje z tą piękną panią. Szczęśliwy, bogaty i dobrej myśli, oby tylko czasem zechciał niebodze dać czysty we wspomnieniach kącik. Ile cierpiała, jakiej rany znieść ona nie mogła, o tem nikt się nie dowie, chyba dziewice w jeziorze. Tajemnicę serca niech pochłonie topiel. Rzut Halki samobójczy oraz popłoch gromady stanowią zakończenie smutnej historii.

Tak — zakończenie dla wyobraźni, lecz nie dla myśli, która ze wzruszeń wyciągnąć powinna syntezę płodną. Byle

nie jednostronna, nie uprzedzona, myśl postawi bohaterów tragedyi na wzniesieniu, przeznaczonem dla walczących w imię zasad chrześcijańskich. Gdy przywileje, ulegając wpływom uzdrowień demokratycznych, ustana, gdy pracę narodów pobłogosławi geniusz światła, jedności i zgody, gdy trójca nierozdzielna — piękno, dobro i prawda — odniesie zwycięstwo nad fałszem, złą wolą i brzydotą wszelakiej barwy, wtedy historia zgłoskami złotemi zaznaczy odrodzenie, już nie złudne, nie powierzchowne, nie krótkotrwałe, lecz zupełne i stanowcze. Dziejopisarstwo, o ile rzetelne i zdolne sięgać wgłąb źródeł żywych, pouczy, że człowiek nie jest stworzeniem upadłym ani złoczyńcą z natury; że moralność zależy nie od dogmatu, nie od przykazania i łaski, lecz od intuicji wobec społecznienia i wiedzy rzeczywistej, od wypracowanych doświadczeń pojęć o sprawiedliwości. Na dowód swych twierdzeń ono wskaże na rzesze, których zaraza nie tknęła, ogłada nie zepsuła, polityka nie wykoleiła. Otóż historię, dbałą o dowody stężale i bliskie, wyprzedza sztuka. Ta, bardziej przenikliwa, umie widzieć jasno. Do niej należy utrzymanie berła w świątyni, gdzie ludzkość słucha wykładów suchych, oderwanych lub mystycznie mętnych, gdzie analiza ćwiartuje osobę człowieka i, zapominając o całokształcie, wydaje jaźń na łup nawykowi złowrogim. To posłannictwo sztuki Moniuszko przeczuł i dlatego lirę dźwięczną, strojną i ojczyzną przekazał w spadku pieśniarzom polskim.



SŁAWNYCH POLAKÓW.

1. Mikołaj Kopernik	przez Henryka Merczynga
2. Adam Mickiewicz	Stanisł. Tarnowskiego
3. Józef Korzeniowski	P. Chmielowskiego
4. Zygmunt Kaczkowski	P. Chmielowskiego
5. Jan Zamojski	W. Nowodworskiego
6. Jan Śniadecki	Dr. L. Świeżawskiego
7. Fryderyk Chopin	Ferd. Hösicka
8. Maurycy Gosławski	St. Zdziarskiego
9. Klementyna Hofmanowa	Piotra Chmielowskiego
10. Tadeusz Czacki	P. Chmielowskiego
11. Stanisław Konarski	Henryka Wernica
12. Jan Kochanowski	W. Nehringa
13. Jędrzej Śniadecki	L. Świeżawskiego
14. Michał Czajkowski	Fr. Gawrońskiego
15. Józef Bohdan Zaleski	M. Mazanowskiego
16. Stanisław Moniuszko	B. Wilczyńskiego

W dalszym ciągu ukaza się:

Aleksander Wielopolski	Wł. Spasowicza
Jan Długosz	St. Ptaszyckiego
Andrzej Morsztyn	E. Łunińskiego
Józef Kraszewski	St. Krzemińskiego
Lucyan Siemieński	A. Dobrowolskiego
Sebastian Klonowicz	Henryka Wernica
Stefan Batory	Winc. Zakrzewskiego
Jan Matejko	St. Tarnowskiego
T. T. Jeż	M. Zdziechowskiego
Jan Sobieski	Ern. Łunińskiego
Józef Szujski	St. Tarnowskiego
Adam Asnyk	J. Kotarbińskiego
Miecz. Romanowski	E. Łunińskiego
Henryk Rzewuski	P. Chmielowskiego
Karol Szajnocha	Al. Kraushara
Zygmunt Krasiński	St. Tarnowskiego
Piotr Skarga	St. Tarnowskiego
Stanisław Staszyc	Tad. Grabowskiego

i t. d., i t. d.

Cena każdego tomiku 30 kop.